



LISA HARRIS



Odnajdę cię

tytuł oryginału I Will Find You!

0

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Laura Finlay stała pośrodku bardzo oryginalnego i dość przytulnego saloniku w niewielkim domu, jaki jej dziadek postawił w tych górach przed blisko stuleciem. W rodzinie mówiono, że fantazja wykazana przy budowie miała na celu stworzenie wesołego nastroju wewnątrz, aby wszystkie smutki zatrzymywały się przed progiem.

Dziewczyna pomyślała z goryczą, iż los sprawił inaczej. Smutek zdawał się czaić wszędzie, wyzierał z każdego kąta. Podeszła do okna i zamknawszy oczy, wsparła czoło o zimną szybę. Nie chciała więcej patrzeć na splukane deszczem góry.

Nieustannie prześladowało ją wspomnienie jej własnych słów: „Ty, zawsze tylko ty! Cały świat musi kręcić się wokół ciebie! Czy nie uważasz, że ja też mam prawo do własnego życia?”.

Właśnie tak ostro odezwała się do młodszego od niej brata. Nie wolno było tego mówić. I Tim uciekł z domu. To stało się z jej winy.

Laura była drobna, ładna, miała dwadzieścia siedem lat. Wszystkich wciąż frapował pogodny wyraz jej buzi i zawsze roześmiane oczy. Prawie zawsze. No bo dziś oczy się nie śmiały, a na twarzy widniała głęboka troska.

Najbardziej uderzającym elementem jej sylwetki były ogniste włosy, krótko obcięte, kręcone i odporne wobec prób podporządkowania ich grzebieniowi.

„Pali się na głowie, płonie wewnątrz” - mawiał jej ojciec, gdyż niesłuchanie łatwo było Laurę zarówno urazić, jak i ożywić słowem, pomysłem, czynem.

-Czy słyszałaś, co mówiłam? dobiegł ją nagle głos siostry?-
Przyjedzie tropiciel. Na pewno pomoże.

- Co takiego? Co mówiłaś? - Laura starała się otrząsnąć z zamyślenia i okazać zainteresowanie.

- Przyjedzie tropiciel - powtórzyła Zuzanna. - Prawdziwy zawodowiec, a nie jakiś tam amator. Nazywa się Jarod.

- A on skąd się wziął? Jarod i co dalej?

- Po prostu Jarod - odparła Zuzanna już zniecierpliwiona zachowaniem siostry. - Ma tylko imię, żadnego nazwiska. A może to nazwisko bez imienia.

- Nie ufam ludziom, którzy chcą się skryć za jednym imieniem. -
To, co powiedziała, nie miało większego związku ze sprawą. Była jednak tak przygnębiona, że maciło się jej w głowie.

- Lauro, posłuchaj mnie! - rzekła siostra dość ostro. - Co cię obchodzi jego imię czy nazwisko, jeśli on potrafi znaleźć Tima?

Zmusiła się do spojrzenia przez okno. Lutowe niebo było stalowoszare, zimny deszcz padał bez ustanku. Góry Arkansas ciągnęły się aż po horyzont gęsto obrosnięty wiekowymi sosnami i połaciami ogołoconych przez zimę drzew liściastych.

Zaklęta Dziewicza Kraina! Niegdyś ta nazwa podnosiła Laurę na duchu. Natura mogła tu kwitnąć wolna od zasadzek cywilizacji.

Dziś ta sama nazwa budziła ponure myśli, pełne wizji czyhających zagrożeń i niezgłębionych tajemnic. Człowiek musi zginąć na tym bezludziu. Biedny bezbronny Tim!

- No cóż, nazwisko w istocie nie ma znaczenia. Mówisz, że to zawodowy tropiciel. Mieszka tu w okolicy?

- Nie. Ale jest naprawdę dobry. Jeden z najlepszych - odparła Zuzanna z przejęciem.

Laura położyła dłoń na indiańskim tęczowym pledzie, złożonym na kanapie. Dawniej Tim lubił owinać się tym pledem, wtulić w róg kanapy i czytać sobie albo coś pisać. Ale to było dawniej, zanim wszystko się popsuło.

- Jeśli nie mieszka w okolicy, to skąd przyjeżdża? - spytała siostrę.

- Ze stanu Maine.

Laura zaskoczona szeroko rozwarła oczy. Z Maine? Maine znajduje się na drugim skraju kontynentu, pomyślała ze zdziwieniem. Inny klimat, inny kraj. Tima poszukiwali tu bez powodzenia ludzie, którzy znali od dzieciństwa każdy skrawek terenu. Co może zrobić jakiś obcy z Maine?

Zuzanna podeszła do okna i wyjrzała na zapłakany deszczem świat. Laura, choć niechętnie, też popatrzyła na góry, które w objęciach zimy wydawały się wrogie i szydercze. Przedtem, nim to wszystko się stało, kochała ten dom i ten krajobraz. Po raz pierwszy zdała sobie sprawę, jak podobny widok może być okrutny.

Zbliżywszy się do Zuzanny, położyła dłoń na jej ramieniu. Na pierwszy rzut oka obie kobiety wydawały się do siebie niepodobne. Zuzanna liczyła sobie dwadzieścia pięć lat, była wyższa i nieco chłodna. Szczupła, może nawet zanadto, miała pociągłą twarz, długie rude włosy, spięte na karku. Wielkie okulary w ciemnej oprawie nadawały twarzy dziewczyny wygląd nieco surowy. Chociaż nie była surowa, a jedynie opanowana. Myślała racjonalniej od siostry, podejmowała roztropniej decyzje, a przy tym posiadała duże poczucie humoru. Laura była niższa, miała bardziej kobiece kształty i w zasadzie promieniowała optymizmem, lgnąc przy tym do ludzi.

Podobieństwo sióstr leżało nie we włosach o nieco różnym odcieniu, ale w zielonobrunatnych oczach. Obie odziedziczyły oczy matki - wielkie, z długimi rzęsami. Takie same oczy miał ich dwudziestojednoletni brat, Tim. Dzięki tym oczom był uznawany za diablo przystojnego mężczyznę. Budowy raczej delikatnej, ale o muskulaturze atlety.

Z trójki rodzeństwa właśnie Tim został obdarzony najliczniejszymi talentami. Los ofiarował mu właściwie wszystko: siłę i zwinność, męską urodę, inteligencję, dowcip, ciepło uczuć oraz osobisty urok.

W szkole średniej był prawie zawsze prymusem, gwiazdą szkolnych sportów i zapalonym harcerzem. Na uniwersytecie grał w uczelnianej drużynie rugby, wiceprezesował swojej klasie i w całej historii uczelni był najmłodszym redaktorem studenckiej gazety.

Zamierzał zostać naukowcem i autorem książek z zakresu historii naturalnej.

Laura i Zuzanna często nazywały go w żartach Chłopcem Szczęścia lub Chłopcem Natury. Od dziecięcych lat przemierzał wszystkie szlaki Zaklętej Dziewiczej Krainy, niby pielgrzym stąpający po Ziemi Świętej. Obie siostry po prostu go uwielbiały. Jakże można było nie kochać takiego człowieka jak Tim?

Laura, zdruzgotana i przygnębiona, opuściła głowę i przetarła nieustannie wilgotniejące oczy. Do pewnego tylko czasu brat był w posiadaniu tych wszystkich darów i szans życiowych. Aż nagle nadeszła tragiczna chwila.

Było to mniej więcej przed półtora rokiem: jesienna mglista noc na krętej górskiej drodze. Tim wracał z ojcem do domu. Byli na rybach. Na zakręcie poszła opona, samochód uderzył w ochronną barierę, przebił ją i spadł w dół zbocza.

Ojciec zginął na miejscu, Tim na szczęście wypadł z wozu podczas staczania się w przepaść. Zuzanna i Laura dziękowały Bogu, że brat przeżył. Doznał jedynie poważnych obrażeń głowy. Ale wówczas siostry nie wiedziały jeszcze, jak bardzo poważnych w konsekwencjach i jak tragicznych. A potem nie było nawet czasu na przeżywanie śmierci ojca - Tim wymagał ciągłej uwagi i absolutnego poświęcenia.

Doktorzy powiedzieli, że wszystko ewentualnie się zaleczy. Ewentualnie!

Życie chłopaka stało się koszmarem. Fizyczne rany udało się szybko wyleczyć. Nękały go urazy psychiczne.

Przestał być sobą - Timem, którego znały. Jego umysłem i ciałem zawładnął obcy, wrogi duch. On sam zdawał sobie z tego sprawę i nienawidził tej obcej siły, która nim powodowała. Chciał znowu prowadzić dawne życie.

Wszyscy zalecali mu cierpliwość. Ale ta była mu obca. Stał się szorstki.

Człowiek, który tak dobrze poprzednio pisał, teraz ledwo potrafił sklecić parę zdań. Myśli miał rozbiegane, nie potrafił się skoncentrować. W efekcie nie był w stanie nawet przeczytać swoich własnych esejów czy wierszy napisanych jeszcze przed wypadkiem. Książki, które ukochał, wydawały się teraz rebusami nie dającymi się rozwiązać.

Kontynuowanie studiów było chwilowo niemożliwe. Z rugby należało pożegnać się na całe życie. Chłopak, dawniej błyskotliwy i dowcipny, miał teraz kłopoty ze znalezieniem najprostszych słów.

Powrót do formy wymaga cierpliwości, czasu i jeszcze raz czasu, powtarzali lekarze i dodawali sentencjonalnie, że Rzymu też nie zbudowano jednego dnia.

Ostatniej niedzieli Laura i Tim pozostali sami w domu. Tim był wyjątkowo rozdrażniony. Wszystkiemu się sprzeciwiał. Koniecznie chciał, żeby siostra zawiozła go do Hot Springs do jego ulubionej restauracji, ponieważ miał ochotę na meksykańskie jedzenie. Osiemdziesiąt kilometrów w jedną stronę.

W domu znajdowały się spore zapasy żywności, a Laura była wyjątkowo zmęczona. Przez cały tydzień miała męczące nocne dyżury w szpitalu, gdzie pracowała jako pielęgniarka. W sąsiednim miasteczku Corinth. I to specjalnie pracowała nocami, by móc dnię poświęcić Timowi. A noc z niedzieli na poniedziałek była jedyną w tygodniu, którą mogła przespać we własnym łóżku, w domu. Przecież kochała Tima, ale tego wieczoru doprowadził ją do kresu wytrzymałości.

Oświadczyła, że nie pojedzie, nie będzie wieczorem jechała sto sześćdziesiąt kilometrów tylko po to, by spełnić głupią zachciankę zjedzenia meksykańskiej potrawy. Tim bez opamiętania zaczął jej wymyślać. Ostatnio często wymyślał i przeklinał. Zupełnie jakby wyczuwał, że to ją wyjątkowo złości.

Tym razem nie była już zdolna kontrolować długo powstrzymywanych emocji.

- Ty, zawsze tylko ty! - wybuchnęła. - Cały świat musi kręcić się wokół ciebie. Czy nie uważasz, że ja też mam prawo do własnego życia?

Właściwie to natychmiast pożałowała tych słów. Na twarzy brata pojawił się wyraz nieopisanego bólu.

Wytoczył się z pokoju, jakby był pijany, zatrzasnął za sobą drzwi. Laura wiedziała, że w tej chwili nie ma sensu go przeproszać. Trzeba poczekać z tym do następnego poranka.

Kiedy nadszedł ów poranek, mglisty i zimny, Tima już nie było. Zniknął także jego plecak i śpiwór. Laura i Zuzanna w panice przeszukały cały dom, a także hektar lasu wokół domu.

Siostry zawiadomiły szeryfa. Przez trzy dni ochotnicze grupki ludzi przeczesywały teren. W ciągu dnia było stosunkowo ciepło, ale w nocy temperatura spadała poniżej zera. I przez cały czas padało.

Laura dołączyła do jednej z ekip poszukujących Tima. W terenie czuła się znacznie lepiej od Zuzanny. Pewniej i swobodniej. Chciała być pod ręką, gdyż lekarze przestrzegali ją, że chłopak może wpaść w panikę, jeśli wytropią go i zbliżą się doń obcy ludzie. Nie da się przewidzieć, co w takim wypadku zrobi. Może się rzucić do ucieczki, a nawet do ataku. Zuzanna została wtedy w domu przy telefonie na wypadek, gdyby zadzwonili z wieściami inni poszukiwacze.

- Ten Jarod go odnajdzie, jestem tego pewna. Nic się nie martw, Lauro. Czuję to! - powiedziała Zuzanna.

- Miejmy nadzieję - odparła Laura, kierując się do kuchni. Postanowiła zaparzyć świeżej kawy. Od chwili zniknięcia Tima wypila chyba ze sto filiżanek. Była przesycona i przepojona kofeiną. Cała rozdygotana.

Siostra poszła za nią. Zdjęła okulary i przetarła oczy. Laura umyła maszynkę do kawy i napełniła ją świeżą wodą.

-Gdzie ty tego człowieka znalazłaś? — spytała. - Tego tropiciela. Zuzanna zawahała się z odpowiedzią.

- Został mi polecony... - odparła po chwili. - Miałymy szczęście, że był akurat wolny. I powinien niedługo się pojawić...

- Co to znaczy niedługo? Kiedy?

- Ma przylecieć wieczorem.

-Dziś? - zdziwiła się Laura. - Z tak daleka...? Naprawdę masz nadzieję? I on jest taki dobry? Zuzanna skinęła energicznie głową.

- W ubiegłym roku odnalazł nieme dziecko, które zabłąkało się w lasach. To było w Minnesocie. Wszyscy już stracili nadzieję.

Dziewczynka przepadła sześć dni przedtem, nim go wezwano.

Odnalazł ją w dwadzieścia godzin. Powiedziano mi, że nie ma w kraju lepszego tropiciela.

- Nie wydaje mi się... - zaczęła. - Czy on jest bardzo drogi?

Oczywiście cena w takim wypadku nie odgrywa roli, ale chciałabym wiedzieć...

- Nic nie kosztuje.

Laura spojrzała na siostrę niedowierzająco.

- Nic nie kosztuje? Ale lot z Maine...?

- Powiedziałam, że nic nie kosztuje. On nie weźmie od nas nic - odparła Zuzanna z miną dziecka, które wie, że nabroiło.

- Cóż to? Biblijny dobry Samarytanin? Leci do nas cztery tysiące kilometrów z dobroci serca...?

Młodsza siostra obróciła się tyłem, by ukryć wyraz twarzy.

- Powiedziano mi... żebym się nie martwiła o pieniądze.

- Ejże, powiedz wreszcie prawdę. Co się tu dzieje? Co ty kombinujesz? Facet przyjeżdża w ciągu jednego dnia od otrzymania wezwania. Nic nie kosztuje. Coś mi tu nie pasuje. Skąd się o nim dowiedziałas? Jak do niego trafiłaś?

- To nie ja go znalazłam. To znaczy nie ja sama. Chciałam powiedzieć... - płątała się Zuzanna. Zdjęła okulary i zaczęła się nimi bawić. Zawsze tak robiła, kiedy była zdenerwowana i podniecona. I zawsze wtedy chodziło o coś niedobrego.

- Zuza, mówże wreszcie po ludzku!

-Ja... zadzwoniłam do Gusa Raphaela... - wyjąkała Zuzanna ledwo dosłyszalnym głosem. Przez cały czas składała i otwierała okulary.

Laura wzdrygnęła się, jakby ją ktoś smagnął. Chwyciła siostrę za łokieć i szarpnęła ku sobie.

-Co?!

Zuzanna patrzyła tępo w podłogę.

- Zadzwoniłam do Gusa Raphaela - powtórzyła wreszcie, ale tym razem już z wyzwaniem w głosie, patrząc Laurze prosto w oczy. - On się na takich rzeczach zna.

- Gus tu się zjawi? Powiedziałaś mu, że może przyjść?

- Jakby tu powiedzieć...

- Pozwoliłaś mu przyjść?

- Tak - przyznała się do winy.

Laura podniosła ręce w geście absolutnej rezygnacji.

- Jakże mogłaś coś podobnego zrobić?! - wykrzyknęła z wyrzutem w głosie. - Nie dość, że jesteśmy w tragicznej sytuacji z powodu Tima, to ty jeszcze wciągasz do sprawy Gusa?

- On sprowadza Jaroda! Chodzi przecież o Tima. Czy ty tego nie rozumiesz? Osobiste uprzedzenia musisz odłożyć na bok...

- Nienawidzę tego człowieka! - wykrzyknęła Laura z pasją. - Pogardzam nim i nienawidzę. Nie chcę na niego patrzeć.

- Więc wybieraj - odparła siostra spokojnie. - Wolisz dyskutować na temat Gusa czy ocalić Tima, odnaleźć go.

Laura głośno zaczerpnęła powietrza. Zagubiona przeczesywała włosy palcami obu rąk. Wpadła w panikę czując, że Zuzanna postawiła ją w sytuacji bez wyjścia.

- Zuzo! Przecież wiesz, co mi Gus zrobił! Kłamał, wprowadził w błąd. Świadomie. Zrujnował życie mojej najlepszej przyjaciółki. Zniszczył życie jej rodzinie...

- Chodzi o Tima, Lauro! - nie ustępowała Zuzanna.

- Rozmawiamy o sprawie Tima, a nie twojej.

- Zrobiłabym wszystko dla niego - odparła Laura.

- Ale dlaczego Gus? Skąd ci przyszło do głowy, żeby zadzwonić do niego?

- On jest w FBI. Zna się na tych rzeczach. Jest niesłychanie zmyślny.

- Raczej chytry - odparowała Laura.

- Jest funkcjonariuszem poważnej organizacji, specjalistą.

- Specjalistą od robienia ludziom świństw.

- Lauro, spójrz realistycznie: jest dobry w swoim fachu. I wtedy musiał tobie skłamać. Był obarczony misją. Tajną misją.

- I zniszczył ludziom ich życie - upierała się nadal Laura. - Ludziom, którzy byli mi bliscy.

- Może... a może wcale nie. - Zuzanna czuła się już znużona bezkrytycznym stanowiskiem siostry.

- Nie to jest teraz ważne. Obecnie chodzi o ocalenie życia. Życia Tima.

- Gus wykorzystuje każdą sytuację. Z myślą o sobie. Tę również.
- Laura była wręcz zgnębiona.

- Owszem. W pewnym sensie tak. On to robi właśnie dla ciebie, żeby w ten sposób spłacić dług. Jakby w rekompensacie za to, co się wtedy stało. I zabiera ze sobą Jaroda, świetnego tropiciela. I to jest najważniejsze. Jeśli tropiciel znajdzie Tima, to nieważne, kto go tu przywiózł. Mógłby to być sam diabeł - zakończyła rozmowę Zuzanna i wyszła z pokoju.

Jarod widział, że Gus jest niespokojny. Jednakże Gus z natury był niespokojny. Jarod litował się nad nim. Zawsze litował się nad ludźmi, którzy myśleli, że są śmiertelnie zakochani.

Z założonymi rękami wyglądał przez okno wynajętego samochodu, którego reflektory usiłowały przebić ciemności i oświetlały mokry asfalt wijącej się drogi. Patrząc na jego wtuloną w siedzenie sylwetkę można było pomyśleć, że tak właśnie, w absolutnym odprężeniu, odpoczywa zadowolony kocur. Jarod miał metr osiemdziesiąt cztery centymetry wzrostu i muskularną sylwetkę sportowca w doskonałej formie. Szczególnie zwracała uwagę jego twarz o wydatnych kościach policzkowych, zgrabnym, lekko haczykowatym nosie, zaciśniętych ustach i dość wąskiej szczęce. Oczy osadzone - głęboko pod ciemnymi krzaczastymi brwiami miały

przedziwną, dość tajemniczą barwę szarego półprzejrystego kryształu i jedynie one łagodziły ostrość rysów twarzy. Kobiety zapewne nazwałyby te oczy pięknymi, choć i niepokojącymi, gdyż wydawały się dostrzegać to wszystko, czego inni nie widzieli.

Miał ciemne włosy, lekko falujące i sięgające ramion, związane z tyłu rzemykiem. Na przegubie połyskiwała bransoletka z paciorków. Całość dopełniały wypłowiałe dzinsy, para brązowych butów sięgających do połowy łydki i obrzeżonych frędzlami, znoszona ciemnozielona koszula oraz granatowa puchowa kurtka, będąca jedynym ustępstwem na rzecz obowiązującej mody. Jeszcze dwa akcesoria zwracały uwagę: naszyjnik z koralików i muszelek ofiarowany mu niegdyś przez przyjaciela, pół-Indianina, starego Rajmunda, oraz przypięty do guzika koszuli rzemyk, obsyty koralikami z doczepionym doń cętkowanym piórem.

Gus, który zaliczał się do mężczyzn eleganckich, obrzucił swego towarzysza dość krytycznym spojrzeniem.

- Czy ty naprawdę nie masz przyzwoitego ubrania? - jęknął. - I mówiąc między nami, mógłbyś sobie podciąć włosy. Nie sprawiasz dobrego wrażenia.

Jedyną odpowiedzią Jaroda było głośnie ziewnięcie. Wiedział, że rozzłości tym Gusa, który według niego stawał się wyjątkowo interesujący właśnie wtedy, kiedy wpadał w złość.

- Najgorsze jest twoje uczesanie - kontynuował Gus. - To już minęło. Długie włosy przestały być modne. To nie jest fryzura

budząca zaufanie. A będziemy mieli do czynienia z kobietą, na której chcę sprawić dobre wrażenie.

Jarod spojrział na ciemne niebo, usiłując odgadnąć godzinę bez pomocy gwiazd. Doszedł do wniosku, że jest właśnie ósma i trzy minuty. Rzucił okiem na samochodowy zegar. Wskazywał ósmą cztery.

- Jeśli chcesz zrobić na niej dobre wrażenie, no to sobie rób - odparł leniwie. - Ale co ja mam do niej?

- Mieliśmy... drobne nieporozumienie. Ty jesteś moją gałązką oliwną. W pewnym sensie... prezentem. Jako prezent powinieneś być ładniej opakowany.

Gus miał śniadą cerę, prawie czarne włosy, był wyższy i chyba jeszcze szczuplejszy od Jaroda. Wyglądał na potomka hiszpańskich konkwistadorów, miał też ślady hiszpańskiego akcentu w mowie, której towarzyszyło lekko drwiące wykrzywienie ust. A może także i same słowa były drwiące.

Jarod rzadko się uśmiechał, niemniej rozbawiło go zachowanie Gusa.

- Czyżby chodziło o tę samą kobietę, do której usiłowałeś się zalecać przed dwoma laty? Nadal jest wściekła, że kłamałeś?

- Tak, o tę samą chodzi - odparł Gus z irytacją. Spojrział z ukosa na Jaroda. - A kiedyż to ja tobie mówiłem o kłamaniu w służbie? Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek...

- Na bagnach. Gdzieżby indziej?

- Boże drogi, bagna! - rzekł Gus z niesmakiem. - Oczywiście, na tych bagnach byłem gotów wypaplać całą historię mojego życia.

- I zrobiłeś to. I co z tego? Twojego faceta złapaliśmy.

Przed dwoma laty zwerbowano Jaroda do sprawy prowadzonej przez Gusa. Podejrzany, niejaki Etienne Tussard, przemytnik z Luizjany, potomek kolonistów francuskich, uciekł na florydzkie bagna - sławne Everglades.

Jarod, Gus i jeszcze dwóch agentów federalnych oraz dwu florydzkich policjantów stanowych ruszyło w pogoń za domniemanym przestępcą. Agenci federalni nie potrafili dotrzymać kroku Jarodowi. Potem jeden z florydzkich policjantów zachorował, a wkrótce po nim wycofał się drugi, do cna wyczerpany. Pozostali w pościgu przez bagna jedynie Jarod i Gus, podążając za Tussardem prawie dwieście kilometrów krętymi ścieżynami.

Z początku wydawało się, że najmniej poważnym kandydatem do pokonania Everglades jest właśnie Gus. Jarod przyjrzał się jego złotym spinkom przy mankietach koszuli, jedwabnemu krawatowi i założył się sam ze sobą, że właśnie ten człowiek pierwszy padnie ofiarą klimatu i terenu. Przegrał.

- Jednakże tym razem posiedzisz sobie na tyłku i nie pójdziesz w teren - stwierdził Jarod, smutno kiwając głową. - Zresztą nie musisz się ruszać.

- Nawet nie mógłbym - odparł Gus. Poklepał się po lewej nodze.
- Ciągłe strzyka. Lekarze powiedzieli, żebym nie stawał mocno na tej

stopie. Ty pójdziesz w góry, znajdziesz chłopaka, ja pozostanę na tyłach, pocieszając dziewczynę.

- Dlaczego nie odezwała się do ciebie przez dwa lata? Gus lekceważąco machnął ręką.

- Reszta rodziny dawno mi wybaczyła. Kiedy dzwonię, jej siostra zawsze chce ze mną rozmawiać. Lubi mnie, pomaga mi. Nawet jej brat powiedział, że rozumie mój punkt widzenia. Wiesz co, kiedy przyjedziemy na miejsce, to mi pomożesz. Weźmiesz ją na bok i powiesz, jaki to ze mnie wspaniały facet.

- Mówienie o twoich zaletach zajmie mi najwyżej parę sekund.

- Ja mówię poważnie. I naprawdę liczę na ciebie. Ona bardzo kocha swojego brata. Musisz go sprowadzić do domu zdrowego i całego.

- Nic nie mogę obiecać. - Z twarzy Jaroda zniknął uśmiech. - Wiesz, że nie mogę. - Ledwo dostrzegął zarys gór w gęstym mroku, ale wiedział, że są zupełnie inne niż te na wschodzie kontynentu. - Tu się można wszystkiego spodziewać - mruknął na poły do siebie.

- Spodziewać się możesz, czego chcesz, byłeś się na nic nie nadzieiał nie przygotowany - odparł Gus. - Znam ja twoje czucia i przeczucia. Powiedz mi, co ci mówi ten twój dodatkowy zmysł na temat Tima. Jest cały i zdrowy? W kłopotach? Co?

Gus nie wypowiedział słów, które w tej właśnie chwili mu się nasunęły: nie żyje. Może chłopak uciekł w lasy po to, aby umrzeć? Świadomie!

-Nic specjalnego nie czuję z wyjątkiem... niepokoju.

- Niepokoję? - Gus zmarszczył brwi. - Bardzo mi się to nie podoba. Ta moja dziewczyna... Dla niej słońce wschodzi i zachodzi jedynie dla brata. Ona go nieprawdopodobnie kocha.

Jarod jak zahipnotyzowany wpatrywał się w wędrującą tam i z powrotem wycieraczkę przedniej szyby. Tak było zawsze przed rozpoczęciem każdego tropienia. Przed oczami pojawiał mu się obraz. Nie wywołany, nie proszony. Nie lubił nazywać tego wizją, ale i nie potrafił określić innym słowem.

Kiedy wyruszył na poszukiwanie tamtego dziecka, tej małej dziewczynki, wiedział, że odnajdzie ją żywą, choć bardzo wyczerpaną. Kiedy wraz z Gusem podążali za Tussardem przez bagna Everglades, Jarod wiedział, że go dopadnie przygotowanego do walki. Wyruszając podczas minionego lata na poszukiwanie starszego mężczyzny w Białych Górach w stanie New Hampshire, był pewien od pierwszej chwili, że odnajdzie tylko ciało.

Kiedy teraz myślał o rozpoczęciu poszukiwań Tima Finlaya, nie pojawiła się żadna wizja. Jarod zupełnie nie wiedział, jak to należy interpretować.

Palcami obmacywał małe woreczki z sarniej skóry, dyndający mu na szyi. W woreczku było kilka rekwizytów mających wartość jedynie dla niego. I znaczenie wyłącznie dla niego.

- Twoje akcesoria czarnoksiężnika! - pokpiwał z niego Gus, gdy przedzierali się przez Everglades.

-I ty ją naprawdę kochasz? Mimo upływu czasu? - zapytał nagle, zdziwiony własnymi słowami. Rzadko kiedy rozmawiał z Gusem o

uczuciach, a jeśli już, to było to żartobliwe przekomarzanie się. O miłości Jarod nie wspominał nigdy. Nie ufał temu słowu.

- Co to ma być? Egzamin? Konkurs? - zapytał Gus, a potem długo milczał wpatrzony w przestrzeń, by wreszcie wyrzucić z siebie:
- Tak. Kocham ją. Inaczej po co bym cię tutaj ściągał, głupku! Po co bym się tu zjawiał, gdyby mnie nic nie obchodziła?

Jarod podniósł jedną brew, co miało oznaczać, że temat przestaje go interesować.

- Dobra, przepraszam, że pytałem. Sam nie wiem dlaczego. Dziewczyna wydaje się twarda jak kamień, ot co.

- Nie znasz jej. Nie ma w niej nic twardego, nic z kamienia. Złote serce. A ja wcale się nie wstydzę, że nie mogę o niej zapomnieć. Bardzo mi przykro, że jej brat jest w tarapatkach i że jedynym sposobem zobaczenia Laury jest przywiezienie ciebie. Ale jeśli to przyniesie rezultaty... - Wzruszył ramionami. - Zobaczymy. Może tak, może nie.

Kiedy po pewnym czasie Gus ponownie się odezwał, mówił głosem pełnym żalu i goryczy: - Właściwie to okropne. Usiłuję zbić osobisty kapitał na jej nieszczęściu. I na dodatek sprawę muszę powierzyć tobie. Gdybym to mógł osiągnąć sam! Wszystko bym dla niej zrobił. Ale nie mogę. Muszę tobie powierzyć robotę i tajemnicę...

Jarod był samotnikiem, ale o niesłychanie silnym poczuciu lojalności wobec ludzi, którym ufał. Po śmierci starego Rajmunda, Gus stał mu się najbliższym człowiekiem. Człowiekiem, którego ze wszystkich ludzi na świecie szanował najbardziej. Obecnie spotkali

się po raz trzeci od odysei na bagnach Everglades. To zresztą nieważne, ile razy się spotkali. Było ważne, że Jarod lubił Gusa i bezgranicznie mu ufał.

Jeśli Gus uważa, że będzie szczęśliwy, zdobywając tę kobietę, to on pomoże mu, jak tylko będzie mógł. Tak czy inaczej odnajdzie zaginionego młodzika. Miał nadzieję, że żywego.

Jeśli natomiast idzie o tę niemądrą dziewczynę, to może wreszcie nabierze rozumu i oceni właściwie Gusa. Gus będzie się mógł wtedy z nią ożenić. Biedaczysko. Wkrótce spostrzeże, że jest taka sama, jak wszystkie inne.

RS

ROZDZIAŁ DRUGI

Laurze serce podskoczyło do gardła, gdy usłyszała pukanie. Wiedziała, że to jest Gus Raphael. No i ten Jarod. Nie wpuściłaby Gusa do domu, gdyby nie tropiciel.

Drzwi otworzyła Zuzanna, ponieważ ona nie mogła się zdobyć nawet na podejście do progu. Stała za oparciem fotela ojca, jakby szukając za nim osłony. Ujrzawszy Gusa zeszywniała. Nic się nie zmienił. Taki sam elegancki, wysoki, szczupły. Ta sama twarz nacechowana symbiozą ascetyzmu i zmysłowości, nieco zapadnięte policzki, pełne wargi i wyraziste, ale skryte spojrzenie.

-Jakże mi przykro, Zuzanno... - odezwał się głosem wyrażającym autentyczne współczucie. Objął dziewczynę i po bratersku cmoknął w policzek.

I Zuzanna na to pozwoliła! Laura aż się zatrzęsła i zacisnęła mocniej palce na oparciu fotela.

- Lauro! - zwrócił się do niej. - Postanowiłem przyjechać natychmiast, gdy się tylko dowiedziałem. - Uczynił parę kroków w jej kierunku, lekko kulejąc. Miał stopę w gipsie.

Niedobrze jej się zrobiło - te gładkie słówka, ten elegancki ubiór! I ta arogancja!

- Nie dotykaj mnie! - warknęła.

Gus stanął jak wryty. Twarz mu skamieniała, opuścił tylko rękę.

- Jak się czujesz, Lauro? - spytał. - Moje serce ci towarzyszyło. Moje myśli...

Nie odpowiedziała, wytrzymując jego spojrzenie. Serce waliło jej ze złości. Tak, złość ją zatykała.

- Nic się nie martw - powiedział łagodnie. - Jest ze mną ktoś, kto pomoże. Jarod. - Skinął głową w kierunku drzwi.

Laura zupełnie inaczej wyobrażała sobie tropiciela Jaroda. Spodziewała się jakiegoś barczystego drwala z Maine, może z czarną brodą, w kraciastej koszuli i wełnianej czapce na głowie. A ten był szczupły, dobrze ogolony. I niepodobny do drwala. Można było określić go raczej jako skrzyżowanie dzikusa z aniołem. W jego pięknych oczach dostrzegła coś niezwykłego, a jednocześnie spoglądały one twardo, zdecydowanie.

Nos miał haczykowaty, wystające kości policzkowe, a brwi ciemniejsze od włosów. Wąskie usta sugerowały odmowę, zniechęcały. Po chwili dopiero zauważyła we włosach jasne, złotawe przebliski. Włosy miał dłuższe niż ona, ale spięte z tyłu.

Jego flanelowa koszula i dżinsy wyglądały bardzo zwyczajnie. Sznurowane buty do pół łydki nie były już zwyczajne, podobnie jak naszyjnik z koralików i muszelek, częściowo przesłonięty zieloną koszulą.

Zauważyła też przyczepiony do guzika rzemyk obszyty koralikami i ozdobiony piórem. Przez ramię miał przewieszony śpiwór, a w ręce trzymał dobrze wysłużony plecak.

Zuzanna też przyglądała mu się ciekawie szeroko otwartymi oczami, ukrytymi za szklami okularów.

- Cześć! - powiedział Jarod. Miał głęboki ciepły głos, który podziałał na Laurę jak lekkie porażenie prądem. Nagle poczuła suchość w gardle.

- Cześć - odparła z nieco wymuszoną grzecznością. - Jestem Laura Finlay, a to moja siostra, Zuzanna.

Jarod obrzucił Zuzannę pobieżnym spojrzeniem, a potem skierował swe na wskroś przenikające oczy z powrotem na Laurę.

- Przyjechałem znaleźć brata pań. Ruszyłem w drogę jeszcze dziś wieczorem, gdybym znał lepiej teren. Ale rozpocznę poszukiwania o wschodzie słońca.

Laura poczuła się tak, jakby jakaś olbrzymia dłoń wycisnęła jej całe powietrze z płuc. Nie mogła złapać tchu.

- Jesteśmy... bardzo wdzięczne. Oczywiście wyruszymy razem z panem.

- Absolutnie nie! - zaprotestował Gus. Spojrzał na Laurę, potem na Jaroda i znów na Laurę. - To nie wchodzi w rachubę.

Laura całkowicie zapomniała o obecności Gusa. Teraz spojrzała na niego z niechęcią.

-Któraś z nas musi iść. Lekarz ostrzegał, że Tim może nie dopuścić do siebie obcego. To samo powiedział szeryf. Tim przestał... rozumować logicznie. Może mu wpaść do głowy, że go szukamy po to, by go na przykład ukarać.

Przez chwilę pozostała trójka patrzyła na nią w głębokim milczeniu.

- Pójdę sam - odezwał się wreszcie Jarod i zacisnął usta w sposób, który obwieszczał, że decyzja jest ostateczna. - Pani obecność bardzo by mnie opóźniała. Ważny jest czas. Zbliża się fala zimna.

Mówił z wielką pewnością siebie. Laura znów poczuła się jakby porażona prądem.

-Komunikaty meteo mówią co innego - odpowiedziała. -
Temperatury będą się utrzymywać na poziomie zera.

- Komunikaty meteo mylą się - rzekł Jarod.

- Mylą się czy nie, ja idę z panem - oświadczyła zakładając ręce, aby zrozumiał, że ona też podjęła decyzję.

- Nie możesz, Lauro... - zaczął Gus. - Zdecydowanie ci zakazuję.

-Nie masz prawa czegokolwiek mi zakazywać. A z tobą na pewno tu nie zostanę.

- Panno Finlay, pani nie rozumie sytuacji - powiedział Jarod cichszym i znacznie łagodniejszym głosem. - Kiedy raz zagłębię się w te góry, to ich nie opuszczę, póki nie znajdę pani brata. Idę szybko, ostro. To nie jest harcerska wycieczka.

- On ma rację - potwierdził ochoczo Gus. - W marszu narzuca zabójcze tempo. Nawet ja z trudem dotrzymywałem mu kroku.

- Zawsze mogłam dotrzymać kroku Timowi - oświadczyła Laura, dumnie podnosząc głowę. Spojrzała na Jaroda z wyzwaniem w oczach. - I potrafię dotrzymać kroku panu.

- Pójdę sam - rzekł stanowczo tropiciel. Patrzył zimno, nieomal wrogo.

Teraz Zuzanna postąpiła parę kroków naprzód, poprawiając okulary z powagą nauczycielki.

- Psychiatra powiedział, że jedna z nas powinna być w pobliżu, gdyby zachodziła potrzeba. To samo oświadczył doktor Thatcher. Podobnie uważał szeryf. Jeśli pan jest takim ekspertem, to powinien pan rozumieć, że oni wszyscy mają rację. Tim się nie zgubił. On się chowa. I niestety nie rozumuje logicznie. Prawdopodobnie doznał pewnych obrażeń. Jest zziębnięty, może chory, co jeszcze bardziej komplikuje sytuację.

- Zuzanna zmierzyła Jaroda wzrokiem od stóp do głów. - Poza tym pański wygląd jest nieco... niecodzienny. Tim się nie ujawni, nie pokaże obcemu człowiekowi obwieszonemu koralikami i zębami łosia czy czymś podobnym.

Laura wstrzymała oddech. Siostra wygłosiła swoje oświadczenie z pewnością profesora. Na twarzy Jaroda widać było wewnętrzny konflikt. Z uwagą patrzył na Zuzannę, jakby usiłował ocenić ją samą i wartość jej słów.

- Dobrze - oświadczył. - Zgadzam się. Ale jeśli mam kogoś zabrać, to zabiorę panią! - Wskazał palcem na Zuzannę.

- Doskonale! - Gus zatarł ręce, co miało oznaczać, że wszystkie doraźne problemy rozwiązano. - Mówisz rozsądnie, Zuzanno. Zawsze jesteś rozsądna. Idź z Jarodem, a ja zostanę tutaj i zaopiekuję się Laurą.

Zuzanna potrząsnęła przecząco głową i cofnęła się na swoje poprzednie miejsce pod ścianą.

- Nie, nic z tego - zaprotestowała. - Już to ustaliłyśmy, nim przyjechaliście. Ja zostanę, a Laura pójdzie z panem Jarodem.

- Słuchaj, Zuzanno - zaczął Gus. - Ty jesteś osobą spokojną, racjonalną, ostrożną. Zawsze zachowujesz zimną krew. Nawet w chwilach wielkich kryzysów. Któż mógłby być w takiej sytuacji lepszy...

- Dość, Gus! - wykrzyknęła Laura. - Sprawa zamknięta. Jestem lepsza w terenie niż ona. Zawsze tak było.

- To prawda - zgodziła się Zuzanna. - Ja jestem mól książkowy, a ty chrząszcz leśny.

- A ja wolę właśnie panią - odezwał się Jarod z ponurą miną. Zuzanna był zaskoczona jego uporem i natarczywością, ale raz jeszcze potrząsnęła przecząco głową.

- Pójdzie Laura - oświadczyła.

- Będzie pan miał mnie jako towarzyszkę wyprawy, panie Jarod. Czy pan tego chce, czy nie - zakończyła dyskusję Laura.

Piorunował ją wzrokiem, ale się nie ugięła.

Przed udaniem się na spoczynek Jarod wyraził chęć obejrzenia pokoju Tima, aby - jak powiedział - mógł go lepiej zrozumieć.

Usiadł za jego biurkiem i zaczął studiować lokalne mapy, które mu dostarczyła Laura. Były sporządzone przez wydział geodezji stanowego uniwersytetu. Pozbawione wielu szczegółów, dawały raczej ogólny obraz.

Jarod odnotowywał w pamięci układ terenu, wędrował w myślach różnymi szlakami, nawet tym najbardziej

nieprawdopodobnym, ale możliwym ze względu na stan umysłu Tima. Kalkulował, dokąd mogły skierować młodzieńca emocje i dlaczego.

Przejrzał też jego bibliotekę poświęconą naturze - książki, których Tim nie był zdolny w obecnym stanie czytać. Doszedł do wniosku, że zawierają bardzo istotną wskazówkę. W górach zobaczy, czy miał rację.

Wreszcie położył się w ubraniu na łóżku Tima i skoncentrował myśli na samym chłopaku.

Z transu wyrwał go Gus, który wpadł do pokoju bez pukania.

Jarod otworzył oczy i ujrzał zrozpaczoną twarz przyjaciela, który zatrzasnął za sobą drzwi, przysunął krzesło sprzed biurka i usiadł, kładąc chorą stopę na skraju łóżka.

- Przeszkodziłeś mi w koncentracji - mruknął tropiciel.
- Ty zrobiłeś gorzej. Ty mi zrujnowałeś życie! - wybuchnął Gus.
- Usiądź i skończ z tym swoim wudu.

Jarod westchnął i oparł plecy o tył łóżka. Założywszy ręce na piersiach, spojrzał z nieprzeniknionym wyrazem oczu na Gusa.

- To nie jest żadne wudu. I nie zrujnowałem ci życia. Robiłem, co mogłem, żeby została w domu.

- Więc się wymknij bez niej - prawie rozkazał Gus. - Jeszcze przed wschodem słońca.

- Kiedy one mają rację - odparł Jarod z powagą. - Podobnie było z niedorozwiniętą dziewczynką. Jej wuj poszedł ze mną. I to dobrze, bo dziewczynka nie chciała ze mną wracać. Przeraziłem ją. Próbowła uciekać, jak mnie tylko zobaczyła.

- No to i teraz idź z wujem.

- Masz tu wuja? - Jarod uniósł brew.

- Nie - przyznał Gus.

- Więc muszę wziąć tę kobietę. Nie ma innego wyjścia.

- Chcesz zabrać moją dziewczynę w te lasy, a ja mam tu zostać z Zuzanną? Wiesz, jaka jest recepta Zuzanny na rozrywkę? Partia szachów. Ją zabierz ze sobą. A moją zostaw tutaj.

- Twoja dziewczyna będzie bezpieczna. Mnie ona nie obchodzi. Ale jedna z nich musi pójść. Ta wysoka nie chce. Natomiast ta drobniejsza i niższa jest pielęgniarką. Tego mi nie powiedziałeś. To może być pomocne. I powiem ci jeszcze, że ta wyższa jest ładniejsza.

- Hej, nie obrażaj kobiety, którą kocham!

- Wcale nie obrażam. Po prostu mamy różne gusty.

Gus westchnął, Jarod patrzył w sufit. Prawdę mówiąc, był zaniepokojony. Powiedział przedtem prawdę: nawet w tych swoich okularach Zuzanna wydawała mu się ładniejsza. Natomiast Laura... Rozumiał fascynację Gusa. Była bardziej naturalna, miała kształty... bardziej kobiece, pełniejsze. No i ta jej żywotność! Co za temperament! Po prostu kipiała. I chociaż nie można było nazwać jej piękną, oczy miała uderzające. Zniewalające. Tak tryskały życiem, że przeobrażały całą twarz. A z każdego słowa emanowała szczerść przekonań i jakiś urok, który łagodził nawet gniew, gdy smagała nim Gusa. Mieszkała sobie w tym malutkim domku dla lalek na skraju lasu. Może też być leśnym duchem, zaczarowana, podobnie jak i las. Duchem lasu rozsiewającym zapładniającą myśli i czyny energię...

Tak, Jarod zrozumiał teraz dobrze, dlaczego Gus się w niej zakochał. Ale dlaczego ta myśl była mu nagle przykra?

-Przez ostatnie dwa lata ta dziewczyna to jak... szpada wbita w moje serce - oświadczył Gus. - Nie mogę jej pozwolić pójść samej. Pójdę z nią.

- Nie możesz. Ja idę szybko. Ty kulejesz.

- Będę szybko kulał.

- Nie wolno ci stawać na tej stopie. Czeka mnie długa droga, wiele kilometrów. Czy chcesz na zawsze uszkodzić sobie nogę? I nigdy już nie chodzić normalnie?

- Chcesz usłyszeć prawdę, to ci ją powiem. - Gus na chwilę zawahał się. - Kiedy poszliśmy za Tussardem, byliśmy w terenie pięć dni i cztery noce. Otóż ja nie mogę znieść myśli, że ona... zostanie w nocy sam na sam z tobą gdzieś w tych górach. Oszalałbym.

- Przecież ci powiedziałem, że nie masz się czym martwić. To twoja dziewczyna, z moim błogosławieństwem. Będzie ze mną bezpieczna. Ręczę słowem.

- Jest bardzo pociągająca. Niektórzy ludzie nie zdają sobie na samym początku z tego sprawy. Kiedy ją po raz pierwszy zobaczyłem, to pomyślałem, że owszem, wcale wcale, ale nic nadzwyczajnego. A potem, kiedy ona się uśmiechnęła, to sobie powiedziałem w duchu:

Estoy loco por ti. Quieres venir, y veras mis tatuajes?

- Oszalałeś na jej punkcie? - Jarod zmarszczył brwi. - Chciałeś jej pokazać swoje tatuaże?

- Jest to grzeczna forma powiedzenia, że aż drzę, żeby się rozebrać i...

-Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że... zbyt szybko i pochopnie się zadeklarowałeś? A może to hipnoza.

- Jej się podobało moje szybkie natarcie i deklaracja.

Powiedziała mi to.

- No i co się stało?

- Mówiłem ci. Odkryła, że trochę kłamałem.

- Nigdy mi nie mówiłeś, ile tego trochę było. No powiedz, ile?

- Około... stu procent. - Gus wzruszył ramionami. - Ale tylko co do faktów. Nigdy w sprawie uczucia. Powiedz jej to. Nigdy nie kłamałem na temat moich uczuć. Przekonaj ją, że porządny człowiek ze mnie. Powiedz jej, iż jestem absolutnie cudowny, dobrze?

Jarod miał na końcu języka słowa: Daj spokój, Gus. Nie ma na świecie kobiety wartej takiego zachodu. Ta również nie jest warta. Powiedział jednak co innego:

- Wszystko to powiem. Żeś chłop pierwszej klasy, najlepszy z najlepszych.

Gus jakby trochę otrzeźwiał.

- I łapy od niej z daleka, comprende!

- Comprende - odparł Jarod. - Nie dotknę jej, przysięgam.

- I będziesz moim adwokatem?

- Będę twoim adwokatem. - Jarod skinął głową. - Wymyślę ci jakieś zalety. Ale teraz się wynoś. Muszę jeszcze pomyśleć nad paroma sprawami.

- Jesteś fajny gość - powiedział Gus, - Dużo szczęścia w terenie!

Jarod pokiwał głową, nie patrząc jednak przyjacielowi w oczy.

Czuł się zakłopotany tą niespotykaną wylewnością.

Po wyjściu Gusa Jarod natychmiast położył się z powrotem. W prawą dłoń wziął woreczek z amuletami. Usiłował się skoncentrować.

Gdzie jesteś, szczeniaku? Jak się czujesz? W jakim będziesz stanie, kiedy cię odnajdę?

Nagle coś rozbłysło, na ułamek sekundy. Para przepięknych zielonobrunatnych oczu pełnych łez. Mocno zabiło mu serce.

Rozpoznał te oczy. Nie należały do Tima, ale do Laury Finlay. Co oznaczają te łzy? Zupełnie tego nie wiedział, tym niemniej spowodowały w nim spustoszenie.

Nie myśl o niej, ostrzegł sam siebie, przerażony rozwojem sytuacji. Dał Gusowi słowo honoru. W życiu nie złamał słowa czy przysięgi.

Nigdy nie zawiedzie przyjaciela, zwłaszcza jeśli w grę będzie wchodziła kobieta.

Laura przez całą noc miała koszmary. Widziała w nich Tima w bólu i niebezpieczeństwie. Obudziła się, gdy jeszcze było ciemno. Wiedziała, że już nie zaśnie.

Wstała, włożyła szlafrok i poszła do kuchni, ciesząc się panującą w domu ciszą i samotnością. Należało się przygotować do trudów towarzyszenia Jarodowi.

Nad kuchnią paliła się mała lampka. Ostatnio zostawiały lampkę zapaloną, ponieważ stwierdziły, że zawsze któraś z nich schodzi tu w nocy.

Sięgnęła po maszynkę do kawy i zobaczyła ze zdziwieniem, że maszynka jest już pełna gorącego napoju.

Wtedy nagle dostrzegła, że w półmroku przy kuchennym stole siedzi Jarod z wlepionym w nią wzrokiem i trzyma w ręku kubek z kawą. Nawet w tym nikłym świetle niemalże fizycznie odczuwała siłę jego spojrzenia.

- Ooo! Co pan tu robi?

- Rozmyślał. - Patrzył tak przenikliwie, że ciarki przeszły jej po plecach.

- Rozmyśla pan? Nad czym?

- Raczej o kim. O pani bracie.

- Ach tak. - Laura poczuła się nagle skrepowana, stojąc w kusej piżamie i starym niebieskim szlafroku. Z szafki nad kuchnią wyjęła kubek i naląła sobie kawy. Nie usiadła przy stole z Jarodem, ale oparła się o kredens. Popijała kawę drobnymi łykami.

W panującym w kuchni półświecie jego nos wydawał się jeszcze bardziej haczykowaty. Prawdziwie sępi nos. Tak, to dobre określenie. Był w tej samej co poprzedniego wieczoru ciemnej koszuli z rękawami zawiniętymi powyżej łokci. Na lewym przegubie miał skórzaną bransoletkę haftowaną koralikami.

- Niech pani lepiej coś zje - poradził. - Na długi czas ostatnia okazja cywilizowanego posiłku w cywilizowanym otoczeniu.

Zaniepokoiła ją uwaga o długim czasie.

- Będziemy go długo szukali? - spytała. - Co pan przewiduje?

- Nie wiem i nic nie przewiduję. Powinna się pani dobrze najeść.

Przeszył ją dreszcz. Nie mogła w ogóle myśleć o jedzeniu. Ale chyba powinna jemu coś zaproponować. Przestało padać, jednakże w górach będzie bardzo zimno. Nie może im zabraknąć kalorii.

- Coś panu przygotuję - zaofiarowała się, otwierając lodówkę. - Jajka?

- Niech się pani nie trudzi, bardzo proszę.

- To żaden trud - odparła, chcąc koniecznie czymś się zająć, coś zrobić. Byle co. Była zbyt świadoma obecności mężczyzny i to ją rozstrajało.

- Nigdy nie jem przed wyruszeniem w teren.

- Mnie pan każe jeść, a sam nic nie chce wziąć do ust? -

Spojrzała na niego bardzo zdziwiona.

- Nie.

- Pości pan? Jest to jakiś... rytuał, czy coś takiego?

- Nie. Po prostu mam taki zwyczaj.

- Ooo! - Zamknęła lodówkę.

- Ale pani koniecznie powinna zjeść śniadanie.

- Nie. Też nie chcę. Jedzenie staje mi w gardle. Cały czas myślę o Timie. Czy nie przymiera głodem. Czy nie jest mu zimno. A może jest przerażony. Może rozchorował się. Może ma jakieś kłopoty...

Jarod spojrzał na nią jeszcze intensywniej. Poczowała się znów nieswojo.

- Gus powiedział przecież, że chłopak umie się poruszać w tych zalesionych górach.

- Tim umiał poruszać się w tym terenie! - położyła akcent na czas przeszły. - Nikt tak dobrze nie znał okolicy jak on... Ale teraz... Kto to wie! Nie mam zupełnie pojęcia, czy potrafi się sobą zająć. I dlatego tak bardzo się martwię.

- Znajdziemy go. - Powiedział to tak po prostu, z wielką pewnością siebie, ale w tonie jego głosu nie było żadnego przechwalania się.

- Jest pan strasznie pewny siebie.

- Jestem.

- Ale w jakim on będzie stanie? Stale sobie wyobrażam. .. - Nie dokończyła. Zdała sobie sprawę, że oczy jej zaszklily się łzami. Zła na siebie za ten objaw słabości szybko otarła powieki.

Jarod odstawił kubek po kawie. Wstał i podszedł do Laury. Ściągnął w zamyśleniu brwi.

- Znajdziemy go. Tyle mogę obiecać. Wszystko w porządku?

- Oczywiście, że wszystko w porządku! - odparła z lekką złością, że ją zaskoczył. Ale nie było w porządku. Stały niepokój o Tima wyczerpał ją fizycznie i nerwowo. Czowała, że traci zdolność koncentracji i siłę woli. Postanowiła wziąć się jednak w garść.

Raz jeszcze otarła oczy, usuwając ostatnie ślady łez.

- Słońce wjeździe za kilka minut. Jest pan gotów do drogi?

- Ja jestem, a pani?

- Ja... Ja już zapakowałam wszystko, co mi potrzebne, kiedy tylko się dowiedziałam o pańskim przyjeździe. Zmianę ubrania.

- Jest to lekkie?

- Leciutkie.

Uśmiechnął się nieco ironicznie. Po raz pierwszy widziała uśmiech na jego twarzy. W lewym policzku pojawił się dołek. Była zaskoczona, zupełnie się tego nie spodziewając.

- Po co ta ironia? - Rozzłościły ją wątpliwości Jaroda wyrażone w tym uśmiechu. - Nie mam zwyczaju udawania się w lasy z suszarką do włosów i buteleczkami lakieru do paznokci. Nie zabieram też szynki w puszkach i słoików z majonezem.

- A pani brat? Co zabrał ze sobą? Już raz słyszałem, ale wolę usłyszeć raz jeszcze. Może coś się pani przypomniało. - Twarz Jaroda spoważniała.

- Śpiwór, zmianę ubrania, nóż, manierkę i tym podobny sprzęt kempingowy. Namiotu nie wziął. I miał tylko lekką kurtkę. Nie na taką pogodę.

- A żywność?

- Zupy w proszku, herbatę w torebkach, batony górskie. Wie pan, różne ziarna zbożowe w cukrze. Ale wszystkiego tylko trochę. Nie na tak długi czas.

- W lasach jest pełno żywności - powiedział Jarod. - Pani brat umie korzystać z darów natury?

- Umiał. - Przygryzła wargę. - Ale i dawniej nigdy tego nie robił, nie próbował wychodzić na dłużej niż parę dni. A co jeszcze pamięta

po wypadku, tego sama nie wiem. Dlatego się martwię. Może poczuć się zupełnie zagubiony, jeśli będzie głodny albo zasłabnie. Może doznać kontuzji albo... O Boże! - Westchnęła zdesperowana. Widać było, że za wszelką cenę stara się opanować. Lęk jej pogłębiał się, ponieważ Jarod nie wyraził nawet wiary, że Timowi nic się nie stało.

- Niech się pani ubierze na drogę - przemówił z niespodziewaną łagodnością.

Nie musiał długo czekać. Pojawiła się wkrótce z powrotem, po drodze zarzucając na plecy mały plecak. Podziwiał jej zorganizowanie. No i fakt, że tak szybko zdołała się opanować. Ubrana była właściwie. Granatowa ocieplana kurtka, tegoż koloru wełniana czapka, spod której wyzierały ogniste kosmyki włosów; czarne rękawiczki i buty, które już wiele przechodziły, ale były doskonale na wyprawę po bezdrożach. W pięknych zielonobrunatnych oczach widział pełne zdecydowanie.

- Idziemy! - oświadczyła krótko i poprawiła paski plecaka. Głowę trzymała dumnie podniesioną, jakby z wyzwaniem, by się z nią zmierzył.

Poczuł dziwny ucisk w gardle i po raz wtóry pomyślał, że wie, dlaczego Gus nie mógł o niej zapomnieć przez minione dwa lata.

- Nie chce pani pożegnać się z siostrą? - spytał. - Ani z Gusem?

- Nie mam ochoty czegokolwiek mu mówić - odparła. - A Zuzanna śpi. Niech sobie pośpi, biedactwo.

Jarod włożył plecak. Właściwie mógł się bez niego obyć i poruszać znacznie szybciej, ale nigdy nie wiadomo, w jakim stanie

będzie się znajdowała osoba poszukiwana. Musiał przecież mieć różne rzeczy na wszelki wypadek. Trochę żywności, coś ciepłego do okrycia, apteczkę pierwszej pomocy.

- Mam radio i racje żywnościowe dla siebie - oświadczyła.

Skinął głową. Poprzedniego wieczoru powiedziała mu o aparacie radiowym, danym jej przez szeryfa. Mały nadajniczek. Jeśli zajdzie konieczność, policja przyśle helikopter.

Jarod schował ocieplaną kurtkę do plecaka. Był zahartowany, przyzwyczajony do chłódów. Opuścił nisko na oczy szerokie rondo czarnego kapelusza. U pasa miał długi nóż w pochwie haftowanej koralikami. Aby pochwa nie przeszkadzała, przypiął ją paskiem do uda. Ten nóż był jego jedyną bronią. Innej nie uznawał.

- Ma pan mapy? - spytała Laura.

- Nie potrzebujemy map - odparł. Postukał się w czoło. - Są tutaj.

- Ale przecież pan nigdy nie był w tym terenie... Nie sądzi pan, że powinniśmy...?

- Musi mi pani zaufać.

- Ufam panu - powiedziała z powagą. Spoglądała nań przez długą, pełną napięcia chwilę.

- To dobrze. - Mój Boże, pomyślał. Jakie ona ma piękne oczy!

Rzadko kiedy czyjeś spojrzenie zmuszało go do opuszczenia czy odwrócenia oczu. Chyba nigdy. Ale tym razem to uczynił, bo poczuł nagle... pożądanie... I to do kobiety, którą kochał Gus.

- Tak, ufam panu - powtórzyła. - Będę szła za panem, jak długo i daleko będzie trzeba...

Nie odpowiedział. Jakiś spazm przemknął mu przez twarz. Nie spojrział już więcej na nią. Skinął tylko głową.

W szarym świetle poranka wyruszyli w drogę.

RS

ROZDZIAŁ TRZECI

Jarod szedł tak szybko, że Laura z wielkim trudem dotrzymywała mu kroku. Ale się nie poddawała.

Po jakimś kilometrze skręcił na południe, opuszczając się stromym zboczem w gęsto porośniętą gardziel.

Nie było tu najmniejszej ścieżyny, drogę utrudniały lianopodobne chaszczce, teren stał się nierówny i o tak gęstym poszyciu, że wprost plątały się nogi. Żaden z poprzednich tropicieli tu się nie zagłębił. Na każdym kroku jeżyły się przeszkody i poszukujący z pewnością doszli do wniosku, że Tim uciekając z domu, nie wybrałby tak trudnego zejścia. Jarod był najwidoczniej odmiennego zdania, gdyż oczy mu rozbłysły i pojawiło się w nich głębokie zadowolenie. Jego skupienie fascynowało Laurę, a jednocześnie wywoływało przedziwny lęk: czyżby on naprawdę dostrzegał coś, co dla wszystkich innych było niedostrzegalne?

Nie zadawała pytań, po prostu szła za nim. Ostrożnie stawiał bezszelestne kroki.

Gdy usiłowała iść jego śladami, zawsze słychać było lekki trzask lub szelest, zwłaszcza gdy nogi zaplątywały się w poszycie. Zaczepiła raz kolczastą gałąź jeżyny i rozdarła sobie dzinsy. Kolce rozorały jej skórę chyba do krwi. Nie zatrzymała się jednak, by sprawdzić.

Czuła się niezgrabna i nieporadna w porównaniu z Jarodem. Spoglądała na niego z coraz większym szacunkiem. Każdy jego ruch i

krok okazywały się w stu procentach celowe. Była w tym jakaś nieprawdopodobna doskonałość i jednocześnie tajemniczość.

Wybrał nowy kierunek - w bok odchodzącą ścieżynę, którą tylko on potrafił dostrzec. Zamiast przejść na drugą stronę jaru, na łatwiejszy teren, pozostał na dnie wąziutkiej, dziwnie wijącej się dolinki.

Wreszcie się zatrzymał, a po długiej chwili bez najmniejszego wyjaśnienia i widocznego powodu zmienił kierunek i zaczął wspinać się najbardziej stromym zboczem. Było tak strome, że Laura musiała sobie pomóc, chwytając się korzeni i gałęzi. W pewnej chwili, gdy zabrakło czegokolwiek do przytrzymania się, przeżyła chwilę panicznego strachu. Postanowiła jednak nie prosić o pomoc. Mógłby stwierdzić, że tak jak przewidywał, jej towarzystwo opóźnia go i jest mu dodatkową przeszkodą...

Jednakże w tym właśnie momencie Jarod odwrócił się, jak gdyby usłyszał jej myśli. Wyciągnął ku niej rękę.

Rozgrzana, dawno już zdjęła czapkę i rękawiczki. Jego palce zwały się z jej palcami. Był to ich pierwszy dotyk. Iskra przebiegła jej przez ciało.

Jego uchwyt był tak mocny, że kiedy podciągnął ją do poziomu, gdzie znów wystawały mogące jej pomóc we wspinaczce korzenie i gałęzie, miała wrażenie, iż jakaś nadludzka siła wznosi ją pod niebo. Wtedy ją puścił. Z obłoków wylądowała na ziemi. Znowu była zwykłym śmiertelnikiem.

Na dwóch trzecich zbocza zatrzymał się tuż pod skalnym występem. Podciągnął się, stanął na nim i pochylił się wyginając grzbiet. Laura pomyślała z rozbawieniem, że podobny jest do polującego kota. Wpatrywał się pilnie w kamienny chodnik. Ona też się podciągnęła i usiadła na skale, usiłując ukryć przyśpieszony, zbyt głośny oddech zmęczenia. Spojrzała na zegarek. Wyszli z domu przed ponad trzema godzinami. Była wdzięczna za tę choćby minutę odpoczynku. Zastanawiała się, czemu on się tak intensywnie przygląda.

Wyprostował się. Spojrzał na Laurę i głową wskazał kierunek południowy.

Wzdychając zaczęła wstawać. Jednakże plecak zrobił się strasznie ciężki, nogi dygotały. Potknęła się i zatoczyła. Czuła, że lada chwila spadnie i stoczy się w dół stromym zboczem.

W ostatnim momencie silna dłoń mężczyzny uchwyciła ją za łokieć. Przez chwilę zwisała na samym skraju skalnego występu, huśtając się bezradnie. Jarod drugą ręką pochwycił pas jej plecaka i wciągnął ją z powrotem na kamienny chodnik.

Mocując się z ciężkim plecakiem, musiała mocno oprzeć się o Jaroda.

Szorstkim ruchem odsunął ją od siebie, ale trzymał dalej w silnym uchwycie, czekając, aż Laura całkowicie odzyska równowagę. Usta miał zaciśnięte, wzrok nie-odgadniony.

- Wszystko w porządku? - spytał.

- Chyba... tak - wyjąkała. Ale ciągle jeszcze czuła ten okropny lęk, że już spada w przepaść, a surowość malująca się na twarzy mężczyzny wywoływała w niej dodatkowe poczucie winy.

- Niech pani będzie bardziej ostrożna - powiedział surowo, puszczając ją.

Laura wzięła głęboki oddech i ruszyła za nim, idąc jednak już znacznie mniej pewnie.

Czy Jarod rzeczywiście sądził, iż Tim wybrałby podobną drogę? Przecież od wypadku kulał na lewą nogę w chwilach zmęczenia, a prawą rękę miał bardzo słabą. Nie utrzymałby się na niej, gdyby nagle musiał czegoś się chwycić, by nie spaść.

A może właśnie spadł? Przeraziła ją ta myśl. Zacisnęła zęby i szła nieporadnie za Jarodem. Postanowiła nie patrzeć w głęboki jar.

Serce w niej prawie zamarło, gdy zobaczyła przed sobą kolejny występ w skale, zaczynający się nieco wyżej. Stanowił jakby dach dla wąskiej ścieżyny, którą szła teraz. Musiała schylić głowę, aby się zmieścić.

Jarod posuwał się w półzgięciu. Nagle dał jej znak, by ujęła jego dłoń. Nie pytała, o co chodzi, lecz spełniła żądanie. Po raz wtóry dotyk męskiej dłoni był jak lekkie porażenie prądem. Co się z nią dzieje? Co w nim jest?

Dlaczego on tak na mnie patrzy? - zastanawiała się. Jest na poły zły, na poły zdumiony. Czy on naprawdę ma do mnie tak wielką urazę za to, że się wprosiłam do towarzystwa? Właściwie go zmusiłam, żeby mnie zabrał. Uważa, że mu przeszkadzam?

Zobaczyła teraz, dlaczego podał jej rękę i naprawdę się przestraszyła. Kamienny chodnik zwężał się zaledwie do parunastu centymetrów.

Pod nimi była prawie prostopadła ściana. Stali na skraju urwiska.

- On przecież nie mógł tędy przejść! W żaden sposób nie mógł! - wykrzyknęła.

- Ale przeszedł! - odparł wykluczającym dyskusję tonem. - Proszę teraz robić dokładnie to, co ja. Stawiać stopy tam, gdzie ja stawiałem.

Zacisnął mocno palce na jej przegubie i wykonał parę ruchów, które Laurze wydawały się fragmentem skomplikowanego tańca. Pociągnął ją za sobą, a kiedy się zachwiała, stanął, zrobił obrót, ujął dziewczynę pod ramiona, uniósł w powietrze i zataczając nią wielki łuk, przestawił na bezpieczne miejsce.

Znalazła się nagle tuż przy nim. Oboje ciężko dyszeli. Skalny występ znów był szeroki i mogli stosunkowo bezpiecznie iść dalej.

Jak udało mu się przejść i to w dodatku z nią? Może ma wbudowany jakiś naturalny żyroskop? A może fruwa? Było w tym niewątpliwie trochę magii. Czują dlań olbrzymi podziw.

Puścił ją wolno, gdy tylko oparła się stopami o ziemię. Zupełnie jakby było mu wstrętne dotykanie jej. Nawet na nią nie spojrział.

- Idziemy! - powiedział ostrym tonem i ruszył przed siebie. Kamienny chodnik skręcał teraz dość ostro w lewo.

Z powodu nawisu nad głową Laura musiała iść, z podkurczonymi nogami, nisko pochylona. Wyszła z zakrętu i znowu serce zabiło jej niespokojnie.

Skalny występ ponownie się zwężał. Nawet górską kozicą tędy by nie przeszła. Laura przełknęła ślinę parę razy, zastanawiając się, czy Jarod i tym razem zacznie uprawiać lewitację.

- Właśnie tutaj - powiedział, jakby te dwa słowa wszystko wyjaśniały.

Jego oczy miały teraz dokładnie barwę szarego nieba, na którego tle stał.

- Co tutaj? - spytała, a serce waliło jej nieprzytomnie.

- On tutaj się zatrzymał. - Jarod był zadowolony, a jednocześnie czymś poważnie zmartwiony. Spojrzał na obrośnięte zbocze.

Laura poszła za jego wzrokiem i nagle dostrzegła wąskie pęknięcie w skale - otwór ponad metr wysoki i na pierwszy rzut oka niedostrzegalny, gdyż obrastał go bluszcz i jakieś pnącza. Mógł prowadzić do pieczary. Nigdy by się niczego nie domyśliła, gdyby Jarod nie zwrócił jej uwagi na to miejsce.

- Pieczara? - spytała z niedowierzaniem. - Zatrzymał się w pieczarze? I to niezbyt daleko od domu! Jesteśmy w drodze dopiero od czterech godzin, prawda? - Spojrzała na zegarek.

- Był tu z pewnością. Widać zadrapania na mchu, złamane gałązki...

Przyjrzała się bliżej skale pokrytej zielonkawym mchem, ale nie dostrzegła żadnych śladów.

Jarod urwał usychającą gałązkę powojowatej rośliny, przesłaniającej wejście do jamy.

- Wyraźny ślad jego obecności.

Skąd ta pewność, że to Tim? Pan Jarod nie należy do skromnych, pokornych i omylnych, pomyślała z ironią. Nawet nie sprawdził, czy szczelina w istocie prowadzi do pieczary.

Okazało się, że prowadziła. Laura wsadziła w nią głowę i w półmroku dostrzegła długi rozszerzający się tunel, na trzy metry głęboki, zasłany w głębi liśćmi tworzącymi prymitywne posłanie. Bliżej wyjścia dno stawało się czarne, jakby ktoś palił tam ogień i zmiotł następnie popiół. U samego wylotu skała była wilgotna i obłożona.

Tropiciel ukląkł, rozgarniając pnącza, i przyglądał się błotnistemu skrawkowi ziemi.

- Ślad jego buta. Chyba jego. Miał takie buty?

- Tak - odparła.

- Mogę nawet wymienić firmę, która stosuje ten wzór na terenowych podszwach. David Guard.

Jarod miał rację. Ogarnęło ją podniecenie. Naprawdę trafili na ślad Tima!

- Nigdy bym nie poznała, że to jest ślad obuwia.

- Sprawa doświadczenia. Spędził tu swój pierwszy dzień poza domem. Właśnie ów dzień, kiedy tak intensywnie go szukaliście.

- Skąd pan wie, że to był pierwszy dzień? Może uciekł gdzieś daleko, a potem zatoczył koło?

- Nie. To był na pewno pierwszy dzień. Ten ślad ma co najmniej cztery dni.

Wyjął latarkę i zaczął oświetlać ślad pod różnymi kątami. Wskazał na czerwono-biały skrawek papieru.

- Coś to pani mówi? - spytał.

Przyjrzała mu się bliżej. Można było jeszcze odczytać część słowa: „Nutri...”

- Opakowanie batonu odżywczego. Nutri-Farm. Zabrał ich kilka.

- Tak, on tu był. I z pewnością widział szukających go ludzi, którzy szli przeciwnym zbroczem jaru.

- Ja z nimi szłam. - Coś ją ścisnęło w gardle. - A on tu był, o parędziesiąt metrów ode mnie. Krył się jak... jakieś zwierzę... I widział mnie!

- Być może. I spał tutaj. - Jarod wskazał poślanie w głębi jamy. - A kiedy poczuł się bezpieczny, gdy poszukujący już przeszli, rozpałił ogień. - Pokazał palcem czarną plamę u wylotu i pokiwał głową.

- Biorąc pod uwagę jego ułomność umysłową, to trzeba przyznać, że chłopak jest wyjątkowo przebiegły, bardzo sprytny.

- Jakże pan może coś podobnego mówić? Przebiegły i sprytny? To raczej szaleństwo! Zatrzymał się tak blisko domu i podglądał, jak go szukamy! I po co był tutaj ten całodniowy odpoczynek? Przecież po czterech godzinach nie mógł czuć się już zmęczony. Boże drogi, co też mu chodziło po głowie?

- Zatrzymamy się tutaj. Muszę postarać się wczuć w niego. Zastanowić się, co zrobił potem. Widzę, że to bardzo wyprowadziło

panią z równowagi. - Wycofał się na kamienny chodnik i usiadł najpierw wyciągając nogi, a potem podkurczając je pod siebie. Tak zawsze siadają Indianie, pomyślała.

- Nie jestem wyprowadzona z równowagi - zaprotestowała. - Tylko zaskoczona.

Jarod wyjął z plecaka kawałek suszonego mięsa. Zaproponował Laurze poczęstunek.

Nie miała ochoty na podobny specjał i odmówiła. Natomiast była wdzięczna za okazję do odpoczynku. Ponieważ również poczuła się głodna, wygrzebała ze swego plecaka czekoladowe batony. Jarod spojrział na nie z lekką pogardą.

- Czy to jest pani prowiant? - spytał z zimną ironią w głosie, odwracając jednocześnie głowę, jakby jej widok sprawiał mu przykrość.

- Mam tylko dotrzymywać panu kroku - odparła. - Ale chyba bez obowiązku jedzenia tego samego, co pan. Pan się będzie karmił zapewne jagodami leśnymi, suszonym mięsem, jakimiś smacznymi korzonkami - i może jeszcze przepyszna korą, ale to nie jest moje ulubione pożywienie.

Wzruszył ramionami, nie trując się nawet, by otworzyć usta. Laura rozzłoszczona jego oziębłością i milczeniem odzyskała nagle dawną werwę i za-czepność. Przez chwilę miała wielką ochotę zepchnąć go w dół.

- Niech pani nie traci energii na złość siebie. Obróci się to przeciwko pani.

Czyżby ten diabeł czytał w jej myślach?

- Jestem zdenerwowana bratem - odparła, chcąc się jakoś usprawiedliwić. - Postępuje zupełnie irracjonalnie, jeśli rzeczywiście zrobił to, co pan powiedział.

Jarod wypowiedział jedno krótkie słowo: nie. Patrząc na horyzont, odgryzł kawałek mięsnego suszu i zaczął metodycznie żuć.

- Co to znaczy „nie”? - spytała. - Może byłby pan łaskaw mi wyjaśnić, czy też w tym lesie obowiązuje świątynne milczenie?

Obrzucił ją spojrzeniem, które jasno wskazywało, że jej uwaga wcale nie jest zabawna.

- Tim myśli bardziej racjonalnie niż pani - odparł. - W każdym razie myślał racjonalniej przed czterema dniami.

- Skądże ten wniosek?

- Dlatego, że miał w założeniu coś więcej niż tylko ucieczkę z domu. Ucieczka plus skrętne unikanie...

- Gestem ręki wskazał przeciwległe zbocze.

Laura nadal niewiele z tego rozumiała.

- No więc co z tego? - Poczowała suchość w gardle. Wyjęła manierkę i odkręciła nakrętkę.

- Czy pani kiedykolwiek spojrzała na jego książki? - spytał.

- Codziennie je widzę - odburknęła.

- Nie mówię o patrzeniu na okładki. Czy widziała pani podręcznik pod tytułem „Nauka przetrwania”?

- Nie zwróciłam na to specjalnej uwagi.

- Wydany przez lotnictwo wojskowe.

- No i co?

Ugryzł kolejny kawałek suszonego mięsa.

- Jest to podręcznik omawiający sposoby przetrwania w trudnych warunkach. Zawiera nauki dla lotników, których samoloty zostały strącone nad wrogim terytorium. Jeśli ląduje się na terenie wroga, to w celu przeżycia należy unikać schwywania, trzeba uciekać.

- No to dlaczego Tim nie uciekł dalej?

- Proszę mi powiedzieć, kiedy ekipy ratownicze poszły w teren? Laura zaczęła powoli rozumieć.

- No tak, w ciągu dnia. I wracały o zmierzchu.

- A tropicielom znacznie łatwiej jest dostrzec człowieka w ruchu niż nieruchomego, prawda? No więc Tim pozostawał przez całe dni w bezruchu.

- To znaczy, że nie zobaczymy go w ciągu dnia...? -Ponownie ogarnęła ją fala rozpacz. - On wybiera miejsca zakamuflowane?

- Tak. Naturalny kamuflaż. I kiedy się wie, że jest się poszukiwanym, najrozsądniej jest pozostawać w najmniej prawdopodobnym miejscu. Dlatego też schronił się w pobliżu domu. Nikt się nie spodziewał, że jest tak blisko.

Laura zaczynała rozumieć, iż postępowanie Tima wcale nie było takie irracjonalne, jak początkowo sądziła. Co gorsza, zbyt rutynowo myśleli poszukujący go tropiciele.

Mając głowę pełną rozbieganych myśli, przypomniała sobie nagle, że w drodze rozdarła sobie dzinsy i nawet nie sprawdziła, czy nie było skaleczenia. Podciągnęła nogawkę i zobaczyła szeroką

szramę na całej długości łydki. Uświadomiła sobie nagle, że bardzo ją to piecze.

- Kiedy to się stało? - spytał Jarod.

- Już nie pamiętam. Chyba w jeżynach.

- Dlaczego nic pani nie powiedziała?

- Bo to nie było takie ważne - mruknęła. - Niech pan mi da apteczkę i mówi dalej o tej książce.

Położył koło niej apteczkę, a następnie wyjął z kieszeni czystą chustkę i zmoczył ją w wodzie z manierki.

- Pani pozwoli, obmyję...

- Ja sama obmyję. - Złękła się jego dotyku.

- Niech pani się nie rusza - rozkazał. - To więcej niż zadrapanie.

Tu jest wbity kolec. - Unieruchomił jej nogę powyżej łydki i zaczął przecierać skaleczenie.

Zacisnęła zęby, żeby nie krzyczeć z bólu.

- Ale rozorało! - Zaklął pod nosem. - Wyciągnięcie tego kolca było chyba gorsze, niż wydłubywanie śrutu, z dzika.

- Ja już sama zdezynfekuję - oświadczyła, usiłując wyswobodzić się z ucisku jego dłoni.

- Nie, ja to zrobię - odparł tonem nie dopuszczającym dyskusji. - Nadal krwawi, a więc to musi być zrobione dokładnie. Nie chcę, żeby nastąpiła infekcja.

- Pańska troskliwość oszałamia mnie. Zapomina pan o małym drobiazgu. To ja jestem wykwalifikowaną pielęgniarką.

- Być może. Ale nie chcę, żeby w drodze była pani dla mnie ciężarem - nie ustępował.

- Proszę dalej mówić o rozumowaniu Tima - powiedziała szybko, chcąc koniecznie zmienić temat.

- Przez długi czas będzie się przemieszczał. Kiedy wreszcie zdecyduje się zatrzymać na dłużej, to wybierze miejsce podobne do tego tutaj. Naturalną kryjówkę. Będzie unikał punktów orientacyjnych, oznaczonych na pani mapie. Wybierze teren trudno dostępny, bujnie porośnięty.

Zdezynfekowane miejsce posmarował maścią anty-septyczną.

- I co jeszcze? - nalegała Laura, usiłując tym pytaniem pokryć nie tylko szczypanie środka odkażającego, ale i wrażenie, jakie wywołał dotyk jego dłoni.

Na maść położył gazę i kawałkami wąskiego plastra przylepił ją do łydki, po czym usiadł na skrzyżowanych nogach i po prostu patrzył na nią.

Pospiesznie opuściła nogawkę dzinsów. Wskazując na opakowanie po czekoladowym batonie, Jarod powiedział:

- Namawiam na jeszcze jeden. Mam nadzieję, że są pożywniejsze, niż wydają się na oko.

Była wciąż głodna, więc zjadła drugi baton. Ciekawe, dlaczego on tak krytycznie ocenia jej batony. Wzięła je nie z działu słodczy, ale z półki tak zwanej dobrej żywności. Podobno były witaminizowane. Tak głosiła etykieta.

- Co Tim jeszcze może zrobić? - spytała.

- Myślę, że kiedy zdecyduje się na stałe miejsce pobytu - umownie tak je nazwijmy w odróżnieniu od krótkich jednodniowych postojów - to wybierze je gdzieś wysoko. Po pierwsze wszelkie odgłosy są tam wytłumione, po drugie siła wiatru jest mniejsza.

Zdjął z głowy kapelusz i przeczesał palcami złocisto-brunatne włosy. Zamyślił się.

- Na pewno będzie unikał wodnych szlaków, będzie niesłychanie ostrożny, pilnując się, by nie zostawić oczywistych śladów pobytu. A przede wszystkim będzie dużo odpoczywał. Przemieszczać się będzie wyłącznie o świcie i o zmroku. Pani i ja nie możemy sobie pozwolić na podobny luksus. Musimy przez cały czas za nim podążać...

Laura z przyjemnością schrupała cały baton i popiła wodą.

- Słusznie - przyznała. - A więc idziemy. – Uklękła i ujęła plecak, by go założyć na plecy.

- Nie. - Była zaskoczona, gdy Jarod wyciągnął dłoń i chwycił aluminiową ramę plecaka. Przypadkowo musnął jej dłoń. Znow poczuła, jakby poraził ją prąd.

Zaniepokoił ją jego dziwny wyraz oczu.

- Co? Dlaczego?

- Zobaczy pani.

- Proszę powiedzieć mi prawdę. Czy widział pan coś, czego ja nie zauważyłam, co stanowi powód do niepokoju? Czy to dotyczy Tima?

Nacisnął kapelusz głęboko na oczy, wziął swój plecak i chciał wstawać, ale teraz ona z kolei chwyciła go za ramię.

Na chwilę zastygł, wpatrując się w jej dłonie.

- Niechże pan powie! Chcę wiedzieć. Jestem jego siostrą. Widzę, że coś pana w tym wszystkim niepokoi.

Długo milczał. Na krótko spojrzął jej w oczy, potem odwrócił wzrok ku czarnej plamie po ognisku.

- To właśnie mnie niepokoi - odparł. - Dlaczego tak wcześnie po opuszczeniu domu rozpalił ogień. Było dość chłodno, ale nie zimno. Dziwna decyzja. I druga rzecz. Zostawił po sobie liczne ślady. To wskazywałoby, że nie jest taki ostrożny, za jakiego się uważa. Ale to jeszcze nie wszystko. Miejsce, które wybrał i gdzie teraz jesteśmy. Nie ma stąd dróg ucieczki. Alternatywnych. Jeśli na samym początku, gdy był jeszcze stosunkowo wypoczęty, zrobił tyle błędów, to ile ich popełni potem? Mam nadzieję, że nie zrobi takiego błędu, na skutek którego wyrządzi sobie poważną krzywdę.

-I to wszystko? Nic więcej? Niczego pan przede mną nie ukrywa?

Znow zerknął na leżącą jeszcze na jego ramieniu dłoń i cofnął ją, wyswobadzając się z uścisku.

- To wszystko. Idziemy.

- I dokąd teraz? - spytała.

Zbocze poniżej opadało zbyt stromo, aby móc się nim posuwać dalej, kamienny chodnik natomiast zwęzał się nieoczekiwanie, uniemożliwiając dalszą drogę.

- Nie ma wyboru - odparł. - W górę. Przeraziła się. Ta oznaczała konieczność wspięcia się na kamienny nawis nad ich głowami. I nie

wiadomo, czy powyżej nawisu nie ma pionowej ściany. Z miejsca, w którym stali, nie było tego widać.

- W górę? - wyjąkała.

- W górę - potwierdził.

- A skąd pan wie, co tam jest, może jakaś stromizna? Możemy utknąć.

- My nie wiemy, ale pani brat musiał wiedzieć, że można tamtędy przejść, bo taką drogę wybrał.

Przyjrzał się dobrze kamiennemu okapowi i zamachnąwszy się, wrzucił tam plecak. Słyszała uderzenie aluminiowej ramy o kamień.

Odczekał chwilę i podskoczył, chwytając palcami skraj nawisu. Napięte jak postronki mięśnie ramion dźwigały go powoli w górę. Potem jednym obrotem w powietrzu usiadł na skale.

- Jarod! - zawołała. - Chyba nie potrafię. Wychylił głowę. Wydawało się jej, że jego twarz wyraża dezaprobatę.

- Proszę mi podać plecak.

- Naprawdę nie dam rady...

- Proszę podać mi plecak!

Westchnęła głęboko, ale wykonała polecenie. Nawet ta pozornie prosta czynność wywołała zawrót głowy. Musiała odchylić się do tyłu, co rodziło nieprzyjemne uczucie i obawę, że spadnie na dno jaru.

- A teraz proszę wyciągnąć do mnie obie ręce. -Ale...

- Mamy szukać pani brata czy prowadzić debatę? Zdmuchnęła znad oka rudy kosmyk, zacisnęła usta w linijkę i podała mu rękę. Bez ceregieli chwycił ją mocno w przedramionach.

-Proszę zacisnąć palce na moich rękach. Mocno - polecił.

Laura chwyciła go, ale w chwili gdy odrywała się od ziemi, jej lewa dłoń zsunęła się z jego ręki. Wpadła w panikę. Zaczęła nogami kopać powietrze, wpatrując się przerażonym wzrokiem w przepaść.

- Niech się pani ze mną nie zмага! - krzyknął Jarod nad jej głową.

Laura nie była świadoma, że z nim walczy. Zmagała się z własnym lękiem. Zaczęła jeszcze bardziej wierzgać, poszukując rozpaczliwie oparcia dla nóg.

Jarod głośno zaklął i pociągnął dziewczynę na tyle, że udało mu się chwycić za kołnierz jej kurtki. Wówczas poszło już łatwiej. Po chwili mógł objąć Laurę ramieniem. Wsparł się mocno i wydzwignął ją na skalny nawis. Odetchnął głośno z wielką ulgą. Laura dygotała, wtulając się instynktownie w jego ramiona. Trzymał ją mocno, wsparty plecami o skalną ścianę.

Czuła, że opuściły ją wszystkie siły. Oddychała ciężko, serce biło jak młotem, uszy pulsowały. Dochodziły ją jego cicho wypowiedane przekleństwa. Właściwie to miał oddech bardziej urywany niż ona.

Raz jeszcze zaklął i zacisnął dłonie na jej ramionach.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

Twarz miała wtuloną w jego pierś. Na czole i policzkach czuła guziki jego koszuli i koraliki naszyjnika.

- Tak.

- Cała i zdrowa?

- Chyba tak.

Usiadł pod samą ścianą, odciągając ją jak najdalej od skraju nawisu. Nie zwolnił uścisku. Po minucie odsunął ją od siebie i kładąc obie dłonie na jej ramionach, spojrzał w oczy.

- Nie zrobiłem pani jakiejś krzywdy?

Nie potrafiła znaleźć odpowiedzi, więc tylko potrząsnęła głową.

- Czy nie zrobiłem pani krzywdy? - powtórzył pytanie.

-Nie...

- No to dlaczego puściła pani moją rękę? Dlaczego walczyła pani ze mną?

Palcami przeczesła włosy.

- Nie miałam takiej intencji, ale kiedy tak wisiałam nad przepaścią...

Podciągnęła pod brodę kolana i objęła je obiema rękami. Wtuliła głowę w ramiona, usiłując opanować nerwowe drżenie całego ciała.

- Jest mi bardzo przykro - ciągnęła upokorzona i wstrząśnięta. - Mogłam strącić pana w dół...

- Takiego niebezpieczeństwa nigdy nie było. Powstała po prostu głupia sytuacja. Głupia, ot co. Nie jest pani znowu taka ciężka. Ale kopie pani po mistrzowsku.

- Wpadłam w panikę. Wiem, że się szarpałam jak ryba na wędce. Postaram się, żeby to się już nie powtórzyło. Nie lubię tracić nad sobą kontroli. - Trzepnęła się pięścią po udzie. Zabolalo. Powtórzyła.

- Miała pani kiedyś problemy z wysokością?

- Miałam - przyznała. - Boję się wysokości i wąskich przejść.
Nie mogę nic na to poradzić. Ale staram się opanować...

- Dlaczego mi pani przedtem nie powiedziała? Ja muszę wiedzieć o takich rzeczach.

- Nie spodziewałam się, że tak zareaguję. Po prostu nie wiedziałam. Możemy już z tym skończyć?

- Niech pani nie przeżywa tego tak tragicznie. Następnym razem obwiążę panią liną, jeśli zajdzie potrzeba. Teraz już czuje się pani dobrze, Lauro? Hej, Lauro!

Podniosła głowę i wbrew sobie spojrzała mu prosto w twarz. Z trudem powstrzymywała łzy.

- A tak w ogóle, zachowuje się pani pierwsza klasa, po sportowemu. Gus powiedział, że dzielna z pani dziewczyna. Udusiłby mnie, gdyby się dowiedział, że naraziłem panią na niebezpieczeństwo. Zamrugnęła gwałtownie, jakby się nagle ocknęła.

- Przed minutą huśtałam się nad kanionem, czy jak to nazwać, a pan się tylko martwi o Gusa?

-Gus jest... jakby tu powiedzieć... Gus bardzo panią lubi... - odparł zakłopotany. - Obiecałem mu, że będę się panią dobrze opiekował.

- Gus! - prychnęła. - Niech pan mi lepiej poda plecak.

Zrobił to, a potem przyglądał się jej z wielką uwagą, gdy go zakładała. Jednakże nie pośpieszył z pomocą. Założył swój.

- Gus to bardzo porządny chłop - rzekł bez entuzjazmu.

Nie odpowiedziała. Podniosła się i usiłowała opanować dygotanie kolan. Zaczęła rozglądać się dookoła, aby choćby tym podkreślić absolutną obojętność wobec jego oświadczenia.

- Nie wierzę, aby Tim tędy się wdrapywał - powiedziała. - Przecież tu z łatwością można się zabić.

- Prawdopodobnie chadzał tędy od dziesiątego roku życia. To wcale nie jest taki trudny teren dla mężczyzny, który pasjonuje się wspinaczką. Kobiety są słabsze...

- Moim zdaniem bardzo ryzykował. A gdyby go złapał jakiś skurcz?

- Ale nie złapał. On tędy przechodził. Jest tu pełno śladów. Choćby zadrapania na skale. Ktoś tu był niedawno. Na samym brzegu skały jest świeża rysa. Od uderzenia czymś stalowym. Ja jej nie zrobiłem. Prawdopodobnie on uderzył czekanem.

Trudno jej było wyobrazić sobie brata w podobnym miejscu. Wspomnienie ostatniego przeżycia jeszcze teraz ją przerażało. Jarod obejrzał niebo. Chmury wydawały się ciemniejsze, płynęły szybciej, wiał mocniejszy wiatr.

- Idziemy. Temperatura wyraźnie spada. Musimy dotrzeć do niego, nim spadnie poniżej zera.

Laura skinęła głową. Mieli przed sobą bardzo niebezpieczną wspinaczkę. Nie wiadomo, jakie jeszcze przeszkody wybrał sobie Tim, aby zmylić pogoń. Chętnie podzieliłaby się z Jarodem swoimi obawami, ale po prostu się wstydziła. Nie chciała, by pomyślał, że jest tchórzem. Poza tym ta jego nieprzystępna mina...

- Chodźmy! - powiedział ostro. - Jeśli rzeczywiście czuje się pani dobrze, to jest okazja, by tego dowieść. - Nawet na nią nie spojrział.

Starannie wybierał drogę, korzystając ze śladów pozostawionych przed czterema dniami przez Tima: tu złamane pędy, tam poruszony kamyk, gdzie indziej nadłamana gałąź krzewu. Chłopak musiał się też skaleczyć, gdyż Jarod znalazł kawałek wydartego z kurtki materiału, z którego deszcz nie zdołał zmyć wszystkich śladów krwi.

Od chwili opuszczenia pieczary Tim bardziej kulał. Dowody na zboczu były niezaprzeczalne. Chłopak czuł się więc osłabiony już przed czterema dniami. Tak, nie należało tym martwić Laury. Nie należało też jej martwić kolejnym potencjalnym problemem brata: zbliżającą się falą zimna.

Należało odnaleźć Tima jak najszybciej. Nie tylko ze względu na chłopaka, ale i Gusa. Im szybciej dostarczy Laurę zdrową i całą Gusowi, tym lepiej.

Nie wolno o niej myśleć i tak jej się przyglądać z upodobaniem. Postanowił całkowicie ją ignorować.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Wbrew pobożnym intencjom nie tylko nie potrafił ignorować Laury, ale musiał ją ponadto podziwiać. Dotrzymywała mu kroku, nie domagała się uprzywilejowanego traktowania i na nic nie narzekała. Jednakże Jarod okazywał szorstkość, gdyż nie widział innego sposobu utrzymania dystansu.

Laura szybko otrząsnęła się z szoku po przygodzie na skalnym nawisie. Pod tym względem przypominała trochę Gusa, którego zachowanie na florydzkich bagnach było podobne: szalony upór w dotrzymywaniu Jarodowi kroku oraz głośne pokpiwanie z samego siebie.

Tropiciel niestrudzenie parł naprzód. Późnym popołudniem odnalazł drugą kryjówkę Tima. Małą pieczarę położoną nisko na zboczu, powyżej odnogi Zakłętej Rzeki. W tym miejscu chłopak również pozostawił ślady: ciemną plamę po ognisku i - co było wielką nieostrożnością uciekiniera - odpadki.

Na tym postoju Jarod poczuł się bardzo głupio. No bo jakże ignorować obecność kobiety stojącej tuż u jego boku. Skupiona, niespokojna, rozwijała papierki po odżywczych batonach.

- Zbyt szybko maleją mu zapasy - stwierdziła. - O, proszę spojrzeć! - Podniosła z ziemi wyciśniętą torebkę fusów herbacianych. - I coś bardzo dziwnego. Jest tu jeszcze kartonowa etykieta. Tim wydaje się aż do przesady skrupulatny w oddzieraniu wszystkich

etykiet i pozbywaniu się zbędnych opakowań. Każdy gram niesionego ciężaru był dla niego istotny. - Potrząsnęła smutno głową.

- A pani? - spytał Jarod, którego bardzo martwiła zasmucona twarz dziewczyny. A przecież nie powinno go to obchodzić.

Spojrzała na niego zdziwiona, nie rozumiejąc pytania. Szła od jakiegoś czasu bez czapki i teraz nawet w półmroku jej włosy połyskiwały złotawym blaskiem.

- A pani co robi? - powtórzył pytanie. - Pani także odrywa etykietki od herbacianych torebek?

- Oczywiście! Tim ma rację. Pod koniec dnia waga plecaka wydaje się podwójna.

Zastanawiające... Kobieta, która odrywa etykietki od torebek z herbatą, żeby zmniejszyć ciężar plecaka! Co o tym myśleć? Gus powiedziałby z pewnością, że to objaw niemalże chorobliwy.

- Jarod!

Zastygł, słysząc swoje imię wypowiedziane miękko głosem Laury. Ilekroć tak mówiła, powstawała między nimi jakaś nowa więź komplikująca sytuację.

- Słucham? - odparł.

- Bardzo mnie martwi pozostawianie przez Tima tylu śladów. To do niego niepodobne. To bardzo źle, prawda? To oznacza, że...

- To nic nie oznacza. - Owszem, oznaczało, ale nie chciał jej dodatkowo niepokoić.

Podeszła bliżej. Spojrzał na nią i zaraz tego pożałował. Jej oczy prosiły o pomoc, o prawdę. Serce mu stopniało.

- Niech pan mi powie, Jarod! Niech pan nic przede mną nie ukrywa. Chcę być na wszystko przygotowana... Nie podoba mi się to miejsce. - Wzdrygnęła się. - Nachodzą mnie złe myśli. Dlaczego nie wybrał lepszej kryjówki?

Laura miała rację. Chociaż nie dostrzegła wszystkiego i nie umiała właściwie interpretować, okazywała doskonały instynkt. Docierały do niej wibracje tej pieczary. Nie były to dobre wibracje.

Paskudne miejsce, brudne, wilgotne. Musiały kryć się tu zwierzęta, pozostawiając po sobie gamę zapachów. Wysoko na wilgotnych ścianach zatopione w zimowym śnie zwisały nietoperze. Ponure miejsce. Usytuowanie pieczary zbyt nisko na zboczu, prawie u samego podnóża góry, sprawiało, że wiatr gwizdał i hulał po wnętrzu, pod nogami było błoto. Ślady wskazywały, iż Tim bardzo kulał, opierając się właściwie tylko na lewej-nodze.

Noc spędził niespokojnie, prawdopodobnie się nie kładąc. I zjadł prawie całe zapasy. Nie potrafił też utrzymać długo rozpalonego ognia. Kończył mu się zapas wody. A zaopatrzyć się w nią można było jedynie w mulistej rzeczce poniżej.

- Wybrał bardzo niedobre miejsce - przyznał Jarod. - Paręset metrów przedtem mijaliśmy znacznie lepszą pieczarę, osłoniętą od wiatru, położoną bliżej źródła. I suchą.

-Jakiego źródła? Żadnego źródła nie widziałam! - zdziwiła się Laura.

- Było. Czysta, świeża woda to rzecz nieodzowna.

- Na szczęście nie ma tu w okolicy brunatnych niedźwiedzi - odezwała się. - Są tylko czarne, ale teraz w stanie hibernacji. I Tim nie musi się też przejmować węzami.

- Ani łosiami - dodał Jarod.

Laura po raz pierwszy się roześmiała. Był to przenikający, niezwykle melodyjny śmiech, który wywołał w nim przedziwne uczucie: jakby spadania z wyimaginowanej skały.

- Macie łosie w Maine? - spytała. - Są groźne?

- Nie do śmiechu, kiedy taki natrze - odparł.

- Napadł kiedyś na ciebie?

Przeszła na ty. Chyba poczerwieniał. W każdym razie tak mu się wydawało, gdyż zrobiło mu się gorąco.

- Tak, owszem - odparł i postanowił też się roześmiać, żeby trochę oprzytomnieć.

- I co wtedy zrobiłeś?

- Wdrapałem się szybko na drzewo.

- A co zrobił łoś?

- Próbował powalić drzewo.

- I co się stało?

- Poczekałem, aż mu się znudzi i pójdzie sobie.

- Nigdy nie widziałam łosia - powiedziała niemalże z zachwytem w głosie. - Nigdy. A chciałabym. Czy dużo ich jest?

- Któregoś dnia jeden zawędrował do miasteczka. W ciągu dnia. I wszedł do sklepu z obuwiami.

- Do sklepu z obuwiami?

Jarod doszedł właśnie do wniosku, że Laura należy do kobiet, których pełna uroda ujawnia się w uśmiechu. Cieszył się jak dziecko, że to on właśnie sprowadził uśmiech na jej twarz.

- Tak, i właściciel sklepu powiedział, że to rzecz naturalna, ponieważ jego dewizą jest obuwie dla każdego.

- I co się stało dalej?

- Trzeba było zachowywać się bardzo ostrożnie, żeby zwierzęcia nie spłoszyć. Mógłby skoczyć na szybę wystawową, przebić ją i pokaleczyć się.

- Trudno sobie wyobrazić, by takie wielkie zwierzę mogło się pokaleczyć, skacząc przez szybę.

- Wszystko, co człowiek stworzy, jest zabójcze dla zwierząt. Może być zabójcze.

- Jesteś bardzo podobny do mojego brata. Naprawdę. Kochasz świat, w którym się obracasz. - Wskazała na góry, na dolinę poniżej i na płynącą przez nią rzekę.

Jego twarz nagle zubożała. Nigdy nie używał takich słów jak „kochać”.

- Jarod?

Spojrzał krótko, z ukosa. Laura spoważniała i wpatrywała się w niego z wielką intensywnością.

- Kiedy ty się taki zrobiłeś... Chciałam powiedzieć: od kiedy jesteś tropicielem? Czy uczyłeś się tego?

- Aha - mruknął. - U kogoś się uczyłem. - Wpatrywał się w niebo, zapowiadające duże oziębienie.

- U kogo? U ojca?

- Nie. Mój ojciec był barmanem - powiedział z lekką goryczą. - Do chwili, kiedy nie przejął się tym zbytnio i nie zaczął przynosić roboty do domu.

- Ooo! - jęknęła, domyślając się, co chciał powiedzieć.

Jarod wzruszył ramionami. Jego ojciec nigdy nie pił w pracy, a kiedy pił w domu, to nie robił burd, tylko siedział w fotelu z zastygłą twarzą. W tym otepieniu zapominał, że ma syna, którym należało się zająć. Nie był człowiekiem złym, tylko bardzo nieszczęśliwym.

- No więc kto cię tego nauczył? - dopytywała się Laura.

- Jeden gość. Mieszaniec. Biały ojciec, matka Indianka. Miał rentę wojskową. Był ze mną w Korei.

- I też kochał las?

Znow to słowo „kochać"! Można było powiedzieć, że w pewnym sensie Rajmund Hare kochał las. Można też było powiedzieć, że po prostu chronił się w lesie, szukał w nim ucieczki od świata, podobnie jak ojciec Jaroda szukał ucieczki w butelce.

Hare, tak jak ojciec Jaroda, miał głowę pełną złych wspomnień. Przez dwa lata był więźniem wojennym, więc potem szukał spokoju na bezludziu, wśród natury.

- Dlaczego on cię tych rzeczy nauczył? Bardzo cię lubił? - spytała.

- Byłem kolegą jego syna - odparł. - Właściwie spędzałem tyle samo czasu w jego domu, co w swoim. Obu nas tego nauczył. Bo mój ojciec pewno nawet nie zauważył, że mnie nie ma.

- A twoja matka?

Dlaczego on jej tyle opowiada? I przychodzi mu to tak łatwo? Ni stąd, ni zowąd wydało mu się rzeczą zupełnie naturalną mówić o sobie. Spojrzał na nią naumyślnie ozięble, aby wreszcie przestała go zamęczać pytaniami. Ale jego spojrzenie nie potrafiło jej zniechęcić. Wykazywała prawdziwe zainteresowanie i jeszcze coś - sympatię. Była zdecydowana pytać dalej.

- Nie chcę wtykać nosa w cudze sprawy ani odgrzebywać bolesnych wspomnień - powiedziała, jakby odgadując jego myśli. - Bo ja, bo nasza matka... umarła, kiedy Tim miał pięć lat. Wiem, jak to jest ciężko bez matki. Ty też straciłeś swoją?

- Ona straciła nas! - odparł krótko. Zupełnie nie wiedział, dlaczego jej to mówi.

-Ona... was zostawiła...? - Patrzyła na Jaroda z niedowierzaniem. Odwrócił głowę, ponownie wpatrując się w niebo.

- Uciekła z facetem, który miał więcej pieniędzy. Z najlepszym przyjacielem mojego ojca. Zabrał ją do Bangor.

- I zostawiła ciebie? Ojciec nie pozwolił jej zabrać dziecka?

-Zostawiła mnie, zostawiła jego... Nawet się nie obejrzała. Od tamtego czasu jej nie widziałem.

- Ile miałaś wtedy lat?

- Dziewięć. - Stracił cierpliwość do samego siebie. Dlaczego zaczął paplać? Jak stara baba. Był zły na Laurę, że udało się jej wszystko z niego wydobyć. - Mam już dosyć tego wypytywania - oświadczył.

- Przepraszam. Po prostu uważam, że jesteś... bardzo interesującym człowiekiem. Ale powiedz mi jeszcze jedno: czy ten twój przyjaciel i ty, czy obaj zostaliście tropicielami? Pracujecie razem?

Laura poruszyła najboleśniej miejsce. Wielokrotnie rozmawiali z młodym Rajmundem na temat wspólnego przedsięwzięcia. Wówczas wydawało się, że ich przyjaźń przetrwa wszystko.

Mieli założyć własny interes. Ich marzeniem było mieć bazę gdzieś w dziczy, gdzie polowaliby i wynajmowali się na przewodników dla turystów i myśliwych. Ale ich projekty nigdy się nie ziściły...

- Nie - odparł. - On jest barmanem w tym samym lokalu, w którym pracował mój ojciec.

- Więc tylko ty kontynuujesz tradycje starego przyjaciela?

- Zdecydowanie to już koniec pytań - burknął Jarod, ale na tyle jakoś miękko, że złagodził niegrzeczność. Naprawdę nie chciał więcej tego wszystkiego wspominać.

Młody Rajmund Hare był mu zawsze niemal bratem. Kiedyś upuścili sobie nawet po kropli krwi z serdecznych palców, dotknęli razem skaleczonych miejsc, aby krew się zmieszała i aby mogli zostać braćmi krwi.

Mając dziewiętnaście lat Jarod zakochał się w dziewczynie z sąsiedniego miasteczka. Ona miała lat osiemnaście i była córką nauczyciela, który dopiero co sprowadził się w ich strony. Wendy!

Włosy miała koloru lnu, oczy niebieskie jak błękit nieba. Tak go poraziła swoją urodą i czarem, że nie potrafił powiedzieć choćby słowa. Posłał Rajmunda, aby wystąpił w jego imieniu. Ten nie wiedział, co to nieśmiałość.

Właściwie będąc nawet tak młodym, naiwnym i niedoświadczonym, powinien był przewidzieć, jak to się skończy. Rajmund też się w niej zakochał, oczarował ją, rozkochał w sobie i pobrali się.

Jednakże Wendy chciała mieć prawdziwy dom, jak inni ludzie. Domowe ognisko. Wobec tego Rajmund przyjął prawdziwą pracę w regularnych godzinach i ze stałą płacą. I tak też wszystko trwa. Ile to już lat są po ślubie? Dziesięć.

W ciągu tych dziesięciu lat udało się Jarodowi odkochać. Wendy już nie wydawała mu się taka niezwykła. Ani wyjątkowo piękna, ani godna nadzwyczajnego poświęcenia czy pożądania. Miał w tym czasie inne kobiety, rzecz jasna. Dopuszczał zbliżenie fizyczne, ale nigdy emocjonalne. Jeśli one żądały więcej, niż był zdolny dać, zrywał z nimi. Nie chciał komplikować sobie życia.

- Ja bardzo panią przepraszam - odezwał się po chwili. - Z natury nie jestem zbyt wylewny. Bardzo mi trudno mówić ludziom o sobie...

Przez moment wydawała się zbita z tropu.

-To ja przepraszam, nie chciałam... Nie mówmy o tym więcej.

Spojrzała nieufnie w głąb pieczary.

-Czy pan sądzi...? - Koniec z poufałością i tykaniem! - Czy pan sądzi, że Tim z jakiegoś powodu zaczął tracić głowę i dlatego wybrał tak nieodpowiednie miejsce?

- Przecież poszedł dalej - odparł ogólnikowo. -I to jest najistotniejsze.

-I co dalej? - naciskała, domagając się bardziej szczegółowego wyjaśnienia.

Co mógłby jeszcze dodać, by jej nadmiernie nie niepokoić?

- Wkrótce potem musiał znaleźć coś do jedzenia. Może już wybrał sobie jakieś stałe miejsce. Stałą kryjówkę. Jeśli to zrobił, to bardzo dobrze. Łatwiej go znajdziemy.

- Zaraz się ściemni - zauważyła. -I robi się zimno. Brr, nawet bardzo. Ciekawa jestem, czy w tej chwili Tim jest w drodze... I czy jest głodny... Zziębnięty, zmęczony...

- No to chodźmy, póki jest jeszcze jako tako jasno. - Jarod usiłował nadać swemu głosowi lekki, neutralny ton. - Chciałbym sprawdzić drugie zbrocze. Przeciwnie. Wydawało mi się, że widzę parę. Może jest tam gorące źródło.

- Gorące źródło? - powtórzyła Laura z niedowierzaniem.

- Wasz stan jest ich przecież pełen - odparł biorąc plecak.

- Największe źródła mamy oczywiście w mieście noszącym taką nazwę. Hot Springs. Gorące Źródła. Dlatego też zbudowano tam miasto. Ale oprócz tego jest wiele źródeł rozsianych po całej okolicy.

Zejsście do rzeczki było stosunkowo łatwe, ale ona sama przemieniła się po deszczach w rwący potok, głęboki i mulisty. Mimo że woda płynęła wartko, na brzegach tworzył się lód.

Mrok szybko zapadał. Jarod przez ostatnie kilka minut nie baczył na ślady. Rozmowa z Laurą zupełnie wytrąciła go z równowagi.

Nagle odniósł nieprzeparte wrażenie, że Tim musiał przechodzić właśnie tędy.

Jarod stapał powoli wzdłuż mulistego brzegu. Laura szła tuż za nim. Wreszcie dostrzegł pierwszy trop. Tak, pewny ślad, że Tim tędy niedawno szedł. I jeszcze jeden, i następny, i dalsze: potracony kamień, złamana gałązka, zdeptany liść...

Podążał tymi wątlymi śladami, aż dotarł do drzewa, które padło w poprzek potoku. Leżało ukośnie nad wodą, podtrzymywane po drugiej stronie występem skalnym na samym brzegu. Wysoka woda sięgała szczytu występu, oblewała prawie cały pień drzewa.

Krytycznie ocenił sytuację. Najkrótsza droga na drugą stronę, chociaż trudna. Jednakże logicznie rzecz biorąc, Tim właśnie tędy powinien był przejść.

Powrócił do obserwacji przeciwległego brzegu. Intuicja podszeptowała mu, że koło gorącego źródła, jeśli to jest źródło, znajduje się kolejna pieczara. Może nawet pieczara o wysokiej temperaturze.

Być może Tim od samego początku tam właśnie chciał się udać, ale zmylił drogę i wylądował w zupełnie innym miejscu, w pieczarze,

którą niedawno oglądali. Tak, to miało sens. Chłopak zna doskonale okolicę, ale nagle stracił orientację.

Jarod poszedł brzegiem dalej, poza leżące drzewo. Żadnych śladów! A więc miał rację. Tim przeszedł na drugą stronę. Teraz już nie było wątpliwości. Trzeba też tam iść. Może właśnie podczas przejścia coś mu się stało? Pień nie jest łatwy do pokonania. Z łatwością można się ześliznąć. Postanowił nic jeszcze nie mówić Laurze. I tak dziewczyna jest dostatecznie przerażona.

- Udamy się na drugą stronę - oświadczył bez dalszych wyjaśnień. - Ja przejdę na pewno. A pani?

- Wygląda dość niebezpiecznie. Oślizły... - zaczęła niepewnie.

- Pień jest bardzo śliski. A więc spokojnie, bez próby popisywania się. Będę panią trzymał. Jeśli się pani pośliznie, powstrzymam przed spadnięciem. Pójdę pierwszy, bokiem, będę trzymał pani rękę. Proszę stapać moim śladem.

Wstąpił na dość wiotki pień i podskoczył parę razy, sprawdzając jego wytrzymałość i stałość położenia. Instykt wskazywał mu, gdzie i jak stawiać stopę.

Po paru krokach wyciągnął dłoń ku Laurze. Miała zeszywniałe ze strachu palce, więc ujął jej dłoń w swoją niby w kleszcze.

Na chwilę rozproszyła się gdzieś jego uwaga, zapomniał o dolinie, o płynącym pod nim potoku, o smagającej fali zimnego powietrza. Skupił się całkowicie na ich połączonych dłoniach, na jej bliskości.

Po kilku sekundach świadomość powróciła. Był sobą zaskoczony, przestraszony. Dlaczego stale musi jej dotykać? Mimo iż oboje mieli na dłoniach rękawiczki, jej palce paliły mu skórę.

-Jazda! - powiedział znacznie ostrzej, niż zamierzał i niż to było potrzebne. Stawiał ostrożnie kroki, ale szybko, jeden po drugim, aby łatwiej utrzymać równowagę. Wiedział, że na samym końcu czeka go dość skomplikowany manewr: skok z pnia na wystający z wody skalny stopień, który był mokry i śliski.

Wtedy zdał sobie sprawę, że Laura stawia opór. Wyciągnęła już rękę, tak daleko jak mogła, pochyliła się ku niemu niebezpiecznie, coraz bardziej napinając mięśnie. Lekko szarpnął ją za ramię.

- Nie, nie! - krzyknęła z przerażeniem.

- Proszę mi nie utrudniać! - warknął ostro, przyciągając ją. - Proszę iść bliżej mnie, bo będą problemy. Blisko, bliżej... Teraz dobrze. Już jesteśmy prawie na drugim brzegu. Jeszcze jeden mały skok...

- Ach, nie! - zaprotestowała znowu, ale jednocześnie zaczęła posuwać się znacznie szybciej, dorównując mu kroku.

- Doskonale - pochwalił, a potem skoncentrował uwagę na ostatnim etapie przeprawy. - Teraz! Uwaga, proszę się mocno trzymać!

- Nie! - jęknęła zduszonym głosem.

W tej samej chwili Jarod skoczył i zgrabnie wylądował na mokrym kamieniu. Laura się zawahała. Ścisnął mocniej jej dłoń. Gdy ją ciągnął ku sobie, opierała się z całej siły.

- Nie! - powtórzyła, usiłując jednocześnie skoczyć. Nie trafiła. Uderzyła stopami o zanurzoną część skały, nogi się pod nią załamały. Zrobiła piruet, usiłując utrzymać równowagę, ale upadła na plecy. Na szczęście to tylko plecak trzepnął o skałę. Zanurzyła się po ramiona w lodowatej wodzie, wirujący prąd groził wciągnięciem jej w głębinę.

Jarod o mało nie stracił równowagi. Zaciskał z całej siły dłoń na jej ręce, by się nie wysliznęła. Laura szybko odzyskała orientację. Udało się jej wygrzebać na kolana i wciągnąć rękami na skałę.

Gdy chciał ją podnieść, szarpnęła się ze złością.

- Dość! Proszę mnie puścić! Niepotrzebnie mnie pan ciągnął. Proszę mnie zostawić! - Uderzyła go w przedramię z taką siłą, że wreszcie puścił.

Był absolutnie zaskoczony i zagubiony.

- Proszę mi zejść z drogi! - krzyknęła jeszcze, schodząc na czworakach ze skały na brzeg.

Gdy dojrzała w bezpieczne miejsce, padła wyczerpana na ziemię. Ociekała wodą, jeden z pasów plecaka miała pęknięty.

- Psiakrew! Psiakrew! - Bezsilnie biła pięściami w ziemię.

Zszedł do niej ze skały, pochylił się nad nią, ujął pod pachy i postawił.

- Lauro, Lauro! Opamiętaj się! Czy wszystko w porządku? Możesz stać?

Usiłowała wyzwolić się z jego uchwytu słabym szamotaniem, ale opadła z sił. W pozycji pionowej utrzymywały ją tylko jego ramiona.

- Możesz chodzić? Czy coś cię boli?

Raz jeszcze pięściami uderzyła go bezsilnie w pierś, by wyjść z całej tej sprawy z honorem, a potem podniosła twarz, patrząc na niego ni to z wściekłością, ni to z ostateczną rozpaczą.

- Nie mogę ustać na nogach. Nie mogę dalej iść. Nic nie mogę. Moje nogi są lodowate. Skąd cię ten Gus wygrzebał? O Boże, co za idiota...

Urwała w pół zdania, szcękając zębami. W Jarodzie zamarło serce. Co on jej zrobił? Czy to naprawdę z jego winy wpadła do wody? Przecież on nigdy nie popełnia tak kardynalnych błędów. Nigdy!

Jednakże drobna wątpliwość zachwiała jego pewność siebie. Tak usilnie starał się nie dostrzegać w niej kobiety - pięknej i ponętnej kobiety - że nawet przestał w niej widzieć istotę ludzką. Czy rzeczywiście nie potrafił ocenić jej możliwości? Nie rozumiał, że kobieta nie może dotrzymać mu tempa? Czyżby aż tak zgłupiał? Zawsze tylko ratował ludzi, nigdy nie narażał ich życia. Zdarzyło mu się to po raz pierwszy.

Przeklinał siebie, przeklinał ten potok, przeklinał cały świat, a potem po prostu wziął ją w ramiona.

Z dziką pasją ucałował jej zlodowaciały policzek.

- Przepraszam - wykrztusił.

Przez przemokłą koszulę czuł zimno jej ciała, jeszcze mocniej wtulił ją w siebie, jakby był zdecydowany zatrzymać tę kobietę bez względu na to, jakie siły chciałyby mu ją odebrać.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Laura, trzęsąc się z zimna, siedziała skulona w pieczarze. Czowała się upokorzona i zmalretowana psychicznie.

Owinięta szczelnie śpiworem Jaroda, miała na sobie dodatkowo jego zapasową flanelową koszulę - brązową w szkocką kratę - grube wełniane skarpetki i dzinsy tak długie, że musiała na nogawkach zrobić poczwórne mankiety.

Wiele oddałaby za jakąś suchą białiznę, ale najwidoczniej Jarod nie posiadał nic takiego w zapasach.

Siedząc skulona przy ogniu, popijała drobnymi łykami gorące kakao, jakie jej przygotował, ale mimo to trzęsła się z zimna.

- Proszę nie mieć do mnie pretensji - odezwał się. - To był wypadek.

- Wpadłam, bo mnie pociągnąłeś. Właśnie wtedy straciłam równowagę.

- Myślałem, że ze strachu znowu straciłaś nad sobą panowanie.

- Szłam zupełnie dobrze. Może trochę wolniej od ciebie, ale szłam, jak umiałam. Po co to poganianie?

- Po prostu łatwiej jest robić takie rzeczy szybko.

- To rób swoje cyrkowe popisy, ale ja potrzebuję więcej czasu. Podobno nic nie umyka twojemu wzrokowi. Dlaczego to ci umknęło? Świetnie dałabym sobie radę, ale nie! Szanowny pan musiał wtrącić swoje trzy grosze.

Jarod, patrząc w ogień, odparował wściekły:

- Słusznie powiedział Gus, że masz nieokiełznany charakter. Że nie potrafisz nikomu zapomnieć najdrobniejszej przewiny.

- Nic chcę słyszeć, co mówił Gus. Nie chcę nic słuchać o Gusie. Dobra z was musiała być para na tych florydzkich bagnach. Dwa potwory z Everglades!

Kiedy przed chwilą pomagał jej zdejmować mokre ubranie, była zbyt wstrząśnięta wypadkiem, aby protestować. Zsiniała z zimna trzęsła się w lgnącym do skóry mokrym staniku i majtkach. Teraz dopiero przyszła reakcja w postaci rozsadzającego ją gniewu. Jarod poczuł się sponiewierany i upokorzony.

W pierwszej komorze pieczary znajdowało się ciepłe źródło. Woda wprawdzie nie była gorąca, ale przyzwoicie ciepła. Wyszedł, aby mogła się wykapać w kamiennym zagłębieniu, do którego spływała źródłana woda. Wciąż dygocząc, usiadła w ciepłej kąpieli, po czym wysuszyła się szmatą, którą Jarod nosił ze sobą jako ręcznik. Jej ręcznik zmoczył się przedtem razem z plecakiem.

Mimo tej ciepłej kąpieli czuła nadal przeraźliwe zimno, które chyba na stałe zagościło w jej kościach, bo zgrabiałe palce odmawiały posłuszeństwa i nie mogła sobie sama dać rady z ubraniami się. Musiała prosić o pomoc Jaroda, by zapiął guziki koszuli i pasek dzinsów.

Nadal wstrząsały nią od czasu do czasu dreszcze. Utwierdzała się w przekonaniu, że dałaby sobie radę z przejściem na drugą stronę potoku, gdyby on nie interweniował. W duchu jednak przyznawała, że rozpedzony tuż pod stopami potok bardzo ją rozstrajał, choć nie

wiązała tego faktu z fatalnym epilogiem pechowej wędrówki po pniu zwalonego drzewa.

Najgorsze było to, że stracili nadajnik. Wpadł do wody i przestał działać. Nie mieli żadnej możliwości wezwania helikoptera. Z winy Jaroda.

Przynajmniej pieczara była przyzwoita. Musiała to przyznać. Nawet dość czysta. Z pierwszej komory prowadziło wąskie przejście do dwu następnych. Z nich właśnie napływało ciepłe powietrze. W najdalszej Jarod rozłożył posłanie. Powiedział, że panuje tu stała, dość wysoka temperatura. Kilkanaście stopni Celsjusza zarówno w lecie, jak i w zimie. Laura pomyślała, że potrzeba by jej było ze trzydziestu stopni, aby pozbyć się uczucia zimna i dreszczy.

- Szanowny pan musiał się tu pchać! Koniecznie! - prychnęła zjadliwie. - Po tamtej stronie potoku nie było odpowiedniego miejsca na nocleg?

Płomienie z ogniska podkreślały ostre rysy jego twarzy, odbijały się od ciemnych włosów, złocąc je miejscami. Na policzkach osadzały się cienie, powodując, że wyglądał surowiej i bardziej ascetycznie niż zazwyczaj.

Wpatrywał się w nią poprzez ogień. Nieustannie wstrząsały nią dreszcze. Sama nie wiedziała, czy to z zimna, czy pod jego spojrzeniem. Te oczy! Już zapomniała, jakie są piękne, obdarzone przedziwną magnetyczną siłą.

- Czy poprawiłoby to twój humor, gdybyś się dowiedziała, że twój brat mieszkał, w tej pieczarze? - spytał.

- Tim? Tutaj? Teraz pan to wymyślił. - Patrzyła nań zdezorientowana.

Potrząsnął przecząco głową, nie odrywając od niej wzroku.

- Dlaczego właśnie tu miałby się zatrzymać? Ta pieczara jest bardzo blisko tamtej, w której spędził noc. To by oznaczało, że właściwie pozostał w jednym miejscu. Zaledwie kilkaset metrów odległości...

Jarod sięgnął do plecaka i wyjął z niego dwa plastry suszonego mięsa. Podał jej jeden. Odmówiła.

- Musi pani jeść! — oświadczył ostro. - Potrzebne są pani proteiny. To jest prawie pięć deka. Znacznie lepsze od tych reklamowanych batonów. Mam również odżywkę w proszku. Mogę ją przygotować, jeśli szanowna pani nie zadrze noska i nie odmówi tak prostego jedzenia..

Zupełnie ją rozstrajała jego ironia oraz nieustanne przechodzenie z pani na ty.

Przyjęła acz niechętnie, ofiarowany jej kawałek suszonego mięsa, zdając sobie jednocześnie sprawę, że właściwie trawi ją głód. Odgryzła kawałek, ale nie zrezygnowała z nowego natarcia.

- Więc słucham. Jak to naprawdę było? Czy rzeczywiście mój brat tutaj trafił? A może jest to tylko wymyślona przez pana opowiastka, żeby usprawiedliwić własny pobyt w ciepłym gniazdku w górach?

- Ja nigdy nie kłamię - odparł z zimną godnością, patrząc jej prosto w oczy.

- O, pan nie kłamie? Ale pański przyjaciel jest mistrzem w łganiu. Ekspertem!

- Czasami praca Gusa wymaga, powiedzmy, kłamania. Zrozumiałaby to pani, gdyby pani choć trochę myślała i nie wpadała za każdym razem w furję, która odbiera zdolność logicznego rozumowania. Tak, pani brat tu był. W tym samym celu, w jakim myśmy się tu schronili. To jest dobra kryjówka.

- Dobra kryjówka! - odparła z pogardą, chociaż wiedziała, że Jarod ma rację.

- Niech pani sobie myśli, co się pani podoba - powiedział i zamilkł.

Milczał tak długo, że wreszcie spasowała.

- Już dobrze. Niech tak będzie. To znaczy zakładam, że Tim tu był. I jakie są pańskie wnioski? Dlaczego się tu zatrzymał, w odległości jednego dnia wędrówki od domu? Jak długo tutaj przebywał?

Zatopiony w myślach Jarod gładził niesforną czuprynę.

- Najprawdopodobniej od samego początku chciał się tu schronić, ale pomylił drogę. Rankiem z tamtej pieczary dostrzegł strużki pary po tej stronie. Podobnie jak i my. Martwię się, że to, co przytrafiło się pani, mogło przydarzyć się i jemu.

- Że wpadł do wody? Niby dlaczego? Skąd to panu przyszło do głowy? Czy pan wiedział, że on tu może być, kiedy zaczęliśmy się przeprawiać?

- Po prostu czułem, że on obrał tę drogę.

- Czuł pan?

- Tak. Często mam takie przeczucia. Intuicja. Jakby widzenie.

No i widziałem po drodze pewne oznaki. I wtedy dopiero doszedłem do wniosku, że miałem dobre przeczucie.

Laura zaczęła grzebać w swoich rzeczach i wyciągnęła dwa batony. Miała nadzieję, że opakowania były szczelne i nie przemokły. Mimo że zjadła ofiarowany jej kawałek suszonego mięsa, nadal czuła się głodna. Zaczęła pogryzać baton, patrząc z niechęcią na Jaroda.

- Pańska pseudomęska powściągliwość zaczyna mnie złościć. Proszę mi powiedzieć wszystko, wszystkie przypuszczenia na temat mojego brata. Dlaczego, na przykład, miałby wpaść do wody? Co pana skłania do takiej myśli?

- Są pewne oznaki...

- Jakie? - zażądała wyjaśnień stanowczym głosem. - I czy zostało jeszcze trochę kakao?

- Dobrze, idziemy punkt po punkcie - odparł, napełniając jej kubek. - Były ślady rozpalania ognia w tej pieczarze. Według mnie siedzi pani dokładnie tam, gdzie on spał przy ogniu.

- Skąd pan to może wiedzieć?

- Widzę oznaki jego pobytu. - Jarod mówił powoli. Przejmował go smutek, że jest nosicielem złych wieści.

- O, tu jest dowód suszenia mokrych rzeczy; padające krople zostawiły ślady. Przyciągnął tu sobie gałąź, aby porozwieszać mokre ubranie. Zostawił ją. Stoi tam w rogu.

- To, że jest tu gałąź, nie znaczy...

- Wiele znaczy. Kropla, która spadnie i wyparuje, pozostawia wyraźny ślad. Niech pani pamięta, że pół życia spędziłem w śpiworach w terenie. Potrafię odczytać to, czego inni nie dostrzegają. Już to mówiłem, ale pani mi ciągle nie wierzy. Tim miał przemoczone obuwie. Odstawił je tu, proszę patrzeć. - Wskazał palcem. Potem dodał, jakby czytał z płomieni: - Tim poczuł się tu bezpieczniej. Było mu cieplej, znalazł źródło. Wyraźnie kulał. Na lewej pięcie ma duży pęcherz. Właśnie tutaj skończyła mu się żywność. Usiłował łowić ryby w strumieniu, ale nic nie złowił. Znalazł kilka orzechów, kilka jadalnych korzonków i roślin. Złapał w sidło przepiórkę. Ale ją prawie spalił podczas pieczenia na ogniu. W sumie pani brat wykazuje utratę orientacji. Staje się bardzo nieuważny i nieostrożny.

-I to, co mi pan powiedział, opiera się na faktach? Tak naprawdę było? Nie jest to jedynie pański wymysł? - Laura, głęboko zaniepokojona, wyrzuciła z siebie wszystkie te pytania jednym tchem.

- To wszystko prawda. Tak było. Ale jak pani teraz się czuje? Aż się boję o wszystkim opowiedzieć Gusowi.

Jarod miał twarz tak przygnębioną i pełną winy, że Laurze zrobiło się go żal. I poczuła się także winna. To prawda, że często jest zbyt gwałtowna, ale przecież zawsze ma po temu wyraźne powody. Chociaż tym razem... Całe zdarzenie nad potokiem wydało się jej nagle mniej jasne. A Jarod przecież okazał się doskonałym tropicielem. Trafił od razu na ślad Tima. Wykazał nieprawdopodobną wręcz fachowość.

- Czy mógłby mi pan wreszcie powiedzieć, jak brzmi pańskie nazwisko? - spytała.

- Jestem Jarod - uciął krótko. - Nie wdawajmy się w sprawy osobiste.

- Dobrze, a więc słuchaj, Jarodzie. Moim zdaniem szłam sobie całkiem dobrze, choć powoli, po tym pniu nad potokiem, więc niepotrzebnie mnie pośpieszałeś i pociągnąłeś. Ale jak tak się głębiej zastanowię, to już sama nie wiem, jak to się stało, że spadłam. Może niepotrzebnie się zawahałam. Może przemarzłam. Byłam też zmęczona.

-Powiniennem był dostrzec, że jesteś zmęczona. To moja wina. Nie zwracałem chyba na ciebie dostatecznej uwagi.

Laura bacznie nań spojrzała. Właściwie dobrze to wyraził: nie zwracał na nią dostatecznej uwagi.

Przeważnie zachowywał się tak, jakby nie chciał jej dostrzec i żałował, że ona mu towarzyszy. Nawet wtedy, kiedy zdejmował z niej przemokłe ubranie, a ona była zbyt wstrząśnięta i zziębnięta, aby zaprotestować, zachował się tak, jakby brzydził się jej dotknąć. No, może nie brzydził, ale bał. Dotykał tak, jak dotyka się delikatne cienkie szkło, a nie człowieka z krwi i kości.

Zjadła drugi baton i wypila resztę kakao.

- Wolałabym, żebyś na każdym kroku nie wprowadzał do rozmowy Gusa. I nie wymieniał stale jego imienia - oświadczyła w zamyśleniu. Poprawiła śpiwór na plecach, szczelnie się otulając. -

Kłamał. Na wszystkie tematy i w każdych okolicznościach. Czy kiedykolwiek opowiedział ci, co się wtedy wydarzyło?

- Trochę opowiadał. - Jarod usiłował nie wykazywać specjalnego zainteresowania. - Ale Gus to dobry człowiek.

- No to ci powiem. - Bardzo chciała, żeby Jarod dokładnie się dowiedział, jaki przewrotny jest jego przyjaciel. Wtedy może przestanie stale się na niego powoływać. - Przeszło dwa lata temu moja najlepsza przyjaciółka Sandy i ja pracowałyśmy w Hot Springs, w drukarni jej ojca.

- Myślałem, że jesteś pielęgniarką.

- Jestem - przyznała. - Ale chciałam się jeszcze nauczyć czegoś innego. A poza tym, nie mogę nigdy usiedzieć w jednym miejscu.

- Nie podobał ci się zawód pielęgniarki?

- Wtedy, kiedy zdecydowałam się na przeniesienie do Hot Springs, pracowałam w laboratorium. Przez cały dzień pobierałam próbki krwi. Tylko to. Teraz z powrotem jestem w szpitalu.

Wyłącznie na nocnych zmianach. Na oddziale intensywnej terapii. Niezbyt mi to odpowiada. Wolałabym dzienną pracę. Na oddziale dziecięcym i geriatrycznym.

- To dlaczego nie wróciłaś do dziennej pracy?

- Nie mogłam. Całe dnie musiałam być przy Timie. - Była nieco rozczarowana pewną obojętnością Jaroda. Zadawał pytania raczej zdawkowo, z czystej grzeczności. - Ale wróćmy do Gusa. O nim zaczęłam mówić. Gus wprowadził się do budynku obok drukarni. Rozповідаł, iż otwiera studio video, by produkować reklamy

telewizyjne i tym podobne. Powiedział, że nazywa się Pablo Flores i jest Hiszpanem urodzonym w Barcelonie.

- No więc co z tego? - Jarod wzruszył ramionami.

- Co z tego? On się nazywa Gus Raphael, jest Portorykańczykiem i urodził się na Manhattanie.

- Otrzymał tajną misję - odparł Jarod. - Nie mógł ci powiedzieć prawdy.

- Jarod! Chodzi mi o zupełnie co innego. Gus zbyt dobrze kłamał. Sprawiało mu to przyjemność. Jestem tego pewna. Opowiadał mi, że jego wuj jest baronem. Baronem! Opisywał mi wszystko. Walki byków, Barcelonę w nocy, Morze Śródziemne o różnych porach roku, Pireneje w śniegu! Mówił o gajach pomarańczowych w Sagunto. Opisywał, jak smakują pomarańcze prosto z drzewa! - Gorzko się roześmiała.

- Dobrze, ale co z tego wszystkiego wynika? - Jarod sprawiał wrażenie absolutnie obojętnego wobec tych gorszących kłamstw Gusa.

- To, że on w życiu nie był w Barcelonie. Nigdy nie był w Europie. Wszystko to wymyślił. A ja siedziałam z rozmarzonymi oczami, słuchając pilnie i prosiłam, żeby mówił dalej. Po prostu mnie fascynował. Jaka ze mnie idiotka...!

- Jeśli prosiłaś, żeby mówił dalej, to go po prostu zachęcałaś, aby coś więcej wymyślił. I musiał to robić. Ty go zmuszałaś do kłamania.

- Pan po prostu nie chce zrozumieć! - wykrzyknęła rozzłoszczona. Wspominanie Gusa Raphaela przyprawiało ją o

dreszcz równie zimny jak kąpiel w potoku. - Codziennie plótl te kłamstwa. Przez półtora miesiąca.

I przy tym nie tylko tak sobie flirtował ze mną i zapraszał na randki, ale poważnie się zalecał z manierami hiszpańskiego barona, opowiadając o naszej wspólnej przyszłości i tak dalej. A wszystko po to, żeby zebrać dowody pozwalające zamknąć moją najlepszą przyjaciółkę w więzieniu. Właściwie jej ojca. Człowieka, którego bardzo lubiłam. Był dla mnie jak ktoś z mojej własnej rodziny. Mieszkałam w jego domu, jadłam przy jego stole, on mi płacił za pracę.

- Czy zasługiwał na to, żeby pójść do więzienia? - spytał Jarod, chcąc dotrzeć do istoty sprawy.

- Nie o to teraz chodzi - odpowiedziała ze złością.

- Gus wcale nie otwierał żadnego studia video. Tylko założył podsłuch u ojca mojej przyjaciółki. Był szpiclem. A kiedy nie podsłuchiwał, to ze mnie wyciągał informacje na temat rodziny Sandy. O, świetnie umiał wydobyć ze mnie wszystko i to w okresie, kiedy mieszkając u nich wiedziałam, co tam się dzieje.

- Ale czy ojciec twojej Sandy zasługiwał na pójście do więzienia? - powtórzył pytanie.

- Może i zasługiwał - odparła z niechęcią. Nie zrezygnowała jednakże z dalszego oskarżania Gusa. Chwilowo tylko wyjaśniała kwestię poruszoną przez Jaroda. - Ojciec Sandy miał kontrakt na druk biletów na mistrzostwa rugby. Drukował trochę za dużo tych biletów.

To prawda. Chodziło o spore pieniądze. Niektóre z tych ekstra biletów sprzedawano po tysiąc dolarów...

- Dość skromnie to pani określa sporymi pieniędzmi. Chodziło o parę milionów dolarów. Ile lat dostał ojciec pani przyjaciółki?

- Nic nie dostał, bo umarł przed końcem procesu. Na atak serca. Został upokorzony i zrujnowany. Rodzina wszystko straciła. Dosłownie wszystko. Firmę, dom, w którym mieszkali od trzydziestu lat... Matka Sandy dostała wylewu krwi do mózgu. Nigdy już nie była sobą. To straszne!

Wpatrzyła się tępo w ogień. Jarod milczał.

Sandy nigdy mi tego nie wybaczyła - ciągnęła po chwili Laura. - Od tamtego wydarzenia nie odezwała się do mnie ani słowem. Cała ich rodzina odwróciła się do mnie plecami. Trudno mi mieć do nich pretensję. Zbyt wiele opowiadałam... Gusowi. Nie tylko ich zawiodłam, ale i zdradziłam siebie. - Spojrzała bezradnie na Jaroda. - Czasami, zwłaszcza od śmierci mojego ojca i wypadku Tima, poważnie się zastanawiam, czy to nie kara za to, co zrobiłam mojej Sandy. Od chwili ucieczki Tima dużo o tym myślałam. Może dlatego tak się stało, że uczyniłam tyle złego innym?

- Tak nie wolno myśleć - powiedział surowo Jarod.

- Wiem, wszystko to wiem. Niedobrze jest tak myśleć. To przynosi złe skutki. Ale czasami...

- Lauro, posłuchaj mnie uważnie. Tamten człowiek był winny przestępstwa. Jeśli ucierpiała jego rodzina, to on za to odpowiada. Gus miał zadanie jako policjant...

-Proszę przestać. Dość! Mówi pan tak, jak on. Opowiadał mi niezliczoną ilość razy, iż miał zadanie do wykonania. Do tego mówił to z satysfakcją, że je dobrze wykonał. Nigdy, przenigdy mu nie wybaczę.

- Nawet wówczas, jeśli ocali pani brata? Zawahała się. Ich spojrzenia się spotkały.

- To pan uratuje mojego brata!

- Gdyby nie Gus, toby mnie tu nie było - zaprotestował.

Miała ochotę odpowiedzieć: ani mnie, ani ciebie, drogi Jarodzie, nie byłoby teraz w tych dziewiczych górach. Nas obojga - razem.

- Nic, absolutnie nic nie wzniesi na nowo mojego uczucia do tego człowieka. To było złudzenie. Zafascynowanie błyskotką. Byłam głupia, straszliwie głupia!

- I z tego powodu najbardziej pani cierpi? Że była pani głupia? Może tego właśnie nie jest pani zdolna sama sobie wybaczyć?

To, co teraz powiedział, było bardzo bliskie prawdy. Ale on jeszcze wszystkiego nie rozumie. Spróbuje mu wytłumaczyć.

- Przez całe życie szukałam. Czekałam... - zaczęła z lekkim wahaniem, jakby wyznawała wstydliwą tajemnicę. - Czekałam na kogoś specjalnego. Niepodobnego do innych mężczyzn. Trudno mi było wyobrazić go sobie, ale o nim marzyłam i powtarzałam: „Znajdę cię, spotkam. Któregoś dnia...” - Westchnęła ciężko. - Nie wyobrażałam sobie ani jego sylwetki, ani twarzy. Wiedziałam jednak, że będzie odważny, silny. I szlachetny. Że będzie miał to nadzwyczajne poczucie humoru, jakie miał mój ojciec. I właśnie w

trakcie tych marzeń pojawił się Gus. Oczarował mnie. Zafascynował. Najgorsza była chwila, w której się dowiedziałam, że mnie okłamał. Zawalił się mój cały świat. A tak chętnie wierzyłam w każde jego słowo...

- Gus nie jest złym człowiekiem - powtórzył Jarod. Powiedział to jakby ze złością, że ma obowiązek ciągle wbijać to w jej głowę, ponieważ obiecał przyjacielowi. - Gus jest odważny, silny, ma wielkie poczucie humoru. I on panią... kocha. Dlaczego tak się pani zaparła i nie chce mu wybaczyć?

- Boże drogi, dlaczego pan nie chce mnie zrozumieć. Przecież mówię tak, jak było, wszystko, od samego początku. Czy pan nie słuchał?

- Słuchałem. To pani nie słucha.

Nagle zawstydzila się swojej nie docenionej i nie zrozumianej szczerości. Postanowiła nie odpowiadać. Zapadła między nimi dość nieprzyjemna cisza. Słyszeć było tylko trzaskanie gałązek w ogniu.

Wreszcie Jarod odezwał się pierwszy, chłodnym, obojętnym tonem:

- Jeśli pani jest jeszcze głodna, to proszę coś zjeść. Jeśli nie, idziemy spać. Rano musimy wstać bardzo wcześnie.

Zerknęła na śpiwór, osłaniający jej plecy, po czym z niemym pytaniem przeniosła wzrok na Jaroda.

- Proszę z niego skorzystać - odparł beznamiętnie, odgadując jej myśli.

- A pan?

Dam sobie radę. - Wzruszył ramionami. -Ale...

- Bywało już gorzej, proszę mi wierzyć. - Zamknął oczy i rozparł się wygodniej w kącie pieczary.

- Przynajmniej oddam panu kurtkę...

Nie odpowiedział i nie otworzył oczu. Po chwili dopiero dodał:

- Proszę spokojnie spać. Zdjąć ubranie. Śpiwór zatrzyma ciepło.

Laura przyglądała mu się w zadumie. W świetle ognia twarz jego wydawała się jakby wyrzeźbiona w brązie. Nawet gdy zasypiał, unosiła się nad nim przedziwna aura. Wzięła jeszcze jeden kawałek suszonego mięsa, zjadła i popiła wodą z manierki. Potem częściowo się rozebrała i weszła do śpiwora, zaciągając zamek błyskawiczny. Wsparła głowę na ramieniu i zamknęła oczy.

Jednakże sen nie nadchodził. Rozmyślała... Nie powinna była tak ostro rozmawiać z Jarodem. I nie powinna była tak szczerze się zwierzać.

Otworzyła oczy i wpatrzyła się w dogasający ogień, oświetlający jeszcze niskie sklepienie pieczary. Czowała zapach suszącego się ubrania i śpiwora. Zatechły zapach mulistej rzeki.

Stale czuła w kościach lodowaty chłód potoku. Co pewien czas wstrząsał nią dreszcz.

Im dłużej tak leżała z otwartymi oczami, nie mogąc zasnąć, tym intensywniej myślała o bracie. Jarod powiedział, że Tim zbyt szybko wyczerpał zapasy żywności. Że miał pęcherz na lewej stopie i dlatego tak kulał. Że traci orientację, jest coraz bardziej nierozważny w postępowaniu. Tim nie miał takiego szczęścia jak ona. Ona miała

Jaroda. Roztarł jej zlodowaciałe ręce i nogi, dał suche ubranie. Dopilnował, żeby coś zjadła, oddał własny śpiwór. Dzięki niemu była cała i zdrowa. Wszystko dzięki Jarodowi. Jarod jest silny i odważny...

Biedny Tim. W tej właśnie chwili leży może gdzieś w gorączce, oddycha z trudem, nie ma nic do jedzenia, nie ma lekarstw, jest mu zimno... Noc była przecież mroźna. Biedny, samotny Tim, bezradny jak dziecko...

Zaczęła się cała trząść. Sama nie wiedziała, czy to z zimna, czy też z obawy o los brata.

Drogi, biedny Timie! Czy rzeczywiście przeszedłeś przez to wszystko, co ja sobie tutaj wyobrażam? Czy jest ci bardzo źle? Co my zrobimy jutro, jeśli cię znajdziemy? Nie mamy radia, żeby wezwać pomoc. Co my zrobimy? Zaczęła majaczyć.

Nie zdawała sobie nawet sprawy, że od dłuższej chwili klęczy przy niej Jarod. Dopiero kiedy rozsunał zamek błyskawiczny, wymamrotała półprzytomnie:

- Co? Słucham?

- Jazda! - powiedział.

- Co pan robi?

- Chcę panią rozgrzać. Znajduje się pani w gorszym stanie, niż sądziłem. Najpierw proszę zdjąć moją kurtkę.

Gdy się z niej wyswobodziła, Jarod wsunął się do śpiwora, ułożył koło niej i zaciągnął z powrotem suwak. Otoczył ją ramionami. Speszona zdała sobie sprawę, że ma częściowo rozpiętą koszulę.

- Proszę zdjąć resztę ubrania, tak jak pani przedtem radziłem, i objąć mnie mocno.

Zamierzała protestować, ale poczuła żar buchający od jego ciała, bardziej życiodajny niż jakikolwiek ogień. Nieporadnie zaczęła rozpinąć własną koszulę.

- No, proszę mnie mocno objąć - powtórzył. - Mój Boże, jest pani zupełnie zlodowaciała. Dlaczego mi pani tego nie powiedziała przedtem?

Wyswobodził się z koszuli. Miał gładką, gorącą skórę. Nieśmiało, z wahaniem objęła go. Położył dłoń na jej karku i przygarnął głowę do własnej piersi. Wbrew oporowi i protestom rozpiął jej dzinsy i ściągnął z nóg. To samo zrobił ze swoimi spodniami - skopał je w głąb śpiwora. Następnie dosłownie owinał jej nogi własnymi, dzieląc się z nią nie tylko ciepłem, ale jakby i życiodajną siłą. Zamknęła oczy. Miała wrażenie, że to słońce zstąpiło w jakiś cudowny sposób, by nasycić ją wszechogarniającym i zniewalającym żarem.

- Jesteś jak bóg Słońca - wymamrotała nieprzytomnie, wtulając twarz w jego pierś.

- Słuchaj no, moja pani - powiedział gardłowym głosem. - To tylko jedno z zaleceń podręcznika, jak przetrwać w trudnych sytuacjach.

-Jak przetrwać... - mruknęła, mało z tego rozumiejąc. Powodowana instynktem samozachowawczym, tuliła się do niego coraz mocniej. - Masz zupełnie zlodowaciałą twarz - szepnął z troską.

- Naprawdę myślałem, że jesteś w lepszym stanie. Stale jeszcze jest ci zimno?

Przesuwał dłońmi po jej plecach. Odczuwała ten dotyk jak przenikanie ognia. Głaskał ramiona, talię...

Wtulała się w niego coraz głębiej.

- Było mi zimno przez cały czas... i zaczęłam myśleć o Timie. Nie mogę przestać się o niego martwić. Nie mamy przecież radia...

- Damy sobie radę bez radia, naprawdę. Odetchnęła głęboko z jakąś przedziwną ulgą. Czula się bezpieczna i wierzyła mu. Jeśli ktokolwiek mógłby znaleźć Tima, to właśnie on. Wiedziała, że może na nim polegać. Całkowicie. Serce jej biło teraz mocniej, ale to już nie był lęk.

-Jarod, proszę, powiedz mi, jak masz na imię? A może Jarod to właśnie imię? - wyszeptała mu do ucha.

- Jestem po prostu Jarod i tak mnie nazywaj. Tu nie chodzi o to, że coś ukrywam. To sprawa osobista...

Wstrząsnęła nią nowa fala dreszczy. Pieszczotą dłoni usiłował ją uspokoić. Jego dotyk był cudowny, kojący...

- Chyba nie żałuję, że tak się stało... że wpadłam do wody - wymruczała mu w ramię. Poczula pod policzkiem koraliki indiańskiego naszyjnika. - Opowiedz mi o tym naszyjniku. Czy to jest indiański amulet? Czy on przed czymś chroni?

- Przed niczym nie chroni - odparł szorstko. - Tylko dla mnie ma znaczenie... To sprawa osobista.

- A co jest w tej torebce? - nalegała, pociągając za woreczek przyczepiony do naszyjnika.

- Takie różne drobiazgi, które znalazłem... Kamyk, pióro, jeden z medali Rajmunda. Przestań już gadać, do diabła.

- Nie bądź taki. Takiego cię nie lubię. Tylko mnie trzymaj. Mocno trzymaj...

- Gusowi to by się bardzo nie podobało - oświadczył. - Ale wymagała tego sytuacja. Będzie musiał zrozumieć. Wszystko mu opowiem.

- Nie mów głupstw, Jarod! - zachnęła się Laura. Miała przed sobą jego twarz w odległości zaledwie kilku centymetrów. Mimo swej surowości była to piękna twarz.

-Jakich głupstw, przecież Gus jest... - Musiał przerwać, bo nagle zdał sobie sprawę, że zanadto zbliżyła wargi.

Przez kilka sekund trwał w bezruchu. Nawet w nikłym świetle dogasającego ognia mogła dostrzec na jego twarzy zmieszanie i niezdecydowanie. Dotknęła wargami jego ust. Wahał się jeszcze przez ułamek sekundy, a potem przywarł do jej warg z intensywnością, która zmieniła cały świat. Krew napłynęła jej do skroni, serce się rozszalało. Poddała się pieszczocie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Laura głośno jęknęła. Poczucie zimna, które towarzyszyło jej od chwili wypadku, gdzieś się ulotniło. Teraz życiodajny żar płynący od Jaroda podsycił tylko pożądanie.

Jego palce wpijały się w jej plecy. I nagle on z kolei jęknął cicho, niby rozbudzony z głębokiego snu. Jego pocałunek nie był już tak namiętny. Dłonie natomiast z większą jeszcze pasją pieściły jej ciało. Laura była świadoma targających nim sprzeczności - że jednocześnie jej pragnie i odrzuca, a fizyczne pożądanie hamują rozsądek i serce.

Pragnęła go zacałować, oszołomić, podbić. Zniknęłyby wówczas wszystkie opory i bariery. Może wtedy zapragnąłby jej bez zastrzeżeń.

Jednakże w tej samej chwili, kiedy jego dotyk wywołał w niej falę pożądania, poczuła się jakaś niepewna i roztrzęsiona. Napłynęły jej do oczu łzy. Była zagubiona. Skoro Jarod właściwie jej nie lubi i nie chce, to dlaczego splata swe ciało z jej ciałem? Dlaczego jego surowe i właściwie niechętne pocałunkom usta wpijają się w jej usta? Dlaczego ich pocałunek ma tak słodki smak i jest jej tak dobrze?

Właśnie w tym momencie oderwał się od niej. Oddychał ciężko.

- Zadowolona? - syknął. - Koniec zabawy! Zaszliśmy za daleko.
- W jego głosie można było wyczuć złość i samooskarżenie.

Laura, przykro zaskoczona, poczuła napływające łzy. Jarod zwolnił nieco uścisk. Odwrócił od niej twarz. W migotliwym świetle widziała ponury, sepi profil.

- Co się stało? - spytała zbolalym głosem. - Co ja ci zrobiłam?
- Nic. Czy to ci nie wystarczy? Masz, co chciałaś. Wszystkie kobiety tylko tego chcą. - Mówił z głęboką ironią w głosie. - Teraz idź spać.

Wyciągnął ze śpiwora rękę i położył pod głowę. Zamknął oczy. Dotyk drugiej ręki, otaczającej jej plecy, stał się obojętny.

- Czego to niby chcą wszystkie kobiety? - Laurę rozsadzała wściekłość.

- Ty mnie pocałowałaś, ja ci oddałem. Jesteśmy kwita. Dowiodłaś swego. Odsunął głowę.

- Czego niby dowiodłam?

- Że ci oddam pocałunek. Wielka rzecz!

- To ty mnie pocałowałeś!

Wzruszył ramionami. Poczowała napięcie mięśni jego ręki.

- Dopraszałaś się.

Uniosła się na łokciu, żeby móc z góry piorunować go wzrokiem. Miał zamknięte oczy i twarz bez wyrazu.

- O nic się nie dopraszałam! Ty wszedłeś do śpiwora, rozebrałeś się i zacząłeś mnie obejmować.

-Ciekawe, dlaczego to zrobiłaś? Pewno na złość Gusowi! Wykorzystujesz mnie, żeby się na nim zemścić.

- Wykorzystuję ciebie? Czyś ty zwariował? - Tym razem Laura po prostu wybuchnęła. - I po jakiego diabła do całej sprawy włączasz znowu Gusa? Wylaż z mojego śpiwora, ty, ty... potworze...! Już cię nie ma!

- To jest mój śpiwór. Bądź cicho. Śpij - powiedział spokojnie.

- Skoro twój, to ja z niego wyjdę! - wykrzyknęła, usiłując wygrzebać się na zewnątrz.

Luźno leżąca ręka Jaroda objęła ją nagle mocno niby żelazna obręcz. Laura prawie straciła oddech.

- Jeśli wyjdiesz, to zamarzniesz na śmierć. A jeśli ja wyjdę, to zaczniesz dygotać z zimna, więc się uspokój, zachowuj się przyzwoicie i śpij!

- Ooo! - wykrzyknęła. - To ja mam zachowywać się przyzwoicie?!

Nie odpowiedział, tylko jeszcze mocniej zacisnął ramiona.

Dygotanie zaczęło powracać. Wściekła i zrezygnowana oparła głowę o pierś Jaroda. Zastanawiała się, jak to jest możliwe, że ten sam człowiek potrafi być jednocześnie czuły i obojętny, tkliwy i zimny.

Czy ten Jarod naprawdę uważa, iż ona pierwsza go pocałowała? Cóż za bezczelność i arogancja! Dokładnie pamięta, że to jego usta zbliżały się do jej ust. Doskonale to pamięta!

Co on jeszcze takiego powiedział? Aha! Że ona tego chciała. Jej oburzenie jakby troszkę opadło: to prawda, podała mu usta. Ułatwiła pocałunek. Mógł to potraktować jako zaproszenie. Poza tym mówiła mu parokrotnie, żeby przestał wspominać Gusa. Mógł to również potraktować jako zachętę. Wynika z tego, że w istocie troszkę zachęciła Jaroda...

Nie, to nieprawda! Usiłowała utwierdzić się w przekonaniu, że tak nie było. Właściwie to już się w tym wszystkim gubiła. Jeśli nawet

założyć, iż przesłała mu jakiś sygnał, to nie jest odpowiedzialna za to, co zrobił. Była fizycznie i psychicznie wyczerpana, nieszczęśliwa i zziębnięta, a on to wykorzystał.

Przylgnęła do Jaroda, by przechwycić jeszcze więcej ciepła, i zaczęła gorąco się modlić o bezpieczny powrót Tima do domu.

Wreszcie usnęła, ale nawet we śnie martwiła się i modliła, przytulona do leżącego obok mężczyzny.

Raz się obudziła pod wrażeniem, że on gładzi jej włosy i delikatnie obcałowuje skronie. I coś szepcze o miłości.

Ale to był przecież tylko sen...

Jarod obudził się przed wschodem słońca. Ogień prawie wygasł, chociaż wstawał dwukrotnie w nocy, aby dorzucić więcej gałązek. Zaraz potem wracał do śpiwora i ponownie brał dziewczynę w objęcia.

Dwukrotnie Laura poruszyła się niespokojnie, gdy ją opuszczał i jakby z ulgą wzdychała, gdy powracał i obejmował ją. Leżał cicho, wpatrując się w ciemności, dotykając policzkiem jej włosów. Siłą woli zmuszał dłonie do bezruchu, by nie zaczęły pieścić jej ramion i piersi

Chwilami tak pragnął to uczynić, że zagryzał wargi prawie do krwi, aby się powstrzymać. Zmuszał się też wtedy do myślenia o wszystkim innym, byle nie myśleć o kobiecie wtulonej w jego ramiona.

Ojciec Jaroda miał kiedyś przyjaciela, któremu bezgranicznie ufał. Ów przyjaciel, Michael Cross, zawiódł go i podstępnie zabrał mu

żonę, a Jarodowi matkę. Matka była piękną kobietą. Jarod nigdy jej nie wybaczył odejścia. Nie wybaczył też Crossowi.

Nie chciał być teraz Michaelem Crossem, którym pogardzał i którego nienawidził. Nie chciał być też młodym Rajmundem Hare'em.

A mimo to... trzymał w ramionach Laure, muskał wargami jej włosy, pragnął jej całym sercem i duszą.

Zaczął się sobą brzydzić. Wstał po raz trzeci, aby podsycić ogień. Laura znowu poruszyła się niespokojnie. Wydawało mu się nawet, że jakby sięgała po niego, by go zatrzymać.

Tym razem nie miał zamiaru wracać do śpiwora. Włożył ubranie i wsparłszy się o ścianę, patrzył na zarys jej twarzy, na której migotał odblask płomieni. Jej długie rzęsy rzucały płochliwe cienie na gładkie policzki, usta wydawały się takie bezbronne, takie gotowe... do pocałunków.

Obróciła się we śnie i wyciągnęła ku niemu rękę z otwartą dłonią. Zdusił w sobie pragnienie ujęcia jej. Prawdopodobnie znów zrobiło się jej zimno, czuła się obolała po wczorajszym całodziennym marszu i końcowej przygodzie.

Właściwie mógłby teraz machnąć na wszystko ręką, wziąć ją znów w ramiona, obudzić, ogrzać żarem pożądania i posiąść, ukoić wspomnienie zimna i niewygód. Całować jej szyję, ramiona, pieścić jej piękne ciało...

Nie! Wstał i wyszedł z pieczary, by na zewnątrz oczekiwać na ukazanie się słońca. Przestał sobie ufać.

Zuzanna była jeszcze w łóżku, kiedy usłyszała na dole kroki Gusa. Kręcił się po kuchni z hałasem, jaki zwykle czynią mężczyźni, kiedy chcą za wszelką cenę zachowywać się cicho.

Jęknęła wiedząc, że już nie zaśnie. Ilekroć budziła się rano, zaraz zaczynała myśleć o Timie.

Wstała, włożyła stary różowy szlafrok i swoje wielkie okulary. Wsunęła stopy w kapcie, które otrzymała na Boże Narodzenie od Tima, jeszcze przed jego wypadkiem. Strasznie śmieszne: wielkie, brązowe, na kształt niedźwiedzich łap. Były nawet naszyte na nich czarne pazury z materiału.

Umyła zęby, uczesała włosy, ale nie związała ich jak zwykle na karku. Wreszcie zeszła do kuchni, żeby zobaczyć, co tam Gus wyrabia.

Właśnie zaparzał kawę i palił tosty. Już na pierwszy rzut oka wiedziała, że kawa jest okropna. Był bardzo starannie ubrany: popielate spodnie, biała koszula i jedwabny krawat w konserwatywne paski. Był też świeżo ogolony i pachniał drogą wodą kolońską. Złote spinki u mankietów koszuli błyszcząły w świetle lampy. Wydawał się jednak roztrzęsiony i rozkojarzony.

Zuzanna patrzyła na niego z pewnym rozbawieniem. Gus Raphael był najschłodniejszym mężczyzną, jakiego знаła. Jego elegancja zamieniła się jednak w obsesję. Stała się bez mała religią. W starym postrzępionym szlafroku i tych śmiesznych kaptach czuła się przy nim dość głupio. Jak stara ciotka. Niemalże jak ciotka Mimi.

Ciotka Mimi, śpiąca w tej chwili w sypialni na górze, została specjalnie ściągnięta, by spełniać rolę przyzwoitki. W tutejszym środowisku nie akceptowano przebywania pod jednym dachem samotnej kobiety z samotnym mężczyzną. Podobno tylko Bóg wie, co może się wówczas wydarzyć. Dlatego też trzeba było ściągnąć ciotkę Mimi z pobliskiego domu. Jednakże nie spełniała ona swej roli. Zuzanna i Gus nadal byli właściwie sami. Od chwili ucieczki Tima ciotka Mimi zaczęła faszerować się środkami uspokajającymi i przez cały czas chodziła, jeśli w ogóle chodziła, półprzytomna.

- Dlaczego jesteś taki zasepiony? - spytała Zuzanna.

- Martwisz się o Laureę?

- Oczywiście, że martwię się o Laureę - odparł. - No i o Tima. - Małymi łyczkami popijał kawę.

- Wiesz co? Myślę, że jesteś po prostu zazdrosny - stwierdziła Zuzanna. - Nie podoba ci się, że Laura ugania się po lesie z ostatnim Mohikaninem. Cóż to, nie ufasz mu?

Zuzanna nie miała zamiaru ani szydzić z Gusa, ani podsycać jego niepokoju. Po prostu zrobiła to, co robiła zawsze: dzieliła się myślami. Chociaż Gus oświadczył, że bezgranicznie ufa Jarodowi, wyglądał jak pacjent u dentysty podczas borowania zęba. Siedział teraz i patrzył martwym wzrokiem przed siebie.

W zależności od sytuacji, twarz jego można było nazwać to niebezpieczną, to lekceważącą, kpiącą albo tchnącą urokiem. W sumie była to twarz bardzo interesująca, o rzadkiej ruchliwości. Zuzanna zrozumiała, że Laura mogła zadurzyć się w tym człowieku. Skusił ją,

zwabił intensywnością korzystania z życia, a jednocześnie swoistą ironią.

Chociaż teraz nie patrzył na Zuzannę, wydawał się czytać w jej myślach.

- Jak sądzisz? Czy jeśli Jarod odnajdzie Tima żywego i zdrowego, to Laura mi wówczas wybaczy?

- Pojęcia nie mam - odparła.

- Jeśli w ogóle Tima można znaleźć, to jedynym człowiekiem, który to potrafi, jest Jarod. On jest po prostu niezwykły.

- Wierzę ci. I jestem naprawdę wdzięczna, że go sprowadziłeś.

Boże drogi, powinienem tam z nimi być. Miałbym okazję pokazać Laurze, jak bardzo ją kocham. Słowa dla niej nic nie znaczą. Ona nie ufa moim słowom. Trudno się jej dziwić, ale ile razy mam powtarzać, że żałuję tego, co zrobiłem? Ile razy mam mówić, że ją kocham, żeby mi wreszcie uwierzyła?

Ilekcroć był podniecony, jego portorykański akcent stawał się wyraźniejszy. Zuzanna doskonale to wiedziała - przez ostatnie dwa lata Gus dzwonił do niej przynajmniej raz na tydzień, żeby spytać o Laurę. Z początku nie miała wielkiej ochoty prowadzić z nim telefonicznych rozmów, ale po pewnym czasie zaczęła wierzyć w szczerść uczuć Gusa, choć Laura nie chciała w ogóle przyjąć tego do wiadomości. Co więcej - Zuzanna polubiła te rozmowy. Bardzo.

- Słuchaj, może zaparzyć ci naprawdę dobrej kawy? Zrobię też jakieś uczciwe śniadanie, a potem zagramy w szachy albo w karty?

- Twoja kawa jest znacznie gorsza od mojej. W szachy już nigdy z tobą nie zagram. Nie lubię przegrywać po wykonaniu dziesięciu zaledwie ruchów. Nie znoszę być tak szybko pokonywany.

- Gdybyś przy szachach był mniej impulsywny, a więcej pracował głową, przewidując, co może zrobić przeciwnik...

- Czysta logika jest śmiertelnie nudna. Wiesz, co ty masz w tej twojej cabeza? - puknął się znacząco w głowę, z udawanym niesmakiem. - W twojej cabeza jest komputer, a nie mózg. Powinnaś coś na to poradzić, droga Zuzanno, ponieważ każdy mniej wyrafinowany ode mnie mężczyzna będzie się czuł przytłoczony twoją supremacją. Mężczyźni nie lubią takich kobiet. Przemądrzałych.

Dziewczyna patrzyła na niego z absolutnym spokojem. Zawsze miała w szkole najlepsze stopnie z matematyki i nauk ścisłych, a obecnie w pobliskim mieście Corinth uczyła licealistów obsługi komputerów.

Bardzo rzadko zwracali na nią uwagę mężczyźni, którzy jej się podobali. Ci, którzy się chcieli zbliżyć, byli głównie zafascynowani jej umysłowością. I zwykle należeli do kategorii tak zwanych typków, jak ich nazywał Tim.

- Spójrz na siebie, droga Zuzanno - powiedział Gus, lustrując ją od stóp do głów. - Byłabyś bardzo ładną dziewczyną, gdybyś się sobą zajęła. Masz oczy swojej siostry.

Zuzanna miała ochotę mu odpowiedzieć, że to są jej własne oczy, ale coś ją powstrzymało. Nadal patrzyła na niego z pozoru spokojnie.

- A te okulary! - ciągnął Gus. - Dlaczego nie nosisz szkieł kontaktowych?

- Za dużo z nimi kłopotu.

- I co ty włożyłaś na nogi? Niedźwiedzie łapy? Czy sądzisz, że wszystko to może skłaniać mężczyznę, by się tobą zainteresował?

Zuzanna spojrzała krytycznie na swoje kapcie.

- Hm, są bardzo wygodne. I takie śmieszne...

- A twoje uczesanie! - ciągnął bezlitośnie Gus.

- Wiesz co, bardzo ci ładnie z rozpuszczonymi włosami - stwierdził nagle. - Tak jak teraz. Dlaczego nosisz je zawsze związane z tyłu głowy?

- Nie sądzę, abyś był wielkim znawcą płci pięknej. Potrafisz może kobietę omamić, ale nie na długo.

- Hej, hej! Dlaczego się tak nastroszyłaś? Udzielam ci tylko braterskich porad, nic więcej.

- Jedyne braterskie rady, jakie przyjmuję, pochodzą od mojego brata... Ach, jak mi go teraz brak. Żeby mu się tylko nic nie stało...! - Znalazł się wreszcie powód, by dać upust długo hamowanym łzom.

- Hej, dziecino, spokojnie, spokojnie. Wszystko będzie dobrze. - Objął ją od tyłu ramieniem. - Nie chciałem sprawić ci przykrości. Któregoś dnia zostanę, mam nadzieję, twoim bratem. Przyszywanym, ale bratem. No, szwagrem, niech będzie! A teraz wszyscy wierzymy w szczęśliwy powrót Tima.

W jego dotyku nie było nawet śladu zalecanek, nic erotycznego, niemniej czując dojmująco jego bliskość, wyrywała się, jakby uciekała od rozgorzałego płomienia.

Jeśli zamierzasz wejść do tej rodziny, to zapamiętaj sobie, że nie jesteśmy pieszczotkami czekającymi tylko na karesy.

- Przepraszam, ja chciałem... - Widać było, że jest zły. Nie dokończył, tylko przyjrzał się jej uważnie, powiedział poważnym głosem: - Niech szanowna pani powie mi w takim razie, co sądzi? Zostanę członkiem rodziny czy nie?

- Nic nie wiem. W tej chwili nie myślę o niczym innym, jak tylko o moim bracie.

Milczał długo, a potem serdecznym gestem ujął jej dłoń. Mimo poprzednich zastrzeżeń, tym razem już się nie wyrywała.

- Posłuchaj mnie, Zuzanno - powiedział bardzo łagodnie. - Zapewniam cię, że wkrótce ujrzysz Tima. Szuka go Jarod, a lepszego tropiciela nie ma na świecie. I jeszcze jedno. Twoja siostra też tam jest. Ona nie zawiedzie także. Nie zawiedzie, bo jest jedną na milion....

Zuzanna zdobyła się na blady uśmiech.

- Wszystko to wiem. Ale nie przestaję myśleć o tym, co teraz robi Tim, czy oni już do niego dotarli, jak się czuje... Jak się ona czuje... Czy już wstała?

- Dopiero świta. Miejmy nadzieję, że jest rozsądniej-sza od nas. Pewno jeszcze śpi.

- Wczoraj wieczorem mieli dać jakiś sygnał przez radio.

- To radio nadaje się tylko na złom. Stary grat. A pierwsze prawo elektroniki mówi, że jeśli coś się może zepsuć, to na pewno się zepsuje...

Puścił jej dłoń i po bratersku poklepał po plecach. Doznała przedziwnego uczucia. Nie potrafiłaby go określić. Kolana pod nią zadrżały. Zapewne z ogólnego wyczerpania...

Gus nic nie zauważył. W ogóle jej nie zauważał... Zatopiony w myślach stał długo w milczeniu, wyglądając przez okno, i wreszcie z westchnieniem zadowolenia powiedział:

- Są bezpieczni. Laura śpi. I śni słodko o mnie.

Laura obudziła się nagle. Jarod! Gdzie jest Jarod? Przecież tu był, trzymał ją w ramionach!

Myśmy razem spali, pomyślała. Kręciło się jej w głowie. Chyba nic się nie wydarzyło? Nie. Zdecydowanie nie. Pamiętała tylko ten pocałunek, o który ją oskarżył, chociaż to była jego вина. Wzajemnie obrzucali się oskarżeniami, ale jest niezaprzeczalnym faktem, że spali razem, spleceni w uścisku jak kochankowie. Jeszcze teraz czuła żar męskiej piersi, której dotykała policzkiem, żar spływający z jego dłoni obejmujących jej plecy, głaszczących ramiona...

Boże, co za okropna sytuacja! Jakże spojrzy mu teraz w oczy?

Realia nakazują zapomnieć o wszystkim. Wspólnie mają do wykonania ważne zadanie. Odnalezienie jej brata.

Palcami przeczesła włosy i wysunęła się ze śpiwora. Ogień się palił, choć już niezbyt dużym płomieniem. Tak czy inaczej oznaczało to, że w nocy Jarod dorzucał drewna.

Jest pewno gdzieś blisko. Jego plecak leżał pod ścianą. Sięgnęła do śpiwora i wyciągnęła kurtkę Jaro-da. Włożyła ją i szczelnie zapięła.

W pieczarze pachniało nie tyle dymem, co suszonym się odzieniem. Jej rozwieszony śpiwór i kurtka były jeszcze wilgotne, podobnie zresztą jak i reszta ubrania. Bardzo ją to zmartwiło.

Temperatura była tu zupełnie znośna, chociaż na zewnątrz musiał panować ziąb. I co teraz będzie? Nie może przecież wyruszyć w dalszą drogę w mokrym ubraniu.

Postawiła na ogniu wodę na herbatę i wyszła z pieczary. Jarod stał tuż za załomem, wpatrując się w horyzont. Laura mimo woli wstrzymała oddech. Oślepiła ją jaskrawość dnia. Cały świat był pobielony szronem i lodem. Każdy krzaczek, każda martwa trawka i każde drzewo pokryte zostały białym srebrem. Bielały nawet kamienie. Nieco dalej srebrne połacie niskich krzewów i leśne kępy przedstawiały bajkowy widok. Zaklęty świat w srebrnobiałej opończy.

Tu, na południu, podobne zjawisko nazywano lodowym sztormem. Było ono typowe dla tych gór. Ta bardzo niebezpieczna dla ludzi i zwierząt pogoda stwarzała jednak urokliwy obraz.

W miarę wznoszenia się słońca lodowe igły i gruby szron zaczęły mienić się barwami tęczy, wypełniając całą przestrzeń promykami odbitego światła. Jeśli dzień będzie ciepły, to koło południa szron i lód stopnieją, zniknie czarodziejski świat, drzewa staną się znowu zwykłymi drzewami.

Podeszła do Jaroda. Wpatrywał się w cudowną panoramę szparkami oczu, by ochronić je przed ostrym światłem.

- Jakie to piękne - szepnęła.

-I zdradliwe - dodał. Ich wzrok spotkał się na chwilę. Serce Laury zakołatało.

Pomyślała, że życie potrafi być chwilami bardzo piękne.
Chwilami!

RS

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Podczas śniadania Laura i Jarod zaciekle się kłócili. Jej kurtka i śpiwór jeszcze były mokre i Jarod upierał się, by włożyła jego kurtkę, jeśli chce mu nadal towarzyszyć.

- Albo to zrobisz, albo zostajesz. Zostawię ci śpiwór - powiedział stanowczo.

Zdawał sobie sprawę, że zachowuje się po dyktatorsku, ale najważniejsze wydawało mu się utrzymanie między nimi psychologicznej bariery.

Laura siedziała po drugiej stronie ognia. W półmroku po jej włosach tańczyły odblaski promieni, podobne do iskierek. Jarod dostrzegł iskry także w jej wzroku. Pomyślał sobie, że walka z nią przypomina stawianie w pojedynkę czoła batalionowi piechoty.

- A ja nie zostanę! - oświadczyła. - I nie wezmę twojej kurtki. Odmawiam specjalnego traktowania mnie. Jakoś się okutam w to, co mam. Zupełnie mi wystarczy. Wiele moich rzeczy już prawie całkiem wyschło.

- Czy ty jesteś zupełnie tępą? - Porzucił nagle rzeczową argumentację i spokojny ton. - Ja kieruję wyprawą, ja decyduję. Zrobisz tak, jak ja ci mówię, albo tu zostaniesz!

-Powiedziałeś, że wpadłam do potoku z mojej winy. Dobrze. Wobec tego muszę ponieść konsekwencje. Ja, a nie kto inny. Owinę się śpiworem. Jak szalem.

- A ty powiedziałaś, że to ja cię pociągnąłem i dlatego wpadłaś do wody. Wobec tego ja ponoszę konsekwencje. Włóż kurtkę albo cię w nią ubiorę siłą.

- Już wezmę tę twoją głupią kurtkę! - poddała się wreszcie, buntowniczo podnosząc głowę. - Nie będę tracić więcej czasu i energii na dyskutowanie z tępakiem. Do ciebie można mówić jak do skały. Bez skutku.

- Szybko ją wkładaj i wreszcie chodźmy. Płacą mi za znalezienie twojego brata i opiekowanie się tobą... Wobec tego chodźmy.

- Płacą ci? - spytała zdumiona.

- A co ty myślałaś? Że przyjechałem tu dla twoich pięknych oczu lub z dobroci serca?

Jarod kłamał. Wprawdzie Gus zaproponował, że mu zapłaci, ale on stanowczo odmówił i do ostatecznego porozumienia jeszcze nie doszło. Jeśli jednak Laura pomyśli, że on to robi dla pieniędzy, tym lepiej i bezpieczniej dla niego.

Przygryzła ostentacyjnie wargę, żeby nie odpowiedzieć ostro. Jarod pomyślał, że są to prześliczne i ponętne wargi i nie miałby nic przeciwko temu, by ich skosztować raz jeszcze. Ale natychmiast dał sobie w myślach kopniaka i przybrał kamienną twarz. Jeszcze bardziej kamienną niż przedtem. Szybko przepłukała kubek i wraz z paroma innymi prawie już suchymi drobiazgami bieliźnianymi upchnęła w plecaku.

- Plecak zostaw - poleciał. - Damy sobie radę z tym, co jest w moim.

- Dlaczego? Po to, żebym już całkiem była zależna od ciebie? - spytała z ironią. - Nie, nie zrobię tego. I nie pozwolę, żeby Gus Raphael za cokolwiek ci płacił. Ja zapłacę. Uzgodnimy raty i będę płaciła...

- Gus już zapłacił - skłamał znowu. - Uzgodnisz to z nim. Już dostałem pieniądze. O to mi przecież chodziło. - Obrócił się na pięcie i poszedł w kierunku wyjścia z pieczary.

Laura już bez namysłu włożyła kurtkę, wzięła swój bagaż i ruszyła za Jarodem. Zrównawszy się z nim, powiedziała cicho:

- Jediną sprawą, która mnie w tej chwili obchodzi, jest znalezienie mojego brata. I chciałabym stanowczo wyjaśnić jedno: ja płacę, nie Gus. Pracujesz dla mnie, czy to rozu...

- Już mi zapłacono - przerwał jej ostro, nawet się ku niej nie zwracając. - Załatwiał to sobie z Gusem, jeśli chcesz. Teraz daj mi spokój. Muszę się skupić.

Szedł ukośnie pod górę czujnymi długimi krokami, jakby miał przed oczami mapę wskazującą kierunek, gdzie może się znajdować Tim. Laura miała ochotę cisnąć kamieniem w tego okropnego człowieka.

Przeklinając go w duchu, kroczyła posłusznie jego śladem. Stok był stromy, a towarzyszenie Jarodowi trudne. Po wczorajszej przygodzie jeszcze nie odzyskała formy, a w wilgotnych butach szło się bardzo trudno i nieprzyjemnie.

- Nie wygląda na to, żebyś szukał jakichś śladów. Po prostu pędzisz przed siebie. Skąd wiesz, że on tędy szedł?

- Tak sobie wykombinowałem - odparł przez zęby. -
Powiedziałem ci, żebyś była cicho. Twoje gadanie bardzo mi przeszkadza.

Dłużej z tobą nie wytrzymam, ty... ty... - wymyślała mu w duchu. Twoje miejsce jest w lesie razem z innymi zwierzętami. Złość ją rozsadzała.

Szła jednak za nim i,co więcej, nie przestawała wierzyć, że odnajdzie Tima. Była tego absolutnie pewna. Tym razem nie czuła ciężaru plecaka, ponieważ Jarod wszystko co cięższe zabrał do swojego. Nie czuła też na szczęście zimna w jego puchowej kurtce.

Całutki dzień przedzierali się gęsto porośniętymi stokami, blisko szczytów, szlakiem, który Jarod nazwał „strefą wojskową”, ponieważ jest bezpieczna, zapewnia ochronę i pozwala obserwować teren.

Późnym popołudniem opuścili się niżej, wybierając ścieżyny dostrzegalne jedynie dla Jaroda. Laura szła z tyłu, czyniąc olbrzymi wysiłek, by dotrzymać mu kroku.

Przestała się do niego odzywać, ponieważ na każdą uwagę czy pytanie odpowiadał tylko krótkim warknięciem. Skoro nie chce rozmawiać, to nie.

Ilekróć zawiął wiatr, oblodzone gałęzie chrobotwały i opadał z nich kawałkami lód. Pod nogami chrzęściły trawy i suche gałązki. Od czasu do czasu zaskrzeczał rudzik lub zapiszczała sójka. Fałdy zbyt wielkiej dla Laury kurtki Jaroda także szeleściły. To były jedyne dźwięki towarzyszące wędrowce. Słowo nie padło.

Bez słów świat wydawał się mniej skomplikowany i bliższy zmysłom człowieka, lepiej przez nie wchłaniany. A przy tym był przepiękny w tym swoim lodowym płaszczu. Ale też i zdradliwy, jak powiedział Jarod.

Idąc trzeba było bardzo uważać, by się nie pośliznąć, zwłaszcza gdy przechodzili przez wyjątkowo trudne odcinki oblodzonej skały. Jarod ani na moment nie spuszczał wtedy oczu z Laury. Jego wzrok przyprawiał ją o drżenie. Pośliznęła się wiele razy, ale Jarod był wtedy zawsze przy niej, by ją podtrzymać. Po wypadku nad potokiem nie chciał ryzykować kolejnej przykrej przygody.

Ilekcio pomagał jej silnym ramieniem, podpierał lub chwycił za rękę, czuła jakby prąd elektryczny przebiegający przez całe ciało. Ich wzrok się wtedy spotykał. Było to intensywne zwanie trwające mgnienie oka. Gdy Laura odzyskiwała równowagę, Jarod natychmiast cofał rękę. Czyżby jego spojrzenie wyrażało wówczas pogardę? Nie, to chyba jej imaginacja. W lekkim skrzywieniu zaciętych ust dostrzegała jakąś gorycz. Odwracała wtedy głowę.

Z początku dziękowała mu niewyraźnym mruknięciem za każdorazową pomoc. Ale on nic nie odpowiadał, obracał się w kierunku szlaku i przyspieszał kroku. Za którymś razem, podobnie potraktowana, postanowiła nie dziękować, nie reagować.

Późnym popołudniem Jarod zwolnił kroku. Wydawało się, że uważniej wypatrywał śladów Tima, jakby zgubił trop. Choć zmartwiło to Laurę, była równocześnie zadowolona, że wreszcie może złapać oddech, że nie musi pędzić przed siebie na oślep. Straszliwie bolały ją

już mięśnie nóg, nieustannie napięte podczas wspinaczki w stromym terenie. Nie miała przez cały dzień okazji zrobić nawet parunastu normalnych kroków po równinie. Poza tym w przemoczonym obuwiu poobcierała sobie nogi.

Jeszcze przed zachodem słońca coraz częściej zaczęła się potykać. Wędrówka wymagała od niej nieustannej koncentracji uwagi. Jarod posuwał się teraz w dół zbocza, po przerażającej stromiźnie. Raz po raz przeszywał ją dziwnym spojrzeniem. Jakby opiekuńczym, ale może tu nie chodziło o troskę, może on specjalnie poddaje ją okrutnej próbie i czyha tylko, aby zawiodła i zaczęła go błagać o zatrzymanie się lub choćby o zwolnienie.

Nagle Jarod zniknął jej z oczu.

Najpierw jednak bez żadnego ostrzeżenia, bez słowa, stanął na oblodzonym skraju kamiennego występu, po którym szli, spojrzał w dół, przeniósł wzrok na Laureę, a potem zniknął. Ot, tak po prostu! Zupełnie jakby wtopił się w skałę.

Była zbyt zmęczona, by się dziwić czy nawet niepokoić. Miała jedną jedyną myśl w głowie: znaleźć się z powrotem w domu z Timem. Idziemy do domu, Tim! Idziemy do domu, Tim! Ale to nie ona mówiła, to jakiś głos wyszeptywał jej te słowa do ucha.

Zbliżyła się do miejsca, gdzie zniknął Jarod. Ciekawe, gdzie on się podział, ale to właściwie nieważne... Była prawie rozbawiona. Może zamienił się w jakieś ptaszysko i odleciał sobie? Co się z nią dzieje? Wszystko dookoła wiruje. Tim, idziemy do domu, Tim,

wracamy do domu! Znowu ten głos. To nie ona mówi i myśli, ale ten głos tkwi w niej.

I wtedy Jarod pojawił się równie nagle, jak zniknął. W milczeniu wynurzył się ze szpary w zboczu. Teraz dopiero ją dostrzegła. Dwóch ludzi mogło się zmieścić w otworze wysokim na blisko cztery metry.

Jeszcze jedna pieczara, pomyślała prawie obojętnie. Czy powinna się cieszyć, czy smucić? Nogi odmawiały jej posłuszeństwa, kolana się pod nią uginały. Jeśli za chwilę nie usiądzie - padnie. Nie miała jednak najmniejszego zamiaru znaleźć się w tej pieczarze z Jarodem ani spać koło niego. Chciała natychmiast położyć się w swoim łóżku, na miękkim materacu, we własnym przytulnym pokoju. I żeby obok w drugim pokoju spał spokojnie Tim.

Jarod obrzucił ją baczным spojrzeniem - oczywiście krytycznym, jakżeby mogło być inaczej - dając znak, by szła za nim i wszedł do pieczary. Zrobiła to po krótkim wahaniu.

Jej wzrok, przyzwyczajony do bieli otaczającego świata, początkowo nie wyłapywał prawie niczego. Od razu jednak wyczuła, że ta pieczara pod wieloma względami podobna jest do poprzedniej, którą opuścili rano: było tu znacznie cieplej niż na zewnątrz. Co najmniej osiem stopni powyżej zera.

Nic prawie nie widząc, zawadziła o Jaroda. Wydawało się jej, że odskoczył jak oparzony. Zapalił latarkę, oświetlając wnętrze.

Ta pieczara była większa niż poprzednia, o kształtach bardziej regularnych, podobna do komnaty w jakimś starym zamku. Z głębi dochodził odgłos skapujących kropel.

Znów woda, pomyślała Laura.

Jarod ruszył bezszelestnie w tym kierunku. Lękając się pozostania w ciemnościach, poszła za nim. Żółtawe światło latarki odbijało się od chropowatej kamiennej ściany, wreszcie spoczęło na wyciekającej ze szczeliny strużce wody i wypełnionym po brzegi wyżłobieniu w skale. Z wyżłobienia woda ściekała cieniutką niteczką dalej do jakiejś szczeliny, która ją pochłaniała.

Woda była ciepła! Znaleźli jeden z odpływów gorącego źródła.

Jarod przeszukiwał z latarką całą pieczarę. W głębi, w rogu, dostrzegł kupkę śmieci i odpadków przykrytych paroma uschniętymi gałęziami.

Co tam jest? Laura śledziła światło latarki, które prześliznęło się po kilku puszkach po zupach, coca-coli, jednej po skondensowanym mleku i jednej po brzoskwiniach. I jakiejś plastikowej torebce. Podeszła bliżej.

Puszki z zewnątrz wydawały się stare, ale ich wnętrza błyszczały świeżością niedawno otwartych - ani śladu rdzy czy odbarwienia.

Jarod dokładnie penetrował jaskinię snopem światła z latarki. W przeciwległym kącie Laura dostrzegła dużą czarną plamę po palenisku. Ślad był znacznie większy niż ten, na który trafili w pierwszej pieczarze. Obok leżał stosik suchego drewna.

- On tu był, prawda? - zapytała zapominając, że mieli ze sobą nie rozmawiać.

- Był, i to niedawno - odparł.

- Ale przecież... - Laura była nieco zbita z tropu.

- Mówiłeś, że już mu zabrakło żywności, a te świeżo otwarte puszki?

- Omyliłem się. Spryciarz z niego. Wyprowadził nas w pole. Miał w tym miejscu uprzednio przygotowane zapasy. Miał też wodę i podsuszone drewno. Ono tu leży od dawna. - Podniósł z ziemi odartą z kory gałąź.

- Drewno suche jak pieprz. - Wetknąwszy latarkę pod pachę, wyjął z kieszeni zapalki i podpalił gałązkę. Ogień chwycił natychmiast. Zapalił od niej drugą gałązkę i zabrał się do rozpalania ogniska. Wkrótce zapłonął żywy płomień, rozświetlając mrok pieczary. Jarod rozglądał się z zadowoleniem dookoła.

- On tu był. Nadal kuleje. Był zmęczony, prawdopodobnie śmiertelnie znużony. Ale nie głodował. I wcale nie był zrezygnowany ani półprzytomny. Na pewno nie. Ciekaw jestem, co tu jeszcze miał przygotowane oprócz żywności?

Laura usiadła na kamieniu i zaczęła masować zbolące nogi. Była zbyt zmęczona, aby zrozumieć sens tego, co mówi Jarod. Wiedziała tylko, że Tim tu był i informacja ta dodała jej otuchy. Może jest teraz gdzieś niedaleko, więc wkrótce go znajdą.

- Ja... nie rozumiem dobrze, co ty chciałeś powiedzieć - wyjąkała.

- Zrozumiesz wkrótce. Teraz musimy coś zjeść i potem trochę się przespać. Trzeba ruszyć w drogę przed świtem. Jesteśmy tuż za nim. Tak, na pewno. Już prawie go mamy!

- Czy naprawdę jesteśmy już blisko?

- Na pewno. Szliśmy szybciej niż on.

Zabrał się do przygotowywania posiłku. Laurze nawet nie wpadło do głowy, by zaofiarować pomoc, gdyż wszystkie jej myśli krążyły wokół Tima i zapowiedzi szybkiego odnalezienia go. Aż trudno było w to uwierzyć.

- Przecież on miał dwa dni wyprzedzenia!

- Teraz ma tylko jeden - odparł, napełniając dwa rondelki wodą ze źródelka.

- Jeszcze wczoraj wieczorem mówiłeś, że dwa...

- Ale go doganiamy. Wszystko wskazuje na to, że w tej pieczarze spędził dwie noce.

- Odpoczywał tu przez dwie noce? Skąd to możesz wiedzieć? I nic nie rozumiem, co z tą żywnością i zapasami?

Leciutko się uśmiechnął. Serce skoczyło jej do gardła. Boże, jaki on ma przepiękny uśmiech! Dlaczego tak rzadko robi z niego użytek?

- Wszystko wskazuje na to, iż przebywał tu dłużej. A jeśli idzie o zapasy, to przecież mówiłaś sama, że on od lat kręci się po tym terenie i zna go jak własną kieszeń. Nawet jako mały chłopiec penetrował te góry.

Usiłowała otrząsnąć się z wrażenia, jakie wywarł na niej jego uśmiech. Och, Jarod, dlaczego nie możesz być taki zawsze?

- No widzisz - ciągnął dalej. - Tim bawił się od dawna w eksperta od przetrwania w górach w trudnych warunkach.

Wynajdywał w całej okolicy najlepsze do tego celu jaskinie i pieczary. We wszystkich zgromadził małe zapasy żywności. A także

gałęzie. Założę się, że je tutaj przygotował, kiedy jeszcze chodził do szkoły.

- Teraz rozumiem. I dlatego te puszki z zewnątrz wyglądają na takie stare. Myślisz, że leżały tu długo? - Podciągnęła kolana pod brodę i objęła rękami obolałe nogi.

- Tak właśnie sędzę. I to tłumaczy znaczenie tego, co znalazłem wczoraj.

- A co znalazłeś?

- Zobacz w kieszeni mojej kurtki. W dolnej lewej. Wyjęła porzewiały kapsel od butelki po coca-coli.

- Kapsel? No to co?

- Znalazłem go w poprzedniej pieczarze. Jest zbyt zardzewiały, by mógł pochodzić ze świeżych zapasów. Moim zdaniem Tim miał w tamtej pieczarze kryjówkę, zgromadził tam spore zapasy, ale ponieważ to było stosunkowo blisko domu, zużył je na przestrzeni lat. Może tam urządzał sobie od czasu do czasu piknik. W każdym razie, chociaż zapasy się wyczerpały, została ciepła pieczara i woda do picia.

- Na szczęście znalazł żywność tutaj. I suche drewno.

- Na mój rozum, skoro znaleźliśmy ślady zapasów w dwóch pieczarach, nie są to jedyne miejsca, w których Tim chował żywność. Prawdopodobnie zaopatrzył też inne wyszperane kryjówki. Widać, że wybierał dobre schronienia. Ciepłe, zaopatrzone w wodę. I to nawet gorącą! Można by powiedzieć, że chłopak zbudował sobie w tej dziczy cały zespół hoteli.

Mimo woli Laura uśmiechnęła się.

- Ale czy w tym stanie, w jakim się znajduje, potrafi dotrzeć do kolejnej kryjówki? Czy pamięta drogę? Pierwszej nocy nie udało mu się przecież. Zabłądził i trafił do tej okropnej nory. Jeśli znowu coś mu się popłacze i nie będzie mógł znaleźć właściwej pieczary?

Jarod spoważniał.

- Oczywiście jest taka możliwość. Może się zagubić. To jest nie tylko możliwe, ale zupełnie prawdopodobne. Na szczęście jesteśmy już blisko niego.

- Zupełnie nie mogę zrozumieć, jak mu się udało dotrzeć aż tutaj - powiedziała. - On przecież właściwie stracił pamięć. Dlaczego więc zapamiętał pieczary?

- Niektóre rzeczy zapisane są tutaj - odparł Jarod i puknął się parę razy w skroń. - Można je wymazać z pamięci. Inne natomiast zapisane są tu - z kolei dotknął serca. - Pamięć o nich pozostaje na całe życie.

- Nie zawsze tak bywa... - zauważyła, niezupelnie przekonana argumentami Jaroda.

- No, to jak inaczej wytłumaczysz, że się tu znalazł?

- Naprawdę nie wiem. Obrażenia, jakie odniósł w czasie wypadku, pozbawiły go prawie wszystkich jego możliwości. Tak dobrze pisał, był też świetnym matematykiem... Może jeszcze lepszym niż Zuzanna...

Jarod podał Laurze herbatę.

- Powoli będzie odzyskiwał wszystkie swoje umiejętności. W każdym razie częściowo. Potrzebny jest czas.

- Wszyscy mu to mówią. - Zdobyła się na słaby uśmiech. - Tylko że potrzeba na to dużo czasu. Tim nie bardzo temu wierzył.

- Kiedy go odzyskasz, to wbijaj mu to stale do głowy. Któregoś dnia uwierzy i choćby z tego powodu będzie się już czuł lepiej.

- Tak mówisz, jakbyś sam przez to przeszedł. Doświadczyłeś czegoś podobnego?

- Tylko pośrednio. - Zamyślił się. - Kolega z gimnazjum. Miał poważny wypadek samochodowy. Tak jak twój brat. Z wypadku wyszedł rozbity nie tylko fizycznie, ale i psychicznie. Wrak! Trzeba było złożyć sobie świat na nowo. Tylko że brakowało mu połowy potrzebnych narzędzi.

- No i co? Udało się wreszcie?

- Chyba tak. - Jarod wzruszył ramionami. - Prawie. -I co on teraz robi?

- Jest podmajstrzym w fabryce obuwia. A w czasie weekendów pływa z turystami na ryby. Któregoś dnia zrobię z niego zawodowego przewodnika połowów. To bardzo porządny facet. Lubię go. Zna się na robocie.

- Ty z niego zrobisz przewodnika? W jaki sposób?

- Zadajesz strasznie dużo pytań - powiedział, rozpuszczając zupę błyskawiczną w gorącej wodzie.

- Wiem o tym. Dlaczego chcesz zrobić z niego przewodnika? Czy zajmujesz się obsługą turystów oprócz wykonywania zawodu tropiciela?

- Czasami. - Jego twarz była równie enigmatyczna jak i słowa.

- Zamierzasz rozszerzyć zakres usług? To znaczy, chcesz założyć większy interes?

-Aha.

- Masz gdzie bazę? Coś w rodzaju motelu albo obozowiska?

- Nie.

- A chciałbyś mieć?

- Owszem. - Na jego twarzy pojawiła się zaciętość. -I myślisz, że ci się to uda? To znaczy, czy już wkrótce?

- Chyba tak. - Wzruszył ramionami. - Słuchaj no, masz tutaj te proteinowe paluszki. Właściwie one są owocowe. Przeżuj sobie parę i przestań szczebiotać, dobrze?

- Dlaczego jesteś dla mnie taki niemły? - spytała po chwili, tłumiąc urazę.

- Niemły? - zdziwił się, żując podobną do suchej gałązki odżywkę.

- Bardzo niemły. Odcinasz się ode mnie, nie chcesz rozmawiać. Już wczoraj byłeś wstrętny, a dziś jesteś jeszcze gorszy. Opowiedz mi o swoim przyjacielu. O swoich planach. O sobie. Co robiłeś w przeszłości? Jaką widzisz własną przyszłość? Chcę o tym wszystkim wiedzieć.

- Czy Gusowi także zadawałaś te wszystkie pytania? - odezwał się nieprzyjemnym tonem.

- Zadawałam. Odpowiedział mi kłamstwami.

- Jesteś nie tylko pamiętliwa, ale i zażarcie mściwa. Twój ojciec był pastorem. Czy cię nie nauczył wybaczenia?

- Jesteście wszyscy bardzo skorzy do wybaczenia Gusowi. - Odstawiła na bok puste naczynie po zupie i w obie dłonie ujęła kubek z herbatą. - Wszyscy, nawet Tim, powtarzacie to samo: „On tylko spełniał swój obowiązek. On cię bardzo lubi. Obdarza cię gorącymi uczuciami! Daj mu szansę!” - kpiła przedrzeźniając. - Jedna Zuzanna, chociaż tak samo myśli, ma na tyle rozsądku, żeby nic nie mówić.

- A jeśli oni wszyscy mają rację? - spytał Jarod. W odbłasku ognia z jego twarzy wyzierało cierpienie.

- Co z tego, że mogą mieć rację? - odparowała Laura. - Sercem i uczuciami nie rządzi racja. Serce po prostu mówi tak albo nie. A moje serce mówi nie i nic na to nie poradzę. Nic do niego nie czuję.

- Ale kiedyś czułaś? - Jego spojrzenie przeszywało ją na wskroś.

- Kiedyś tak. Czułam sympatię do... dżentelmena, człowieka lubiącego piękno. Do światowca z Barcelony. Był inny od wszystkich, których w życiu spotkałam. Fascynował mnie i... wydawał się szczery, prawdziwy... Ale nim nie był. Nie miał nic wspólnego z prawdziwym Gusem. O nie, wobec Gusa nie żywię żadnych uczuć. Nienawidzę go za to, co zrobił.

- Ludzie mówią, że nienawiść jest odwrotnością miłości. Drugą stroną tej samej monety. A moneta jest w tym wypadku symbolem

głębokiego uczucia. A więc żywisz wobec niego uczucie, choćbyś się tego wypierała.

- Ludzie często mówią głupstwa - odcięła się.

- Nienawiść może być jedną stroną medalu, ale po drugiej stronie pozostała jedynie absolutna obojętność. A kiedy nienawiść wygaśnie, to zostanie wyłącznie obojętność. Nic więcej.

- Obojętność oznacza, że nie czuje się nic. A ty jednak czujesz.

- Mój ojciec stale mi mówił, żebym mu wybaczyła. - Westchnęła z rezygnacją.

- Sprawiedliwość jest bardzo skomplikowaną rzeczą - rzekł Jarod. - Dlaczego ty nie chcesz tego dostrzec, Lauro? Zadaniem Gusa jest ściganie ludzi, którzy łamią prawo. Czy on może coś poradzić na to, że przestępcy mają rodziny, które stają się często niewinnymi ofiarami?

- Wcale tak nie jest - replikowała z uporem. - Na przykład ty wcale taki nie jesteś. Ty pomagasz ludziom. Nikomu nie czynisz krzywdy, nawet przez niedopatrzenie czy bezmyślność.

- To zupełnie co innego - odparł.

- Wcale nie - zaprotestowała.

- Gdy odnajdziemy twojego brata, wtedy będziesz miała dług wdzięczności wobec Gusa, prawda? Nie zatli się w tobie isierka sympatii?

- Kto to wie... - Poczowała się nagle strasznie zmęczona.

Dokończyła herbatę, łokcie wsparła na kolanach. - Ale jedno ci

powiem: cokolwiek będę wówczas czuła, to nie będzie miłość. Kiedy miłość wygasa, nie ma sposobu, by ją na nowo rozpałcić. Nigdy.

Zastanawiała się, dlaczego Jarod tak intensywnie się w nią wpatruje. Czyżby czuł swoją moralną przewagę, ponieważ ona nie chce wybaczyć Gusowi? Czy Jarod jest w ogóle zdolny do głębszego uczucia? Postanowiła rzucić wyzwanie.

- Czy ty nigdy nie czułeś, iż jesteś okropnie zakochany i dopiero później odkryłeś, że ci się tak tylko zdawało? A może należysz do ludzi, których nie obchodzą podobnie przyziemne uczucia?

- Raz mi się to przydarzyło - przyznał.

- Opowiesz mi?

- Nie. Kończ posiłek i idź spać. Możesz wziąć mój śpiwór.

- To byłoby niesprawiedliwe. Przez cały dzień chodzę w twojej kurtce.

- Weź śpiwór. Nie mam zamiaru handryczyć się z tobą przez cały wieczór.

Zebrał naczynia i poszedł je umyć w pełnym wody wyżłobieniu w skale.

- No dobrze, ale weź swoją kurtkę - odparła. - Nie pójdziesz spać tylko w koszuli. I tak już pewno okropnie przemarzłeś.

- Bywało zimniej - odburknął. - Sypiałem już w śniegu. Warunki jakie mam tutaj, to raj.

- Ale z ciebie twardy człowiek. Jestem pewna, że potrafiłbyś nawet przegryźć diament - zakpiła.

Wzruszył tylko ramionami.

- Barbarzyńca! - mruknęła pod nosem. Zjadła jeszcze kilka łyżek zupy, dwie suszone morele i proteinowy patyk.

Wreszcie zabrała się do rozsznurowywania butów. Zdjęcie ich było prawdziwą katorgą. Gdy następnie ściągnęła popielatą skarpetkę Jaroda, zobaczyła z przerażeniem, że w wielu miejscach ma poobcieraną skórę, a na pięcie pęcherz.

Ciężko westchnęła i zaczęła grzebać w plecaku w poszukiwaniu apteczki. Trzeba założyć plastry z opatrunkiem. Modliła się w duchu, by Jarod nic nie zobaczył i żeby mogła nazajutrz dotrzymać mu kroku.

Te pobożne życzenia przerwał jego głos:

- Co tu się dzieje? Co ty sobie zrobiłaś? - Podszedł, przykucnął i ujął jej prawą stopę. Chciała się wyrwać, ale trzymał mocno. - Dlaczego wcześniej tego nie opatrzyłaś?

- Nie chciałam opóźnić marszu. Nie lubię się nad sobą litować. Zwłaszcza że zacząłbyś ze mnie pokpiwać. Sprawiłoby ci wielką radość móc udowodnić, że się do niczego nie nadaję...

- Wiesz co? - odezwał się po chwili bardzo łagodnym głosem. - Masz dumy na kilogramy, ale rozsądku ni grama.

- Dziękuję za komplement - odparła sucho.

Z apteczki wyjął antyseptyk i przetrął pokaleczone miejsca.

- Sama potrafię... - zaczęła protestować i ponownie się wyrwać, ale trzymał ją w żelaznym uścisku.

- Możliwe - burknął. - Ale ja potrafię lepiej. Siedź cicho i spokojnie!

- Proszę na mnie nie krzyczeć. Nie będę siedziała cicho!

- Przestań tyle gadać! - powiedział tak ostro, że aż zaniemówiła. Nie wiedziała, co ma odpowiedzieć.

Środkiem antyseptycznym przetarł jej obie stopy, a poranione miejsca opatrzył, zaklejając plastrami.

Po dłuższej chwili zebrała się na odwagę i przemówiła:

- Masz zlodowaciałe palce. Czy przez cały dzień było ci tak zimno?

- Moja sprawa - odparł niegrzecznie. - Boże drogi, dlaczego mi nie powiedziałaś w czasie drogi, że czujesz otarcia? A jeśli nie chciałaś mówić, to mogłaś, psia krew, zacząć przynajmniej kuleć, żebym mógł sam się domyślić.

- Kulałam, ale nic nie zauważyłeś. Może nie chciałeś zauważyć.

- Bardzo przepraszam...

- Przepraszasz? Za co? - Była szczerze zdziwiona.

- Tak, przepraszam. Gus na pewno liczył na to, że lepiej się tobą zaopiekuję...

Impulsywnie położyła mu dłonie na ramionach. W jego oczach spostrzegła zaskoczenie.

- Bardzo cię proszę, Jarod. Nie wspominaj więcej Gusa. Nie chcę o nim słyszeć!

Podźwignął się na jedno kolano, nadal trzymając jej stopę. Na zwykle opanowanej twarzy widziała teraz ból i niepewność.

- Wolałabym słyszeć o tobie - wydusiła Laura. Była zaskoczona własnymi słowami.

- Nie mogę - wyszeptał, przybliżając twarz do jej twarzy. - Jesteś jego dziewczyną.

- Nie! - zaprotestowała głośno. - Nie jestem jego! Naprawdę nie!

Odetchnął głęboko, jakby z ulgą. Twarz jego była tak blisko, że owiewał ją gorącym oddechem.

- Nie?! - Puścił jej stopę. Ich usta były bliskie zetknięcia. Jarod pochwycił Laurę w ramiona. - A więc nie? Nie jesteś jego dziewczyną? Naprawdę nie?

- Nie - odpowiedziała cicho.

Nie była pewna, czy ją usłyszał, gdyż już ją tulił do siebie i rozchyłał jej usta wargami.

Poddała się temu pocałunkowi zrazu nieśmiało, niepewnie, a potem już bez opamiętania, zapominając o całym świecie.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Wtargnął dłońmi pod puchową kurtkę, z całej mocy przycisnął Laure, jakby chciał ją w siebie wtopić.

Przywarł do niej pocałunkiem, który sam w sobie był już podbojem. Laure przeszła ta właśnie myśl: on mnie w tej chwili posiadał! Kocha się ze mną! Poddawała się pieśczoce, która była czymś więcej niż pieśczożą - była wzięciem w posiadanie.

Dłonie jego wędrowały po jej ciele. Jak zahipnotyzowana objęła go za szyję, wtuliła się w niego, przywierając jeszcze mocniej do jego ust.

Świat wirował tysiącem barw i pragnień. Przestała myśleć racjonalnie. Cała rzeczywistość składała się wyłącznie z obrazu Jaroda, gorejącego pod zaciśniętymi powiekami, z jego bliskości.

Jego usta mówiły bez ustanku, jak bardzo jej pragnie. Była zarazem podniecona i porażona.

Jego język obrysowywał teraz kontury jej górnej wargi, wywołując uczucie słodkiej niemocy. Była bezwolna, a wzbierające pożądanie miało smak bólu.

Wysunęła koniuszek języka, najpierw bardzo nieśmiało, potem odważniej. Znalazła jego język. Zetknięcie obu wywołało jakby iskrę, odkrycie czegoś cudownego.

Smak ciepła, smak życia, smak miłości, pomyślała.

Gdzieś z głębi klatki piersiowej Jaroda wydobył się jęk. Z wielką niechęcią, z oporami oderwał dłonie od jej pleców, by

przenieść je na ramiona, z których powolutku zaczął zsuwać kurtkę. Przez cały czas jego usta szukały jej ust. Chciała tego.

Tylko na chwilę rozluźniła uścisk i tylko po to, aby rozłożyć ręce i wyzwolić się z kurtki, która bezszelestnie osunęła się na ziemię. Natychmiast potem objęła go jeszcze mocniej. Czuła jego palce na górnym guziku bluzki, potem na drugim...

- Powstrzymaj mnie, Lauro! Na miłość boską powstrzymaj mnie! - oderwał na chwilę usta, by wyszeptać te słowa.

Chciała odpowiedzieć, że słusznie - trzeba położyć temu kres, gdyż posuwają się zbyt daleko, ale nie potrafiła wydobyć z siebie głosu.

I tak było już za późno, bo przywarł na nowo do jej ust. Wszystko stało się nieważne, gdyż świat ponownie zamienił się w roziskrzony mrok i dotyk. Jakiegokolwiek słowa były zupełnie bezużyteczne.

- Ciekawa jestem, co oni teraz robią - odezwała się Zuzanna, głęboko zadumana. Siedziała z Gusem przy kuchennym stole. Grali w słowa. Ciotka Mimi drzemała w fotelu w saloniku, odpowiednio zneutralizowana środkami uspokajającymi.

- Twoja piękna siostra z pewnością ziębnie gdzieś, biedaczka, pod jakimś namiotem. Powinienem tam być, żeby ją rozgrzać. A Jarod? Jarod pewno gdzieś na lodzie ćwiczy pompki. Ma spartańskie obyczaje. Beznadziejny facet. Nie potrafi korzystać z życia.

Okulary Zuzanny opadły na koniuszek nosa. Podsunęła je na swoje miejsce i spojrzała bacznie na Gusa, zastanawiając się, jakie uczucia kryje pod maską obojętnego zmęczenia.

Wydawał się spokojny i pewny siebie. W przeciwieństwie do Zuzanny, która odczuwała niepokój.

- Dlaczego nie dają znaku życia? Dlaczego nie próbowali skontaktować się przez radio? Czy naprawdę uważasz, że radio mogło się zepsuć?

- Jestem gotów zrobić zakład!

Poruszyła się niespokojnie, niepotrzebnie wygładziła leżące zupełnie gładko włosy.

- No dobrze, ale jeśli zaistnieje na przykład konieczność skomunikowania się ze światem? Co będzie, jeśli znajdą albo już znaleźli Tima, i to w złym stanie, i konieczny będzie helikopter, żeby go zabrać? Albo jeśli im się coś stało i potrzebują pomocy?

- Nic im się nie stało i nie stanie - uspokajał ją Gus. - Jarod jest w swoim żywiole. Jeśli będzie chciał wezwać pomoc, to podpali jakieś drzewo i wyśle sygnał dymny.

Gus z triumfem ustawił szereg kwadracików z literami w parę słów.

- Już mam dalsze trzy słowa! - wykrzyknął z wielką satysfakcją.

- Gaśniczy? Takiego słowa nie ma!

- Jak to nie ma? Ten, co gasi. Mam dziewięćdziesiąt sześć punktów.

- Gaśniczy! Wymyśliłeś sobie to słowo. Udowodnię ci! -

Sięgnęła po słownik. Rozparty na krześle Gus wyglądał na nieco znudzonego.

- W tym słowniku nie znajdziesz. On ma już prawie dwadzieścia lat. Tego słowa używają strażacy.

- No właśnie, nie ma w słowniku, więc się nie liczy.

- Liczy się, bo jest używane. Wiem, że jest. Zuzanna patrzyła na Gusa niezbyt pewna siebie.

- Znam słownictwo strażaków i wiem na pewno. Zapisz mi te dziewięćdziesiąt sześć punktów.

Pokręciła głową z dezaprobatą. Po chwili wahania postawiła przy liczbie znak zapytania.

- Jest mi bardzo przykro, że mi nie wierzysz - zauważył.

Zuzanna dodatkowo podkreśliła znak zapytania. Jednakże w dalszym ciągu nie myślała o grze.

- Czy naprawdę sądzisz, iż to tylko radio? No, że im się zepsuło? A może mieli jakiś wypadek?

- Sprzęt zawsze się psuje - odparł. - Prawdopodobnie odnaleźli już Tima i w tej chwili są w drodze powrotnej.

Wpatrywała się w Gusa niby to leniwie rozpartego na krześle. Czy jej się tylko wydaje, czy też w istocie maskuje on niepokój? Jest równie spięty jak ona, choć niezwykle starannie to ukrywa.

Zapadło długie milczenie. Przerwała je Zuzanna:

- Musiała być z was osobliwa para - zauważyła.

- Z ciebie i Jaroda.

- Raczej bardzo dziwna - odparł z uśmiechem.

- Powiedział mi kiedyś, żebym się ubrał odpowiednio na wyprawę w trudny teren. No, to wziąłem moje biegówki. Za sto czterdzieści dolarów, z najlepszej firmy. Nic nie wspomniał, że to powinny być długie buty powyżej kolan. Trafiliśmy na bagna. Możesz sobie wyobrazić, jak ja wyglądałem w moich biegówkach. Na mój widok wszystkie żaby zarechotały się na śmierć. A żebyś widziała te żaby! Potężne dzikie żabiska.

- Opowiedz mi o tym. Jak to było? - uśmiechnęła się zachęcająco.

Więc jej opowiedział, a właściwie odegrał całą scenkę wędrowni, posługując się aktorskim gestem i dialogiem. Chociaż droga przez florydzkie bagna była okropna, niemalże śmiertelnie niebezpieczna, potrafił ze wszystkiego kpić, i to własnym kosztem.

Zuzanna śmiała się do łez, choć jednocześnie bardzo mu współczuła.

- A z tego wszystkiego wynika jedno - oświadczył na zakończenie. - Twoja siostra i brat są w dobrych rękach. Mogę się zgodzić, że Jarod jest trochę zwariowany. Ma wiele dziwactw. Odnosiłem wrażenie, iż sprawia mu nawet przyjemność dźwiganie przez bagna trzydziestokilogramowego plecaka. No, ale wyprowadził mnie z pułapki. I przyprowadzi tamtych dwoje, możesz być tego absolutnie pewna.

- Takie masz do niego zaufanie?

- To człowiek honoru! - oświadczył z powagą.

- Powierzyłbym mu własne życie.

-Nie mogę... tobie nie wolno... nam nie wolno - wyjąkała Laura z wargami na ustach Jaroda.

- Wiem, wiem, wszystko wiem - odpowiedział wśród coraz to bardziej namiętnych pocałunków.

Mimo wszystko była gotowa mu się oddać i zaczęła wręcz nienawidzić siebie za to, że tak bardzo tego pragnie. Jednakże to jest przecież takie naturalne pragnienie, usprawiedliwiała się. Mężczyzna i kobieta w bezludnych górach... Sami we dwoje, pragnący siebie wzajemnie...

Pożądanie to zwykła rzecz, ale jego konsekwencje są złożone, przekonywała się desperacko. Tutaj, na tym odludziu, kochanie się w warunkach, kiedy nie można się zabezpieczyć...

Resztkami sił odepchnęła Jaroda, chociaż tak rozkosznie było jej w jego ramionach, tak cudownie było całować go, tracić rozsądek, wolę i hamulce...

- Lauro...! - zachrypiał.

- Nie! - ucięła twardo.

Mocno odpychała rękoma jego tors, czując ciepło muskularnego ciała. Dłonie zwinęła w pięści, aby nie móc dotykać go ani gładzić.

-Lauro...!

- Nie! - powtórzyła przez łyzy. - Jarod, mój drogi, sam powiedziałeś, żebym cię powstrzymała. Zostaw, proszę!

- Ale teraz nie zatrzymuj mnie - błagał, usiłując ponownie dotrzeć do jej ust.

- Przestań!

Odwróciła twarz, więc zaczął całować jej włosy i szyję.

- Nie, nie, nie uciekaj... - powtarzał.

Ujął jej pięść w swoją dłoń. Pochylił głowę i pocałował przegub. Pod wargami wyczuwał rozszalałe tętno.

Z trudem powstrzymywała się, by nie rozprostować palców i nie pogłaskać jego dłoni w geście akceptacji. W rezultacie zacisnęła pięść jeszcze mocniej.

- Nie tu! Nie teraz! Nie! Zdajesz sobie z tego sprawę równie dobrze jak ja!

Była świadoma, że za tymi górami była cywilizacja i realny skomplikowany świat. Jeśliby go teraz zignorowali, musieliby ponieść konsekwencje. Zatracili poczucie rzeczywistości, zachowywali się nieodpowiedzialnie, jak para szaleńców.

- Nie! - oświadczyła po raz ostatni. Zbierając wszystkie siły, odsunęła się od Jaroda.

Nie pozwoliła już więcej pochwycić się w ramiona. Stał w bezruchu i wpatrywał się w nią przez długie bolesne chwile.

- Mój brat - wymamrotała w przestrzeń.

- Tak, twój brat. Twój brat i Gus! - powiedział z goryczą.

On ma rację. Czowała się zupełnie rozbita. Gus ich prześladowuje. Towarzyszy im wszędzie, straszy, wpycha się między nią a Jaroda niby złowrogi duch. Ale przecież nie tylko Gus każe im poskramiać własne pragnienia.

- Nie o to chodzi - odparła trzeźwo. - Tak nakazuje zdrowy rozsądek. - Właściwie nie wiedziała, jak powinna tę myśl rozwinąć. - Rozsądni ludzie, ludzie odpowiedzialni nie postępują...

- Nie - przerwał jej. - Tacy ludzie nie.

- Więc nie powinniśmy.

Zamilkli. Laura czuła się porażona własną trzeźwością, odrętwiała umysłowo i fizycznie. Niemoc ciała sprawiła, iż tym bardziej zapragnęła psychicznej bliskości Jaroda, ludzkiego kontaktu i zrozumienia. Przyglądała mu się. Chodził nerwowo tam i z powrotem po pieczarze - wysoki, smukły, zwinny. Patrzyła zachłannie.

Przywołała go cicho, delikatnie, niemal czule:

- Jarod! - Stał jak wryty. - Jarod, ja ciebie właściwie zupełnie nie znam.

- O, znasz mnie bardzo dobrze. Znasz mnie od niepamiętnych czasów. Od kiedy czas się dla ciebie zaczął liczyć. Ja ciebie też zawsze znałem. I ciebie właśnie pragnąłem, ciebie chciałem odnaleźć. Już byłem bliski zrezygnowania, myśląc, że szukam kogoś, kto nie istnieje. Ale okazuje się, że istniał.

- Nie mów tak...

- Będę tak mówił. - Podszedł do niej gwałtownie.

- Marzyłem o tobie zawsze. Zanim jeszcze poznałem twoje imię i ujrzałem twoją twarz. Powtarzałem sobie, że cię znajdę, gdziekolwiek byś nie była. Aż wreszcie cię poznałem... - Wpatrywał się w nią rozgorzałym wzrokiem.

- Teraz tak mówisz, ale zachowywałeś się jak wróg. Nawet nie chciałeś ze mną rozmawiać.

- Myślałem, że należysz do niego. A obiecałem mu... - Nie dokończył, a na jego twarzy pojawiło się zakłopotanie i niepokój.

- Co mu obiecałeś?

- Że przemówię do ciebie w jego imieniu. Że będę jego rzecznikiem. Rzecznikiem jego sprawy. On mnie tu sprowadził...

- Och, Jarod! - powiedziała z westchnieniem.

- Bądź własnym rzecznikiem. Powinieneś mówić tylko w swoim imieniu. Ja nawet nie znam twojego imienia...

- Porozmawiam z nim - oświadczył gwałtownie, chwytając ją mocno za rękę. - Nie dotknę cię, póki nie załatwię z nim tej sprawy.

- Chwilowo załatw sprawę ze mną. Zaczynaj ze mną rozmawiać po ludzku. Opowiedz coś o sobie. Powiedz, jak masz na imię?

Stale trzymał ją za rękę, nie odrywając od niej oczu.

- Michael. Michael Cross Jarod. Właśnie Michael był najlepszym przyjacielem mojego ojca. To na jego cześć zostałem nazwany Michaelem. Ten przyjaciel ojca zabrał mu żonę, a mnie matkę. Dlatego nie chcę używać tego imienia. Mój ojciec nie potrafił się zmusić, by mnie tak nazywać...

- To pewnie mnie także uważasz za kobietę, która rzuca jednego mężczyznę dla drugiego?

- Z początku tak myślałem. Ale teraz jesteś dla mnie... no, po prostu sobą.

- Och! - Zbliżyła się powoli i oparła głowę o jego pierś. -
Trzymaj mnie mocno. Trzymaj mnie tak i mów o sobie. Powiedz mi
wszystko. Chcę wszystko o tobie wiedzieć. Proszę... Michael!

- Nie mów tak do mnie. Nie mogę używać tego imienia.

- Przepraszam. Ale mów. Chcę ciebie poznać. Czy kiedyś
pozwoliłeś komuś, by cię poznał?

Przygarnął ją i zaczął mówić. Najpierw z ociąganiem, potem
coraz śmielej. Opowiedział o tym, jak opuściła go matka, o ojcu i
starym Rajmundzie Harze i o Rajmundzie synu. Opowiedział jej też
wszystko o Wendy.

Z kolei ona rozpoczęła opowieść o wydarzeniach, które
wstrząsnęły jej rodziną: o przedwczesnej śmierci matki, o wypadku, o
utracie ojca i o powolnym powracaniu do zdrowia Tima.

Przegadali pół nocy. Czuli się tak, jakby dopiero, teraz w
Jarodzie odnalazła wreszcie drugą połowę duszy, której brak
odczuwała przez całe dotychczasowe życie.

Obudził się pierwszy. Laura spała spokojnie w śpiworze.
Przyglądał się jej z uśmiechem na twarzy. We śnie wydawała mu się
jeszcze piękniejsza.

Cichutko wstał i podsycił gasnący ogień. Podeszedł do wylotu
pieczary i rozejrzał się po świecie. Już świtało. Sadz i lód na
drzewach, na ziemi śnieg. Jeśli Tim postanowił przemieścić się po
lodowej burzy, to z pewnością pozostawił wyraźne ślady. Jarod był
pewien, że wkrótce powinien dopaść zbiega.

Niebo było zachmurzone, płaty białej mgły zalegały ziemię. Jarod sądził, że zacznie padać śnieg. Jeśli Tim jest chory i niezdolny do marszu, to pojawią się poważne trudności. Nie było sposobu przywołania helikoptera. A chodzi o to, żeby chłopaka jak najszybciej przewieźć tam, gdzie jest lekarska pomoc. Musi to zrobić, musi znaleźć wyjście. Dla Laury!

Niestety jego niespokojny wzrok napotykał ten sam widok, jaki miał w chwili rozpoczęcia poszukiwań: dzikie, wrogie bezludzie aż po horyzont.

Zabrał się do przygotowywania herbaty. Usiadł koło Laury i wyciągnął dłoń, aby pogłodzić jej włosy, lecz w porę się powstrzymał. Jakie uczucia targały Michaeliem Crossem? Czy tak bardzo pragnął mojej matki, pomyślał, że przestało go obchodzić, co mogą czuć inni?

Laura przeciągnęła się i otworzyła oczy. Jarod cały spięty przeklinał w duchu tamtego człowieka, Michaela Crossa, za to samo co on sam robił i czuł teraz.

Dziewczyna patrzyła na niego lekko się uśmiechając. Serce waliło mu jak młotem.

- Dzień dobry - powiedziała cichutko.
- Dzień dobry.
- Dlaczego jesteś taki poważny?
- Rozmyślałem.
- O Timie? - spytała z niepokojem.

Skinął głową, ponieważ po części była to prawda.

- Dziś go znajdziemy. Czuję to w kościach... ale... nie wiem, w jakim stanie.

- I martwisz się tym?

- Tak. - Wolał mówić prawdę.

- Ja też się tym martwię. Mam dziwne przeczucie, że dziś stanie się coś złego.

- Odnajdziemy go! - Nie potrafił się zdobyć na inną odpowiedź. Dobrze rozumiał te przeczucia.

- I martwisz się też Gusem, prawda? - spytała.

- Aha... - Odwrócił głowę.

Laura milczała przez długą chwilę, a potem powiedziała:

- Ja go właściwie nigdy nie kochałam. To było naprawdę tylko zadurzenie. Wiesz o tym, prawda?

- Wiem. Ale on ciebie kocha. I zaufał mi.

- I właśnie tym się martwisz? Ale przecież myśmy tego nie planowali, prawda? Stało się, wydarzyło, spadło na nas. Ot tak!

Nie odpowiedział.

- Czy ciągle muszę cię nazywać Jarodem? - spytała.

- Nie - padła odpowiedź.

-A może Jay? Czy chciałbyś, żebym cię nazywała Jay? Po prostu twój własny inicjał.

- Jeśli chcesz, możesz tak mnie nazywać. - Lękał się teraz patrzeć na nią, bo wyzwoliła w nim kolejną falę gorącego uczucia. -

Może zaczynam ją lepiej rozumieć - powiedział. - Myślę o mojej matce. No i o Rajmundzie i Wendy. Wszyscy byli tylko ludźmi.

Zaczynam rozumieć, dlaczego zrobili to, co zrobili. Że tak właśnie postąpili.

- To bardzo dobrze, że rozumiesz.

- Tak, chyba tak.

-Jay! - powtórzyła, jakby smakując barwę tego słowa. - Bardzo mi się podoba to imię. Brzmi tak wesoło, pachnie wiosną. Jesteś moim Jay. Nie pocałujesz mnie na, dzień dobry? - spytała niemalże wstydliwie.

- Nie sądzę, aby to był dobry pomysł - odparł nieco sztywno.

Długo milczała, by wreszcie odpowiedzieć:

- Tak, masz absolutną rację. Przepraszam.

- To ja przepraszam - odparł, patrząc jej wreszcie prosto w oczy.

- Ale chcę sprawy postawić jasno, wobec Gusa i całego świata. Ty go nie skrzywdziłaś, ale ja tak. I nie chcę cię nawet dotknąć, ponieważ nie ufam sobie. A pragnę cię całą duszą i ciałem. Ale nie jest to ani czas, ani miejsce. - Wyglądał jak zbity pies.

- Rozumiem - odparła po chwili.

Woda w naczyniu już się gotowała. Jarod patrzył tępo w ogień.

- Powinniśmy się zbierać bo niedługo zacznie chyba padać śnieg. To może spowodować komplikacje.

- Ale jak zacznie padać, to i on się chyba nie ruszy, prawda? - spytała. - To by nam ułatwiło zadanie.

- Jeśli się natomiast ruszy przy tej sadzi, to pozostawi wyraźne ślady. Będzie nam wtedy łatwiej za nim iść.

- A jeśli zacznie padać, a on pójdzie?

- Powstanie problem.

Wyczołgała się ze śpiwora, wstała i podeszła do Jaroda. Poczł ból pożądania. Miał wielką ochotę objąć ją, przytulić, całować.

Gus siedział za kuchennym stołem, pijąc czarną jak smoła kawę. W drzwiach stanęła Zuzanna, zawiązując pasek szlafroka i udając swobodny nastrój.

- Czy zawsze wstajesz o świcie? - spytała, oceniając jego jak zwykle nieskazitelny strój.

- Nie mogłem spać - odparł. Nie spojrział nawet w jej stronę. - Przez cały czas o niej myślałem.

- Ach tak. - Zastanawiała się, jak to jest być kochaną przez takiego człowieka jak Gus. Tak męskiego, tak... emanującego erotyzmem. Nigdy się tego nie dowie. Jest kobietą zbyt przeciętną, nieinteresującą, bez polotu, z nosem w książkach. Nie tak jak Laura.

- Co sądzisz? - spytał Gus ze wzrokiem utkwionym w kubku z kawą. - Jak się ta cała historia skończy, to czy Laura mnie zechce? Powiedz, jak uważasz?

- Kto to wie - odparła z udaną swobodą. - Może wreszcie trafi na właściwą ścieżkę.

- Może - przyznał z wahaniem. - Dobra z ciebie dziewczyna, Zuzanko! Życzliwa - dodał po chwili, patrząc jej nareszcie prosto w oczy. Nikt nigdy nie nazywał jej tym śmiesznym zdrobnieniem. Chętnie by mu teraz wykrzyknęła w twarz, że nie jest dzieckiem, ale dojrzałą kobietą.

Zamiast tego jednak wyjrzała tylko przez okno i powiedziała:

- Chyba zacznie padać śnieg. Żeby oni wreszcie wrócili! Albo chociaż dali o sobie znać. Biedny Tim, stale o nim myślę. Sam w tym zimnie. Wiem, że uważasz Jaroda za człowieka, na którym można polegać, ale...

Gus kuśtykając podszedł do Zuzanny i objął ją po bratersku. Jak zwykle miała okulary na samym czubku nosa, więc przesunął je palcem na właściwe miejsce.

- Hej, hej! Tylko bez łez, mała! Nie płacz, siostrzyczko! Może dziś właśnie nasze serca otrzymają nagrodę.

Zuzanna, chociaż zdawała sobie sprawę z charakteru tego uścisku, zeszywniała. Wszelkimi siłami starała się zachować obojętność, zdobyć się nawet na żart.

- Wielki wódz Jarod przyprowdzi wszystkich do domu! - powiedziała. - Jestem tego pewna.

- Właśnie tak - rzekł i pacnął ją palcem po nosie. - Przyprowdzi tych, których kochamy.

- Ty ją naprawdę tak bardzo kochasz?

- Całym sercem - odparł. Pocałował Zuzannę w czoło i odszedł.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Było tak, jak Jarod przewidział: Tim pozostawił za sobą wyraźne ślady. Nawet Laura je dostrzegła swym niewprawnym okiem.

- Ciągłe zmienia kierunek - zauważyła zatroskana. Rzeczywiście ślady stóp Tima prowadziły raz w lewo, raz w prawo.

Od śniadania Jarod zachowywał milczenie, teraz odezwał się wreszcie:

- Zatacza się i nadal kuleje. Bardzo przykre...

- Ale idzie! - Laurze serce ścisnęło się z niepokoju. - Idzie z wielką wytrwałością. Wykazuje przedziwny upór. Od samego początku. To go musi okropnie wyczerpywać.

- Wykazuje instynkt samozachowawczy. Twój brat jest bardzo wytrzymały i ma zdrowe serce.

Ale co będzie, jeśli w pewnej chwili serce go zawiedzie, pomyślała. Jeśli pokręci mu się wszystko w głowie, przestanie odróżniać rzeczywistość od majaków? Co wtedy?

- Wczoraj mówiłeś, że Tim zatrzymał się tam, gdzie powinien. W miejscu, gdzie miał pożywienie. Ale dziś nie widać śladów podobnego rozsądku.

- Dziś nie - zgodził się Jarod. - Prze naprzód. Niemalże na oślep.

- A to oznacza, że przestał racjonalnie myśleć.

- Przestań wyobrazać sobie najgorsze, Lauro! Chłopak jest po prostu zdeterminowany...

- Tak, zdeterminowany, żeby umknąć pościgowi.

- Długo już nie będzie umykał. Idziemy. Musimy go szybko odnaleźć.

Wzięła się w garść. Mgła zamiast ustępować, jeszcze bardziej zaczęła gęstnieć. Widoczność była ograniczona do jakichś siedmiu metrów, temperatura spadała.

Ujęli się za ręce i tak poszli dalej.

Po półgodzinie Jarod zarządził postój. Usiedli pod skalnym nawisem i zjedli posiłek składający się z suszonej ryby i owoców. Laura była bardzo wyczerpana. Nie zważając na nic, oparła się o jego pierś. Objął ją delikatnie, uspokajająco. Wyczuwał jej rozpacz.

Po kilku minutach lekko ją pocałował, postawił na nogi i wyruszyli w dalszą drogę. Mgła rzeczywiście zgęstniała. Niczym biała wata spowijała cały świat dokoła. Panowała przerażająca cisza. Tropienie szło im teraz znacznie trudniej. Laura miała nerwy napięte do granic wytrzymałości.

Nagle Jarod się zatrzymał. Patrzył w ziemię z wielkim zaniepokojeniem.

Widziała coś na ziemi, jakiś ślad, ale nie rozumiała jego znaczenia.

- Co tam widzisz? - spytała.

- Przewidywałem to! Do diabła!

- Jarod, Jay, co się stało?

- Spójrz! - powiedział krótko. - Tim chodził tu w kółko!

Zupełnie dezorientowany. Cholera, bałem się tego. W tym miejscu

wszystko mu się pomieszało. Wśród tych skałek. Modliłem się, żeby to się nie stało.

- To znaczy, że Tim się zgubił? I nie trafi do swojej kryjówki z żywnością, jeśli do niej właśnie szedł? - spytała Laura.

Jarod tylko skinął głową, rozważając coś w milczeniu. Wreszcie odezwał się:

- Podejrzewałem, że to się stanie. Powinienem był zawierzyć swojemu instynktowi.

- Nic byś nie poradził. To wszystko przez tę mgłę.

- Jazda! - rozkazał. - Musimy dwukrotnie zwiększyć tempo.

Bardzo mi się to nie podoba, ale musimy.

Znowu wziął ją za rękę i pociągnął za sobą. Zaczerpnęła głęboko powietrza i poszła pełna wiary, że Jarod dokona cudu.

Wydawało się jej, że oboje błądzą w jakimś szaro-białym koszmarze, z którego nie można się będzie już nigdy wydobyć. Na szczęście grunt pod nogami był twardy, co pomagało w zachowaniu resztek poczucia rzeczywistości. Nie szli prosto przed siebie, ale nieustannie zmieniali kierunek, idąc śladami Tima, który umykał przed nimi jak ranny, oślepiiony zwierz.

Serce jej waliło jak młotem, bolały wszystkie mięśnie, bolała też głowa. Jarod był jednak niezmordowany. Ani razu nie zgubił błędnych zwariowanych śladów, pozbawionych wszelkiej logiki, bezładnych. I, żeby nie zgubić też Laury, bezlitośnie ciągnął ją za sobą.

Nie miała pojęcia, jak długo tak szli zygzakami. Aby oderwać myśli od najgorszych przewidywań, zaczęła się modlić za Tima, o to, by przeżył i znalazł schronienie. Nigdy się tak jeszcze nie modliła. Teraz, w chwili wielkiego niebezpieczeństwa, wysyłała ku niebiosom nie kończącą się petycję.

To wdrapywali się pod górę, to opuszczali stokiem tak stromym, że nawet górskie kozica miałyby trudności z zejściem. Laura nie wyobrażała sobie, w jaki sposób Tim mógł tędy przebrnąć. Obawiała się, że lada chwila ujrzy jego pogruhotane ciało, spoczywające gdzieś w załomie skały.

Jarod na chwilę się zatrzymał, ukląkł i pochylił głowę nad samą ziemią. Gdy wstał, nawet przez obejmującą ich mgłę Laura dojrzała skamieniały wyraz jego twarzy.

Nie powiedział ani słowa, ujął jej dłoń i poszli dalej. Tym razem już nie wdrapywali się po stoku, lecz posuwali ścieżyną na dnie jaru.

Ślad wiódł teraz prosto, jakby Tim nie był zdolny do wspinaczki, a potrafił jedynie, potykając się, iść po płaskim terenie.

Jarod w milczeniu zatrzymał się po raz wtóry. Wszystko było jasne: poczerniała menażka Tima, lornetka, latarka i manierka. Leżały na ziemi. Laura schyliła się i podniosła manierkę. Woda w niej była zamarznęta.

Obok leżała niedbale złożona gumowa peleryna i gąbkowy materacyk ze śpiwora. Nieco dalej składana łopatką i plastikowy worek na śmieci. Jarod otworzył worek: odzież - czysta i używana - wymieszana razem. Sprzęgły się ich spojrzenia.

- Było mu zbyt ciężko z całym bagażem - wyszeptała Laura. -
Chciał zmniejszyć obciążenie, prawda?

Zdjęła własny plecak, rozwiązała go i zaczęła upychać w nim
rzeczy Tima.

- Po co to robisz? - spytał Jarod.

- Jak to, po co? To są jego rzeczy. Przecież ich nie zostawię.
Mam pełno miejsca w plecaku.

- Dość już dźwigasz - odpowiedział. - A my będziemy teraz szli
bardzo wyteżonym marszem. Powinnaś...

- Te rzeczy mogą mu być potrzebne. - Energicznie zawiązywała
plecak. - Kiedy go znajdziemy... - Z trudem dźwignęła plecak, żeby
go zarzucić na plecy.

- Pomogę ci - powiedział szybko. Założył jej ładunek na plecy i
zapiął klamry. Wstał i podał Laurze dłoń.

Mniej więcej po kilometrze znaleźli obok wielkiego głazu plecak
Tima. Zaczął padać śnieg.

O Boże, zgubię teraz ślad, pomyślał Jarod.

Przed ruszeniem w dalszą drogę sprawdził zawartość
porzuconego plecaka, chcąc wiedzieć, co Tim ze sobą zabrał. Chyba
tylko śpiwór, zapasową manierkę i aluminiowy garnuszek. Nic więcej.

Czy wiedział, dokąd zdąży? Czy miał jasny cel? Czy naprawdę
sądził, że zdoła tam dotrzeć, jeśli będzie szedł nie obciążony? Czy po
odpoczynku i zjedzeniu jakiegoś posiłku zamierzał wrócić na szlak po
swoje rzeczy?

A może działał ślepo, nie zdając już sobie sprawy z tego, co robi? Może idzie przed siebie bez celu? I będzie tak szedł, póki nie padnie z wyczerpania? Może już w tej chwili śnieg pokrywa jego bezwładne ciało?

Jarod spod oka obserwował Laurę. Wzrok miała wlepiony w plecak Tima. Patrzyła, jakby widziała przed sobą jakiś złowrogi omen.

Dźwignął plecak i umieścił go między konarami drzewa, gdzie był osłonięty chociaż częściowo przed śniegiem. Z tylnej kieszeni spodni wyciągnął czerwoną chustkę i zawiązał ją na pasie nośnym plecaka.

- Zabierzemy go w drodze powrotnej - powiedział. - Kiedy znajdziemy Tima i będziemy z nim wracać - dodał.

Śnieg padał coraz gęściej. Pędzone wiatrem płatki wirowały, a ich biel przenikała pociemniałą już nieco mgłą. Niewidzialne słońce skłaniało się już ku zachodowi.

Jarod klął w duchu. Taki był pewien, że odnajdzie Tima dzisiaj, jednakże śnieg wszystko skomplikował. Jeśli będzie padał długo i gęsto, przepadną wszelkie szanse. Poza tym, nie miał pojęcia, gdzie schronią się oboje z Laurą na noc. Czuł się tak, jakby mu założono na oczy białą, grubą przepaskę.

Jeszcze raz wpatrzył się w widoczne na przestrzeni paru metrów ślady Tima. Jest bardzo źle. Chłopak się zatacza i coraz bardziej kuleje. Wolał nie dzielić się tymi spostrzeżeniami z Laurą.

Uszedł kilka metrów, stanął, spod przymrużonych oczu zasypywanych śniegiem spojrzął na urwistą ścianę jaru. Dziwne.

Chłopak jest całkowicie wyczerpany, a mimo to zdecydował się wdrapywać pod górę! A może na zboczu jest schronienie z zapasami żywności? Wpatrywał się w stok, usiłując przebić wzrokiem szarą zasłonę mgły i śniegu.

Chyba jednak chłopak dobrze wiedział, co robi, i poświęcił resztkę sił na dotarcie do zapamiętanej kryjówki. Jeśli mu się udało, to żyje. A jeśli nie...?

Jarod wspinał się, ciągnąc za sobą Laurę. Stawiał ostrożnie kroki, nie szarpał, robił wszystko, by łatwiej mogła pokonać wzniesienie. Każdy krok przynosił jednak nowe obawy. Co znajdzie, gdy dotrze do celu?

Czy Tim jeszcze żyje? Z doświadczenia wiedział, że ludzie, którzy zabłądzili w górzystym terenie, i gonią resztkami sił, wybierają raczej drogę wiodącą w dół, a nie w górę. Tak nakazuje resztką zdrowego rozsądku. Mniejszy wysiłek to większa szansa wydostania się z labiryntu. Ci natomiast, którzy postanawiają umrzeć, jednostki całkowicie zrezygnowane, pną się w górę, jakby instynktownie pragnęli wyzionąć ducha bliżej nieba.

- Czy coś nie tak? - spytała. - O co chodzi?

- Chyba tam jest pieczara. Sprawdź. Trzymasz się mocno? Nie ruszaj się z miejsca. Czekaj tu na mnie. Widzę najwyżej na dwa metry. Pamiętaj, żebyś się nie ruszała!

Jarod wdrapał się na wąski skalny występ. Po chwili zniknął. Mgła przesłoniła widok. Laura pozostała sama w nieprzejrzystej zimnej szarzyźnie. Spadło na nią parę drobnych kamyczków. Trzęsa się

z zimna. Nie wiedziała, co jest gorsze: ta śmiertelna wspinaczka czy tkwienie pod skalną ścianą w przenikającym kości paraliżującym zimnie.

-Jarod! - zawołała trzęsącym się głosem, a nie słysząc odpowiedzi, powtórzyła wołanie: - Jay, jesteś tam?

Odezwał się tylko wiatr.

Przylgnęła śmiertelnie znużona do zlodowaciałej skały, wspierając czoło na ośnieżonym rękawie kurtki. Tak chyba wygląda piekło, pomyślała. Piekło to wcale nie płomienie, ogień i hordy chichoczących diabłów. Piekło to samotność, strach i przenikające duszę piekielne zimno.

- Lauro! - usłyszała nad sobą głos Jaroda. -Podaj mi obie ręce. Ostrożnie. Ta skała jest dość słaba, kruszy się.

Gorliwie spełniła polecenie.

- Znalazłeś go? Jest tu pieczara?

- Uwaga, ostrożnie!

Tym razem nie szamotała się, gdy ją podciągał. Zacisnęła zęby i uchwyciła mocno jego przeguby. Widziała, a właściwie czuła, że krawędź nawisu kruszy się i osypuje, i że wokół spadają z grzechotem odłamki.

Nagle znalazła się na górze koło Jaroda, który szybko odciągnął ją od zdradzieckiej krawędzi. Znajdowali się u wejścia do kolejnej szczeliny w skałach. Miała ona ponad półtora metra wysokości. Wąska, ale człowiek bez plecaka mógł się przecisnąć.

Jarod zdjął swój plecak i pomógł Laurze wyzwolić się z jej ciężaru. Zapalił latarkę i wszedł w wąski otwór. Podał dziewczynie rękę i wciągnął ją za sobą.

W świetle latarki pieczara wyglądała ponuro. Była zimniejsza niż tamte dwie poprzednie.

Usłyszała szmer płynącej wody, co zrodziło promyk nadziei. W sklepieniu pieczary była dziura około półmetrowej średnicy. Wpadał przez nią śnieg. Ta pieczara znajdowała się chyba tuż pod szczytem wzniesienia, bo skąd by się wziął ten otwór ku szaremu niebu. W pieczarze pachniało siarką.

Jarod objął ją mocno ramieniem. Miała chęć ukryć twarz w jego kurtce.

- Spokojnie. Wszystko jest dobrze. Jest tu Tim, żyje - wyszeptał.
- Nie martw się. Brat nie jest w dobrym stanie, ale żyje. I to jest najważniejsze.

Jarod oświetlił latarką kąt pieczary. Z nieco wyżej leżących partii skały biło źródło, spływało parę metrów w dół i ginęło w jakiejś szczelinie. Kiedy na wodę upadały płatki śniegu, pojawiała się lekka mgiełka pary.

Przez tę nikłą mgiełkę dostrzegła w samym rogu pieczary duży, nieforemny pakunek, częściowo osypany wpędzonymi przez wiatr liśćmi. Był to śpiwór, w którym leżał bez ruchu Tim.

Ugięły się pod nią kolana, ale Jarod trzymał ją mocno i ten uchwyt przywrócił jej częściowo siły.

- Spokojnie, Lauro! Powiedziałem ci, że on żyje. Leżący poruszył się, jęknął, a było to jęknięcie bezbronnego dziecka. Potem Laura usłyszała suchy, urywany kaszel.

- Tim! - zawołała. - Tim! Odezwij się! Jedyłą odpowiedzią był kolejny atak kaszlu. Znacznie później, gdy wspominała te chwile, nie potrafiła sobie uświadomić, co wówczas zrobiła. Wiedziała tylko, że wszystko działo się jak w malignie. Teraz, rzeczywiście półprzytomna z niepokoju, uklękła przy Timie i przytuliła go do piersi. Wpatrywała się w jego okropnie wychudłą twarz z wielodniowym zarostem i popękkanymi wargami, ubrudzoną dymem i ziemią.

Sprawił wrażenie, jakby nie mógł jej poznać. Wreszcie jednak z trudem wybełkotał:

- Lauro! Czuje się niezbyt dobrze... Powiedz tacie, że... nie mogę iść na mszę... Powiesz?

Potem zamknął oczy, na ustach pojawił się nikły uśmiech, głowa opadła na ręce Laury.

- O mój Boże! - wykrzyknęła. - On jest w delirium. - Kołysała go jak małe dziecko, wtulała policzek w jego włosy. Tim wypowiedział te kilka słów z większym trudem, niż mówił bezpośrednio po wypadku. Był w bardzo złym stanie.

Koło niej przykucnął Jarod z apteczką. Zmusił chłopaka do połknięcia aspiryny i popicia wodą, po czym przemył mu twarz gorącą wodą ze źródelka.

Laura tymczasem zmierzyła bratu temperaturę. Trzydzieści cztery i osiem! Hipotermia! Niebezpieczna sytuacja.

Jarod otworzył klapę śpiwora, żeby obejrzeć Tima. Chłopak miał na sobie kurtkę nieprawdopodobnie umorusaną i poplamioną krwią. Rękawy były podarte. Dżinsy poszarpane na kolanach, skóra na nogach pokrwawiona.

- Nie! - zaprotestował słabo, kiedy Jarod i Laura zaczęli go rozbierać, żeby oczyścić i opatrzyć rany. Ale bezwolnie poddał się ich zabiegom.

Po zakończeniu opatrywania Laura szybko odziała chorego w zapasowe ubranie, które na szczęście zabrała ze znalezionej plecaka. Na to wszystko włożyła jeszcze ocieplaną kurtkę Jaroda, a sama wzięła tę podartą brata.

Jarod rozpałał ognisko.

- Mimo ognia będzie, psiakrew, zimno! - powiedział. - Przez tę lukę u stropu wdziera się lodowate powietrze. Otwór musiał powstać niedawno. Kiedy twój brat po raz pierwszy tu zawędrował, tej dziury pewno jeszcze nie było. Widać zresztą dość świeże odłamki skały na ziemi. To jest erozja ostatnich lat.

Timem wstrząsały nieustanne dreszcze. Mimo że leżał opatulony w śpiworze, siostra przykryła go dodatkowo drugim śpiworem wyjętym z plecaka Jaroda.

Skończywszy rozpalanie ognia, Jarod podszedł do Laury i zapytał półgłosem:

- No i co myślisz? Jaka diagnoza?

- Zapalenia płuc jeszcze nie ma, ale kto wie, czy nie zaczął się bronchit. Nie podoba mi się ten kaszel. Cierpi na ostateczne

wyczerpanie. No i hipotermia. Ale szczerze mówiąc, obawiałam się gorszego stanu.

- Zaraz przygotuję mu gorącą zupę i herbatę. Kiedy zje, trzeba go podnieść na nogi i zmusić do zrobienia paru kroków. Trzeba poprawić obieg krwi. Dzielny z niego chłopak, Lauro. Ostatnie paręset metrów właściwie się przeczołgał. Ostatkiem sił. Tego się właśnie obawiałem od dawna, ale nie chciałem ciebie martwić. Teraz już jest dobrze. Udało mu się. Nie poddał się, choć przeżył piekło. Mam dla niego wielki podziw.

Jarod rozłożył w pobliżu ognia plastikowy podkład i przeniósł nań opatulonego w śpiwór Tima.

Laura rozbudziła brata i skłoniła, by usiadł, podtrzymując go z całej siły, aby nie osunął się na ziemię. A gdy Jarod przyniósł zupę i gorącą herbatę, karmiła go jak dziecko. Z początku Tim opierał się i odwracał usta, ale potem już z zadowoleniem łykał gorące płyny.

- Ach, gdybyśmy mieli teraz radio... - zaczęła w pewnej chwili Laura, ale urwała, by niepotrzebnie nie niepokoić Tima, który wydawał się teraz dość przytomny. Jarod oglądał otwór w sklepieniu. Złapał w dłoń parę płatków wpadającego śniegu, potem pochylił się nad dziewczyną i wyszeptał jej do ucha:

- Nic by nam tu radio nie pomogło. Nawet gdyby odebrano wiadomość. W taką pogodę żaden helikopter tu nie trafi. - Wyprostował się. - A teraz przede wszystkim trzeba uszczelnić to miejsce. - Wskazał na dziurę w sklepieniu. - Żeby nie padał śnieg i

było ciepło. Wykorzystam do tego plastikową płachtę. Mamy jeszcze jedną, twoją, prawda?

- Tak - odparła.

- Postaram się też zasłonić wejście do pieczary. To też pozwoli podnieść temperaturę o parę stopni. Niestety, za mało mamy drewna na opał. Pójdę poszukać gałęzi. - Uważnie popatrzył na Tima. - Wypił herbatę? Daj mu jeszcze jeden kubek. Niech pije jak najwięcej. A potem trzeba będzie z nim pospacerować. Musimy zrobić wszystko, co można, żeby podnieść temperaturę ciała.

Tym razem Laura zmuszała brata do wypicia trzeciego kubka. Potem oboje z Jarodem usiłowali postawić go na nogi, ale stale osuwał się na ziemię. Jarod niestrudzenie podtrzymywał go tak długo, aż Tim wreszcie oparł się na własnych nogach.

- Chodź, chłopcze! - rozkazał Jarod z taką siłą w głosie, że Tim, choć niepewnie, uczynił krok. Na chwilę wzrok jego rozjaśnił się. Spojrzał na tropiciela z zainteresowaniem.

-Ktoś ty? - zapytał półprzytomnie. - Anioł... śmierci?

- Nie, chłopcze - odparł Jarod przez zaciśnięte zęby.. - Ja tylko przyszedłem tu z aniołem życia. - Wskazał głową na Laureę, która podtrzymywała Tima z drugiej strony. - A teraz chodź, psiakrew, chodź, ruszaj nogami!

No i chłopak zaczął iść. Choć słabiutko, ale szedł.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Obeszli dwa razy całą pieczarę. Potem posadzili Tima przy ogniu i Laura jeszcze raz spróbowała napoić brata gorącym płynem.

Stale dręczyły ją wyrzuty sumienia z powodu zepsutego radia. Jarod uspokajał ją. Zapewniał, że dadzą sobie radę sami, bez zewnętrznej pomocy. W głębi duszy wcale nie był tego pewien. Wstał i ruszył do roboty. Najpierw zasłonił wejście do pieczary plastikową płachtą. Potem gdzieś zniknął.

Gdy wrócił, był biały od śniegu, a twarz miał zsiniałą z zimna. Przyniósł gałęzie i naręcze drewna na opał. Rzucił je blisko ognia, aby obeschło. Potem, przy pomocy paru mocnych gałęzi i drugiej plastikowej płachty, zasłonił otwór w stropie pieczary.

Mimo protestów Laury, nalegającej, aby ubrał się cieplej, wyszedł ponownie. Rzeczywiście noc była coraz mroźniejsza. Przy następnym transporcie drewna miał już zlodowaciałe rękawice. Nie bacząc na to, wychodził jeszcze kilkakrotnie, dopóki nie zrobił zapasu opału chyba na wiele dni.

Laura co pewien czas sprawdzała stan brata. Mniej już dygotał, a kiedy ponownie zmierzyła mu temperaturę, miał trzydzieści pięć stopni z paroma kreskami. Jednakże wciąż znajdował się jakby w oszołomieniu. Przytomny, ale odległy. Postanowiła budzić go co godzina, aby poić gorącymi płynami i zmuszać do chodzenia w celu przyspieszenia krążenia krwi.

Dodatkowego zmartwienia przysparzał jej Jarod, który tyle razy wychodził na mróz po drewno niedostatecznie ubrany. Gdyby jemu coś się stało... Woląla o tym nie myśleć. Gdy wreszcie powrócił, rozarta jego zmarznięte dłonie.

- Proszę cię, usiądź i napij się herbaty. Jesteś cały zziębnięty. Musisz odpocząć. Zasłużyłeś na odpoczynek. Odnalazłeś Tima, sprawiłeś cud - mówiła miękko, patrząc mu z czułością w oczy. - Teraz musimy w jakiś sposób dać znać ludziom, że potrzebujemy pomocy.

Jarod położył przy ogniu zlodowaciałe rękawice, nalał sobie herbaty, usiadł koło Laury i wlepił wzrok w ogień. Po chwili odezwał się rzeczowo:

- Obejrzałem jego zapasy. Nawet ich nie ruszył. Prawdopodobnie był zbyt wyczerpany. Sześć puszek zupy, dwie tuńczyka, jedna puszka ziemnych orzeszków, dwie soku jabłkowego. Te jego zapasy i nasze powinny ci wystarczyć na jakieś cztery, może pięć dni. Drewna też ci wystarczy. Jeśli będziesz potrzebowała wody, stopisz sobie śniegu. Tylko pamiętaj, że wodę trzeba przegotować.

Zaczynała rozumieć. Ogarnął ją wielki niepokój. Mocniej przycisnęła do siebie Tima.

- Co chcesz przez to wszystko powiedzieć?

- Słuchaj uważnie. Ten śnieg nie przestanie szybko padać. Nie ma żadnego sposobu, by zawiadomić kogokolwiek, że tu jesteśmy. I nikt nie może do nas dotrzeć.

- Więc co? Co chcesz przez to powiedzieć? - ponowiła pytanie.

- Pójdę po pomoc. Ja sam - odparł twardo.
 - Nie... - zaczęła protestować.
 - Nie będziemy o tym dyskutować! - przerwał. - Posłuchaj uważnie, a zrozumiesz: śnieg nie przestanie padać.
 - Skąd wiesz? Może przestanie. Rano może przestanie, wtedy dasz im znać. Dymem.
 - Wiem, że nie przestanie. Po prostu wiem. Gdyby chodziło tylko o nas, moglibyśmy przetrzymać, ale z twoim bratem w takim stanie... Nie wolno nam czekać. Ktoś musi iść po pomoc. Tym kimś mogę być tylko ja. Ty musisz zostać z bratem. Zaopiekować się nim. Jesteś pielęgniarzką i wiesz, co robić. Trzymaj go w ciepłe, karm. Niech dużo chodzi.
 - Ale przecież nie możesz iść teraz. Jest już zupełnie ciemno!
 - Owszem mogę. I muszę. Nie ma czasu do stracenia. Bez żadnego obciążenia będę mógł iść szybko. Wszystko tu zostawiam.
 - Ale po ciemku! Nie rób tego! - błagała. - Zabłądzisz, tak jak zabłądził Tim. Albo wpadniesz jak ja do strumienia. Górskie strumienie nie zamarzają szybko, nie przejdiesz po lodzie. Może ci się...
- Położył palec na jej ustach.
- Uspokój się! Będę bardzo ostrożny. Muszę być ostrożny ze względu na... ciebie. Ażeby nie stracić orientacji, wezmę kompas Tima. Na szczęście zabrałaś go z jego zapasowym ubraniem. Był w torbie razem z latarką.
 - Ale...

- Dość. Sprawa postanowiona. Będę miał ponadto dwie latarki. Tima i moją. Mam też zapasowe baterie. Wiem, że mi się uda, Lauro. Nic się nie bój. Chodzi o życie twojego brata. Nie wolno nam tracić czasu. Każda godzina się liczy.

- A jeśli coś ci się stanie?

- Nic mi się nie stanie. Gdy tylko się rozwidni, rozpal ognisko na zewnątrz. Wysyłaj dymne sygnały. Chwilami przesłaniaj czymś dym, tłum go, żeby sygnał był przerywany, by wiadano, że to jest sygnał. Trzymaj ten ogień tak długo, póki cię nie odnajdą. I opiekuj się dobrze bratem. To najważniejsze.

- Nie chcę, żebyś szedł sam nocą. - Do jej oczu napłynęły łzy i zaczęły ściekać po policzkach. Jarod delikatnie je otarł.

- Trzeba iść. Tim musi być przetransportowany przez paru ludzi. Sami go nie udźwigniemy.

Zrezygnowana milczała. Wiedziała, że Jarod ma rację.

- A poza tym wydaje mi się, że ta mgła utrzyma się jeszcze przez parę dni.

- No to może przeczekać, aż opadnie - chwyciła się desperacko ostatniego argumentu.

- To potrwa dłużej niż dwa dni. Tim może nie wytrzymać...

- A jak nas odnajdziesz wracając? Przecież będziesz półprzytomny ze zmęczenia.

- Znajdę, nie ma obawy. I wytrzymam. Zapewniam cię, że wybrałem właściwy wariant postępowania. Poza tym nie będę wracał

sam, ale z grupą ratowników, zaopatrzonych w nosze i inny potrzebny sprzęt.

Powoli rezygnowała, choć przerażała ją jeszcze myśl, że gdyby Jarodowi coś się w drodze stało, to nikt ich tu w pieczarze nigdy nie odnajdzie.

- Jeśli wyruszę teraz nie zwlekając, to już rano mogę trafić do ludzi. Przy odrobinie szczęścia moglibyśmy dotrzeć tu z powrotem jutro wieczorem. I od razu zabierzemy Tima do szpitala.

- Będę się o ciebie nieustannie martwiła.

- Wszystko będzie dobrze - uspokajał ją łagodnie, gładząc po ramionach, po czym złożył na jej ustach lekki pocałunek.

Niespodziewanie zaczęło ogarniać ją cudowne uczucie lekkości, a jednocześnie orzeźwiającej, życiodajnej siły.

Jarod zdjął z szyi amulet i wręczając go Laurze, powiedział:

- Weź to. Wiem... wiem, że w to nie wierzysz, ale będę się czuł... no, znacznie lepiej, wiedząc, że go nosisz.

- Nie. Włóż ten naszyjnik z powrotem. Potrzebny ci będzie w drodze. Przechowaj go dla mnie na potem. Dasz mi go po powrocie. Tak będzie lepiej. W tej jednej sprawie nie ustąpię - oświadczyła.

- Jeśli tego chcesz...

Złożył naszyjnik i schował go pod koszulą. Ujął dłoń Laury i pocałował przeciągle, a potem raz jeszcze złożył pocałunek na jej wargach.

- A więc do zobaczenia. Nie będziesz długo czekała. - Chwilę się zastanawiał, a potem od guzika koszuli odpiął pióro. - Ale to weź.

Jastrzębie pióro. Po to, byś wiedziała, że poszybuję z powrotem szybko jak jastrząb. I będziemy razem. Trzymaj się, dziewczyno!

- Musisz wziąć kurtkę, którą mam na sobie. Wiem, że swojej nie zabierzesz, bo mają Tim, ale tę weź. Mimo podarcia jest cieplejsza od twojej.

- Znacznie lżej będzie mi w tym, co mam na sobie. Przez podarte rękawy wdzieraloby się zimno. Nie, zatrzymaj ją - zdecydował. - Będę w ciągłym ruchu, moja wiatrówka w zupełności mi wystarczy.

Przerzucił przez ramię małą manierkę, do jednej kieszeni włożył zawiniątko z kawałkiem suszonego mięsa, do drugiej małą latarkę Tima i zapasowe baterie. Właściwie był gotów.

Laura pohamowała impuls, by odwrócić się i nie patrzeć, jak Jarod odchodzi. Nie, będzie patrzeć do ostatniej chwili, sycić wzrok widokiem jego twarzy, jego sylwetki...!

Odwrócił się i poszedł do wyjścia. Gdy odsunął plastikową płachtę, do wnętrza jaskini wdarło się zimne powietrze. Tim poruszył się niespokojnie na posłaniu.

- Trzymaj się, dziewczyno, wkrótce wrócę! - powiedział Jarod, nie odwracając głowy i zniknął. Płachta opadła na swoje miejsce.

To była najdłuższa noc w jej życiu. Co godzina budziła Tima, który za każdym razem wydawał się bardziej rozdrażniony. Nie był też całkowicie świadomy, gdzie się znajduje. Za którymś razem wyrwał jej z dłoni kubek z herbatą i wylał na ogień, prawie zupełnie go wygaszając. Miała ochotę potrząsnąć nim, by oprzytomniał i zachowywał się racjonalnie, ale natychmiast uświadomiła sobie, że to

nie ma sensu. Już raz straciła cierpliwość przy chorym bracie i teraz płaci za to okropną cenę. Naraziła na niebezpieczeństwo także Jaroda, który zziębnięty błąka się teraz gdzieś w ciemności.

Cierpliwie więc skłaniała Tima do jedzenia i do picia, kołysała go w ramionach, uspokajała, czasami tylko postraszyła słowem, gdy zachowywał się wyjątkowo uparcie.

Rano poczuła się straszliwie wyczerpana. Zmierzyła bratu temperaturę i z radością stwierdziła, że jest już prawie normalna. Wycie wiatru na zewnątrz nieco osłabło, a chwilami nawet całkowicie cichło.

Z jajek w proszku i kostek suszonej szynki sporządziła Timowi śniadanie. Po raz pierwszy jadł naprawdę z apetytem, niemal żarłocznie, i sam wypił duszkiem herbatę, a potem jeszcze kubek soku jabłkowego.

Jego stan wyraźnie się poprawił, chociaż daleko jeszcze było do całkowitego ozdrowienia. Wreszcie zaczął nieco przytomniej rozmawiać.

Odezwał się pierwszy, trzymając w dłoni kubek, zapatrzony w płonący ogień. Mówił z tymi samymi zajknięciami, jakie miał od wypadku.

- Ba... łem się. Bo byłaś... taka zła. Na... na mnie. My... myślałem, że mnie nie chcesz więcej widzieć.

- Bardzo cię chciałam widzieć. - Objęła jego wychudzone ramiona. - Wszyscy chcieliśmy. Bardzo cię wszyscy kochamy.

-Ja... ja chciałem wrócić. Ale... ale myślałem, że jesteś na... na mnie zła. Że uciekłem.

- To moja wina, że tak pomyślałeś. - Objęła go za szyję. - Byłam za to wściekła na siebie. Muszę się nauczyć więcej cierpliwości.

- Lauro!

- Słucham.

- Ja... ja uciekłem, bo powiedziałaś mi, że...

- Wiem, Tim. Okropnie tego żałuję.

- A teraz, wiesz co? Nic... nic nie pamiętam, co mi po... powiedziałaś. Nawet nie pamiętam, dla... dlaczego uciekłem.

- Bardzo dobrze, Tim. Zapomnijmy o tym.

Ujęła jego twarz w obie dłonie i ucałowała. On także objął ją i przytulił. Laurze napłynęły do oczu łzy szczęścia.

- Byłeś bardzo dzielny - powiedziała. - Dzielny i mądry. Przetrwaleś w tych trudnych warunkach. Ale teraz jesteśmy z powrotem razem i wkrótce wrócisz do domu.

Odsunął się, jakby zawstydzony tymi czułościami.

- Pada śnieg? - zapytał nagle.

- Pada.

- No... no to jesteśmy w... w ładnej sytuacji...

- Nic się nie martw. Wkrótce się z niej wydobędziemy.

- A... a ten człowiek, co... co tu był? - spytał po chwili. - Kto to? Gdzie on jest?

- Nazywa się Jarod. - Poczowała się niespokojna. Na chwilę zapomniała o Jarodzie. Czy dobrnął szczęśliwie, czy znalazł pomoc? -

To on cię odnalazł. Jest tropicielem. Aleś go wodził za nos! Miał nie lada robotę, żeby cię wreszcie wytropić.

- Ja... Jarod? Nie znam. Skąd się wziął? Skąd on tu z... z tobą?

Po... po mnie przyszedł?

- Pamiętasz Gusa Raphaela? Gus zna Jaroda i sprowadził go ze stanu Maine.

- Gus Raphael?! - Tim zaśmiał się chyba po raz pierwszy. - A... a więc go ostatecznie przy... przyjmujesz z powrotem?

- Ależ nie!

- Gus to do... dobry facet...

- Może i niezły - zgodziła się. I ni stąd, ni zowąd naprawdę zaczęła tak myśleć. Przecież to on właśnie sprowadził Jaroda. A więc dzięki niemu odnaleźli Tima.

Teraz Jarod ryzykuje dla nich życie. Czy doszedł bezpiecznie? Czy nic mu się nie stało? Czy nie spadł w jakąś przepaść? A może zamarza właśnie w jakimś niedostępnym miejscu?

Znowu zaczęła się zadręczać, tak jak podczas minionych dni z powodu Tima. Po raz tysięczny wyrzucała sobie, że to z jej winy zostali pozbawieni radia.

- Dość częściej gadaniny! - Zerwała się. — Teraz spacer.

Wstawaj, obejdziemy pieczarę ze sto razy.

-Daj... daj mi spokój, Lauro! Je... jestem słaby. Chcę spać!

- O nie! - odparła twardo. - Musisz wstać, musisz spacerować.

No, jazda!

Dźwignął się z trudem przy jej pomocy. Krążyli po pieczarze, aż sama Laura miała tego dość i dopiero wtedy pozwoliła mu wrócić do śpiwora. Gdy chciała go przytulić, obrażony wyśliznął się z jej objęcia.

Widać, że czuje się znacznie lepiej, pomyślała. Zaczyna okazywać dawny temperament i humory. Usiadła blisko ognia, czekając, aż Tim zaśnie. Potem sama się zdrzemnęła, ale raz po raz otwierała oczy i rozmyślała, co w tej chwili robi Jarod, czy wszystko mu się udało.

Kiedy rozbudziła się na dobre, znowu zmierzyła bratu temperaturę. Trzydzieści osiem! Ogarnął ją nowy niepokój. Sytuacja stawała się niebezpieczna. Gorączka ponownie osłabi Tima. Nakarmiła go gorącą zupą, napoiła jabłkowym sokiem, ale tym razem już nie zmuszała do spaceru. Nie przy gorączce. Poza tym zaczął męczyć go kaszel. Podała mu aspirynę, otuliła szczelnie. Niech śpi. Zasnął prawie natychmiast, na czoło wystąpił mu pot.

Zaczęła się modlić, by Jarod szczęśliwie dobrnął do celu i jak najszybciej sprowadził pomoc. Śpiesz się, Jarod, śpiesz się! Pomóż mu, Boże!

Nie mogła zasnąć, czuła zbyt wielki niepokój.

Śnieg przestał padać, mgła zrzędła, chociaż nadal oblepiała krajobraz. Słyszała lekkie trzaskanie gałęzi; obciążonych lodem i śniegiem.

Zastanawiała się, która to może być godzina. Już chyba dochodzi południe? Gdzie jest teraz Jarod? Może już wraca z ekipą

ratowników? Jakżeby chciała wierzyć, że już wraca, ale to chyba jeszcze niemożliwe. Tim zaczął trząść się i szcząkać zębami. Zjada go gorączka!

O Boże, co to będzie?

Obudziła brata i podała mu kolejną aspirynę oraz antybiotyk. Tim leżał przez dłuższy czas smutny, z otwartymi oczami. Laura domyślała się, że zdaje sobie sprawę z sytuacji i jest przerażony podobnie jak ona. Coraz częściej miewał ataki duszącego kaszlu. Wreszcie jednak powtórnie zasnął i wydawało się, że śpi spokojniej.

Popołudnie ciągnęło się nieskończenie długo. Laura wmawiała sobie, że wkrótce niebo się przejaśni i nadleci helikopter. Zabierze Tima i ją do domu, w bezpieczne miejsce. I helikopterem przyleci Jarod...

Niebo się jednak nie rozjaśniło, a helikopter nie nadlatywał.

Na szczęście sen przeciął jej rozpaczliwe myślenie i uciszył osaczającą trwogę. Gdy się obudziła, instynkt natychmiast ją ostrzegł, że dzieje się coś złego.

Obudził ją jakiś odgłos. Nie był on z pewnością wydawany przez człowieka. Podobny do drapania. I charczenia. Tuż za plastikową zasłoną u wejścia do pieczary.

O Boże, dziki pies! Może być ich parę, pomyślała.

Dziki psy pustoszyły właściwie tylko skraje tego obszaru, mającego charakter narodowego parku. Łatwiej im było polować na dobytek farmerski niż na zwierzęta w lesie.

Teraz, kiedy śnieg przestał padać, któryś z dzikich psów, przyciągnięty zapachem pożywienia, czatował przed wejściem do pieczary. Jeden albo kilka.

Drapanie i charczenie nie milkły. Laura zerwała się na równe nogi i zaczęła rozglądać za czymś, co mogło posłużyć do obrony. W zasadzie dzikie psy nie lubiły i unikały ludzi. Łatwo je było odpędzić. Jednocześnie celowały w przebiegłości. Niesłuchanie łatwo wyczuwały czyjś strach lub słabość. Chociaż niesłuchanie rzadko napadały na ludzi, takie wypadki się zdarzały.

Przy ogniu leżał nóż myśliwski. Chwyciła go i wyciągnęła z pochwy. W drugą rękę złapała rozpaloną głownię ponad półmetrowej długości, z jednym końcem nie objętym jeszcze przez ogień.

Na palcach, wstrzymując oddech, podeszła do plastikowej zasłony. Zapanowała cisza, charczenie ustało, by po chwili rozlec się ponownie w formie ostrzegawczego bulgotu.

Nie wolno mi teraz stchórzyć, myślała, zaciskając zęby. Była zdeterminowana.

Jednym ruchem odsunęła plastik i skoczyła przed siebie, wymachując pochodnią. Pies odskoczył, a jego tylne łapy pośliznęły się na oblodzonej skale. Zastygł w pełnym gotowości napięciu i wyszczerzył kły, groźnie charcząc. Czarnobrunatne psisko średniej wielkości, o gęstym zimowym futrze tu i ówdzie wyraźnie poszarpanym w walkach. W oczach jego dostrzegła coś bliskiego szaleństwu. Pies wyraźnie szykował się do ataku.

Zamierzyła się głównią, ale odskoczył, jeżąc sierść i szczerząc kły jeszcze groźniej. Nagle pies rzucił się, chcąc ją chwycić za nogę. Uderzyła na oślep i tym razem trafiła. Straszliwie zaskowyczał, a w powietrzu rozszedł się zapach nadpalonego futra. Dalej skowycząc, umknął po stromym zboczu. Po chwili pochłonęła go mgła.

Miała nadzieję, że nie zrobiła mu nic złego, a tylko go przestraszyła. By się wyładować, rzuciła tłącą się głównię w dół zbocza. Ale nim jeszcze wypuściła ją z ręki, zdała sobie sprawę ze straszliwego błędu. By dalej cisnąć głównię, wysunęła lewą nogę na sam skraj słabego nawisu i kiedy przeniosła na tę nogę ciężar ciała, skała pękła, krusząc się na kawałki. Laura straciła nagle równowagę i po rozpaczliwym piruecie runęła w dół. Słyszała jeszcze skowytanie psa, a potem uderzyła całym ciałem o zbocze i zaczęła się zsuwać w dół, niezdolna zahamować szaleńczego slalomu, prawie pozbawiona tchu. Zatrzymała się na drzewie.

Poczuła okropny ból w klatce piersiowej i wówczas zdała sobie sprawę, że prawdopodobnie złamała kilka żeber.

Leżała ogłuszona, obolała i przerażona. Nie mogła złapać oddechu; wciąganie powietrza sprawiało straszny ból. Usiłowała krzyknąć, ale dźwięk, który wyszedł z jej ust, był zaledwie cichym jękiem.

Musi przecież wrócić do Tima! Za wszelką cenę musi do niego wrócić! Gołymi palcami wczepiła się w zamarznąłą ziemię, próbując czołgać się po zboczu w górę. Przeszył ją jednak tak straszny ból w boku, że rozpaczliwie jęknęła i zastygła w bezruchu.

Wąskimi pasmami krążyła wokół niej mgła. Słońce szybko zachodziło. Lodowaty śnieg palił policzek. Nie miała siły, by podnieść choćby głowę.

Jar od powiedział, że wróci przed nocą. Ale noc była już blisko, a on się nie pojawiał. Z wielką jasnością zdała sobie sprawę, że jeśli tego ranka Jarod nie dotarł do ludzi i nie zorganizował ekipy ratunkowej, to szanse przeżycia Tima i jej są nikłe. Jeśli Jarod wkrótce się nie pojawi, to ona zamarźnie na śmierć.

- Jarod! - wyszeptała, ale wymówienie jego imienia sprawiło Laurze taki ból, że jej świat zawirował i przed oczyma zrobiło się ciemno.

RS

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Przeraźliwy huk wypełniał powietrze. Laura miała ochotę zatkać sobie uszy. Huk i drzenie powietrza były niemal bolesne. A już własnego bólu miała dość. Spać! To było jej jedyne pragnienie. Gdzieś daleko słyszała jeszcze łoskot jakby nadchodzącej burzy.

Czyjeś ręce ją dźwignęły, sprawiając okropny ból. Chciały pozbawić ją dobroczynnego snu. Szarpały na niej odzież. Chętnie by je odepchnęła, ale brakowało jej siły.

Czyjeś dłonie owijały ją bandażem, owijały i owijały, aż owinęły dokładnie całą klatkę piersiową. Tak, połamałam sobie żebra, pomyślała tępo. Bandażują mnie, żeby mnie stąd zabrać. A ja nie chcę, żeby mnie zabierali. Ja chcę spać!

- Nie pozwólcie jej zasnąć! - odezwał się ktoś ostro.

Ktoś inny zaczął prawie bić ją po twarzy. Irytacja walczyła w niej z otępieniem.

Ktoś raz jeszcze porządnie trzepnął ją w policzek i irytacja zwyciężyła. Gdyby mogła, zwymyślałaby go. Hałas w powietrzu tak się wzmógł, że prawie ogłuszał. Taki huk potrafiłby obudzić zmarłego. Albo umierającego, pomyślała zaskoczona własną myślą.

Coś tam do niej mówili, ale w tym harmidrze nie mogła zrozumieć ani słowa. Jakieś natrętne dłonie przenosiły ją, potem przywiązywały chyba do noszy.

Miała przedziwne wrażenie, że wznosi się do góry, że kołysze się w powietrzu i że nieubłaganie zbliża się do samego źródła łoskotu.

Pomyślała sobie, iż może tak właśnie wygląda umieranie i wędrówka do nieba. Do wędrówki przygotowywali ją aniołowie, może trochę zbyt brutalnie szarpiąc i wiążąc, ale być może tak właśnie jest i niebo wcale nie jest miejscem spokoju, tylko ożywionej aktywności. Straciła przytomność.

Świadomość przywrócił jej ogłuszający hałas. Było ciepło, czuła wibracje. To helikopter, pomyślała. Jestem w helikopterze. Po co? Nie było w tym pytaniu ciekawości ani tym bardziej chęci jej zaspokojenia. Byle nie skłaniać się do najmniejszego wysiłku! Poza tym dowiedzenie się, dlaczego czy po co, mogło zboleć. Wolałaby zasnąć bezbolesnym snem.

Jej dłonie były w czyichś jakże miłych dłoniach. Chyba je poznaje...!

- Lauro! - usłyszała cichy szept. - Jesteś bezpieczna, Tim także jest bezpieczny. Wszystko jest w porządku.

Na policzku poczuła usta.

- Nic się nie bój! Jestem przy tobie - szeptał ten sam głos.

Jarod, pomyślała. Kochany, drogi Jarod, odnalazł nas. Zabiera nas do domu. Ach, jaka jestem szczęśliwa!

Nagle powróciła cała chęć życia. Tak, wszystko będzie dobrze!

Raz jeszcze ją pocałował. Dotyk jego ust wywołał w niej wolę wydobywania się z półsnu, w jakim jeszcze tkwiła. Muszę się rozbudzić, choćby to miało bardzo boleć!

Uśmiechnęła się. Wszystko się udało. Jest wspaniale!

Są ocaleni, wracają do domu. I jest przy niej Jarod! Z wysiłkiem otworzyła oczy. Koniecznie chciała go zobaczyć.

Kiedy z trudem przebiła wzrokiem przestrzeń dzielącą ją od siedzącego obok mężczyzny, zmartwiała. To nie Jarod patrzył na nią pełnymi niepokoju i miłości oczyma, ale ciemnooki Gus Raphael. To on trzymał jej dłoń w swojej. wyjść dopiero za dotknięciem dłoni Jaroda. I zobaczyć jego wspaniałe, napawające otuchą szare oczy.

Było popołudnie następnego dnia. Znowu padał śnieg. Do szpitalnego pokoju zaglądało słabe światło zmierzchu. Laura miała dość patrzenia na zaśnieżony świat, odwróciła oczy od okna, napotykać wzrok Gusa.

- No, dobrze - powiedział, siadając na skraju łóżka. - Może jestem zbyt natrętny, ale czy byłoby to zbyt wiele spodziewać się choćby zwykłego „dziękuję”?

Laura się zaczerwieniła. Po dniu spędzonym w szpitalu czuła się jak odrodzona. Nie pomyślała do tej chwili o tym wszystkim, co Gus zrobił dla Tima. W ogóle zapomniała o Gusie, myśląc wyłącznie o Timie i Jarodzie.

Lekarze zapewnili ją, że Tim wyjdzie cało z przygody. Poza tym widziała go, rozmawiała z nim i sama mogła stwierdzić, że oni mają rację.

Niezależnie od tego zaczął znacznie jaśniej myśleć niż przedtem. Wydawał się dużo więcej rozumieć, a nawet lepiej mówić, choć dalej trochę się jąkał. Zdawał sobie sprawę, że powrót do pełnego zdrowia będzie długi i trudny.

Prawie przez cały czas przebywała przy nim Zuzanna. Odrywała się tylko w celu odwiedzenia siostry.

Laura nie widziała jeszcze Jaroda. Była spięta i rozdrażniona. Kilka razy wręcz naskoczyła na Gusa. Właśnie po jednym z takich docinków zadał jej pytanie na temat podziękowania.

Zawstydziło ją to. Przyznawała w duchu, że traktuje go bardzo źle.

- Przepraszam, Gus - odparła, nie patrząc jednak na niego. - Bardzo ci dziękuję. Naprawdę jestem ci ogromnie wdzięczna. Przepraszam za mój ostry język. Wszystko zawdzięczamy tobie.

Jednocześnie myślała sobie, że wołałaby, aby Gus nie siedział na jej łóżku. Rezerwowała to miejsce dla Jaroda.

- De nada - odparł po hiszpańsku i lekko wzruszył ramionami, - To nic nie było.

- To było wszystko! Nie chcę, żebyś myślał, iż jestem niewdzięczna. Gdybyś nie przywiózł Jaroda, to nie wiadomo, co mogłoby się stać.

Twarz Gusa zrobiła się surowa, gdy padło nazwisko przyjaciela. Przez długą chwilę oboje milczeli.

Gus przyszedł jak zwykle nieskazitelnie ubrany: biała koszula, jedwabny krawat, sweter oliwkowego koloru, beżowe spodnie. Był w swoim rodzaju fascynującym mężczyzną. Laura widziała, z jakim zainteresowaniem spoglądały na niego pielęgniarki.

Przysłał Laurze dwa tuziny czerwonych róż, które teraz stały obok w wazonie, a sam przyniósł pudełko czekoladek. Bardzo drogich czekoladek! Pudełko leżało nie otwarte koło róż.

Przyniósł jej też do czytania książkę. Powiedział, że to jedna z jego ulubionych. Powieść szpiegowska. Historie szpiegowskie nudziły ją. Wzięła ją co prawda do ręki, przeczytała parę akapitów i odłożyła; jej myśli krążyły przez cały czas wokół osoby Jaroda. Każda mijająca godzina wzmagała tęsknotę.

- Czy Jarod śpi? - Starła się być obojętna, by nie drażnić nadmiernie Gusa.

- Jarod tu był - przyznał Gus z goryczą. - Ale nie chciano go wpuścić. Było już po godzinach odwiedzin. A ty otrzymałaś środek nasenny. Wrócił więc do waszego domu i padł jak nieżywy. Nie spał od ponad czterdziestu godzin.

-I do tego przez cały czas zmagał się z fatalnymi warunkami atmosferycznymi i nieprzychylnym terenem - dokończyła. Z niepokojem pomyślała, czy i Jaroda nie powinien zbadać lekarz. Zamiast tego spytała tylko: - Wszystko z nim w porządku?

- W absolutnym porządku - zapewnił jakby niechętnie Gus. - Natomiast ja mam złamane serce. A więc to prawda, że tam, w lesie, między łośiami i niedźwiedziami coś między wami zaszło?

- Gus, w Arkansas nie ma łośi. Łosie są bardziej na północ...

- Nic mnie nie obchodzą łośie i gdzie są. Zadałem ci pytanie.

Czy uważasz, że czujesz coś do tego człowieka?

- Ja nic nie uważam. - Laura prawie usiadła na łóżku. - Ja wiem, co czuję.

Gus wstał, wznosił ręce do góry w geście rezygnacji i zaczął nerwowo przechadzać się po pokoju.

- Lauro, to chyba jakaś aberracja. Tobie nie jest potrzebny Jarod. Nic ci po nim. Jarod jest... zupełnie dziki. Nie obłaskawiony, można powiedzieć. Tak, naprawdę dzikus. Temu człowiekowi wystarczą jako pożywienie korzonki i to wszystko. Już wtedy jest szczęśliwy. Samotnik. To istota z innego wieku, z innej planety. Znika w lesie na całe dni. Z takim człowiekiem nie mogłabyś być szczęśliwa!

Nie chciała urazić Gusa, ale nie chciała także wprowadzać go w błąd. Poza tym miała już dość tego potoku słów i tych argumentów.

- Owszem, mogłabym! - odparła z pełnym przekonaniem. - To jest nadzwyczajny człowiek.

Gus zatrzymał się gwałtownie w rogu pokoju, obróciwszy ku Laurze twarz pełną powagi.

- Jarod przypomina jaskiniowca. Przepraszam, że tak mówię, ale to istota niecywilizowana. Nie ma żadnych umiejętności życia w społeczeństwie. To jest po prostu Tarzan. A ty nie jesteś bynajmniej taką Jane, partnerką Tarzana z filmu. Nie masz przecież zamiaru żyć na drzewie z Tarzanem i jego panterą.

- Ty mnie wcale nie znasz - odpowiedziała zdesperowana. - Nigdy mnie nie znałeś. A ja nigdy nie poznałam ciebie.

- Znam cię doskonale - usiłował się bronić. - Znam cię od dobrych paru lat. A ty spędziłaś z nim w lesie zaledwie kilka dni i

wydaje ci się, że go poznałaś. To nieprawda! On nie jest przygotowany do wzięcia na siebie obowiązku... Ten człowiek to dziwoląg. Nigdy nie będzie w stanie założyć rodziny.

- Czy to przypadkiem nie on sam powinien się na ten temat wypowiedzieć? - spytała.

- Zobaczysz! - ostrzegł ją. - Magia leśnej przygody szybko się skończy, rozplynie. Życ w cywilizowanym świecie z takim człowiekiem? I on z taką kobietą jak ty? Przecież to czyste szaleństwo. Nic z tego nie wyjdzie. Zobaczysz!

Patrzyła na Gusa z rozpaczą w oczach. Jego pewność siebie zachwiała zbudowaną pieczołowicie przez nią konstrukcją. Podważał wszystkie jej wzniosłe przemyślenia. Rzuciła się do walki z kiełkującym zwątpieniem:

- Nie masz racji, Gus! Jarod i ja jesteśmy do siebie podobni. Oboje jesteśmy... no nie wiem, jak to określić... moralistami, idealistami, coś takiego. Może aż nadto. Ja zawsze dostrzegałam świat jako biały albo czarny. Tymczasem świat dookoła jest różny, kolorowy. Jarod jest mi potrzebny, żebym widziała świat we właściwej barwie, we właściwej perspektywie. Poza, tym on mnie potrzebuje. Uczymy się jedno od drugiego...

- Ale moralista! - wykrzyknął Gus. - Ukradł mi dziewczynę.

- Nie jestem twoją dziewczyną! Wybij to sobie z głowy! Teraz zdaję sobie sprawę, że wówczas w Hot Springs spełniałeś swój obowiązek. Byłam dla ciebie zbyt surowa. Tak, oceniłam cię zbyt

surowo. Ale cała reszta... Nie! Nie chcę więcej na ten temat z tobą rozmawiać. Porozmawiam o wszystkim z Jarodem.

- Czyżby? - zauważył ironicznie Gus, poprawiając sobie nie wymagający poprawiania krawat. – Tak sądzisz? Tam w głuszy Jarod poczuł do ciebie miętę na swój prymitywny sposób, ale po powrocie do cywilizacji na pewno oprzytomnieje. Przestraszy się konsekwencji. Umknie, zanim się obejrzysz.

- To nieprawda! Nie zrobi tego! - oburzyła się na tak niecne insynuacje.

- Powiadasz, że nieprawda? - spytał śmiało, ale widać było, że brak mu argumentu, by rozwiać skryte gdzieś skrzętnie wątpliwości.

- Może byś sobie już poszedł? Tak byłoby najlepiej - powiedziała. - Jestem ci bardzo wdzięczna za wszystko, co zrobiłeś. Ale nie chcę słuchać twoich insynuacji.

- Dobrze, teraz już pójdę, ale wrócę. Obiecuję ci, że wrócę. Nawet twoja siostra zgadza się ze mną. Uważa, że ta przygoda z Jarodem jest zupełnie... nieodpowiedzialna. I grozi poważnymi konsekwencjami.

- Idź, Gus! - zażądała stanowczo.

- Skoro sobie życzysz. Dla ciebie zrobię wszystko, nawet zniknę z twojego pola widzenia. Na krótko zresztą. Jarod może się tu w ogóle nie pojawi... Ale ja tak.

Z trudem się opanowywał. Z daleka posłał jej jeszcze całusa i odszedł utykając. Przedziwny człowiek, pomyślała. Czasami zupełnie miły.

Zjaw się, Jay! Przyjdź, wkradnij się choćby przez okno, jeśli będzie potrzeba, ale zjaw się wreszcie, czekam - powtarzała w myślach.

Jarod nie przyszedł do szpitala, a wieczorem wyjechał. Zostawił tylko krótki list. Przyniosła go Laurze Zuzanna i podała z niepewną miną.

Lauro!

Wiele się między nami wydarzyło. Powinniśmy mieć trochę czasu, żeby to przemyśleć. Muszę wyjechać. Pilna sprawa. Będę w kontakcie.

Najlepsze życzenia szybkiego powrotu do zdrowia.

Jarod

- Najlepsze życzenia! - wykrzyknęła Laura zbulwersowana. Po tym wszystkim, co razem przeszliśmy, on mi przesyła najlepsze życzenia!

- Nie było mnie w domu, kiedy otrzymał telefon - wyjaśniła Zuzanna, przestępując z nogi na nogę. - Potrzebował go ktoś w Teksasie. Podobno sprawa życia i śmierci. Jakiś starszy człowiek udał się na bagna i zaginął. Gdzieś koło Orange w Teksasie. Władze dowiedziały się, że Jarod jest tutaj i odszukały go.

- I tak po prostu wyjechał? - zapytała Laura przez łzy. - Nawet do mnie nie zadzwonił ani nie wpadł po drodze, żeby się pożegnać.

Zuzanna wzruszyła ramionami. Była blada, włosy miała jeszcze ściślej spięte z tyłu niż zwykle. Patrzyła dziwnie smutno, niczym spłoszona dziewczynka. Wydawała się okropnie nieszczęśliwa.

-W każdym razie napisał do ciebie. Dla niego to pewno bardzo dużo.

- I mam z tego powodu skakać z radości? Dlaczego nie zadzwonił i nie przyszedł?

- Nie wiem. Może nie lubi telefonować. - Zuzanna próbowała go tłumaczyć. - Może nie było już czasu, by tu wpaść.

- Nie powiedział, kiedy wróci? - Laura walczyła bezskutecznie ze łzami. - Czy coś jeszcze mówił?

- Widziałam go najwyżej minutę. Nie miał nawet czasu, żeby się ogolić. Wyglądał zupełnie jak jaskiniowiec. Powiedział tylko, żeby ci przekazać, że wróci, jak tylko będzie mógł.

Jak będzie mógł! Wszystko to jakoś brzydko pachniało. Wyglądało na zwykłe umknienie. Mieć czas, „żeby to przemyśleć”. Piękna formułka! „Będę w kontakcie!” Szkoda, że nie napisał, iż spotkamy się na święta, pomyślała ze złością Laura. Zmięła list Jaroda i rzuciła go w kąt pokoju. Zuzanna coś mruknęła i poszła podnieść papierową kulkę.

Laura zaś, ocierając łzy, przyjrzała się ukradkiem siostrze, gdyż Zuzanna wyglądała wyraźnie nieswojo.

- Wyrzuć ten list! - burknęła. - Wrzuć to do śmieci. Bo to jest śmieć, a nie list!

Zuzanna przez chwilę się wahała, ale wreszcie spełniła żądanie. Potem stanęła przed łóżkiem Laury.

- Lauro, posłuchaj mnie! Chcę ci coś powiedzieć. Jarod tam w górach był bardzo odważny, no i w ogóle... Dlatego też łatwo ci

było... zadurzyć się w nim jak pensjonarce. Zgadza się - ciągnęła, zbierając myśli - że ten Jarod to interesujący mężczyzna, ale jego styl życia... Czy to by tobie naprawdę odpowiadało? Mieszkanie w lesie, w jakiejś chałupce? A Jarod stale by znikał, wyjeżdżał w jakieś odległe dzikie okolice, ilekroć ktoś potrzebowałby jego pomocy. On jest zupełnie inny od reszty ludzi. Wystarczy na niego spojrzeć.

Laura słuchała nieszczęśliwa. W myślach przyznawała rację Zuzannie. Ale przecież go kochała! A on? To bezwzględne pytanie zadane samej sobie wycisnęło nowe łzy z oczu. Postanowiła jednak nie rozplakać się przy siostrze, która dodała:

- Dla porównania spojrzysz na Gusa. On żywi do ciebie głębokie uczucie. Naprawdę cię kocha. Od dawna. Jaroda znasz zaledwie kilka dni. Gus to wspaniały człowiek, bardzo dobry... Naprawdę. Jesteś szczęściarą, mając Gusa.

- Jeśli uważasz, że Gus jest taki cudowny, to go sobie bierz! - wykrzyknęła Laura, tracąc cierpliwość. - I zostaw mnie w spokoju. Nic nie rozumiesz. Ani ty, ani Gus. - I po chwili dodała: - Może i ja nie rozumiem... - Wszelkie próby powstrzymania łez nie udały się: wybuchnęła płaczem.

Zuzanna impulsywnie podeszła, aby ją utulić, ale Laura uprzedzającym ruchem ręki powstrzymała ją i poleciła wyjść z pokoju.

Po wyjściu siostry Laura szybko się uspokoiła. Ze stolika nocnego wzięła jastrzębie pióro ofiarowane jej przez Jaroda. Delikatnie obracała je w palcach. To pióro znalazło się w szpitalnym

pokoju tylko dlatego, że ani na chwilę się z nim nie rozstawała. Zarówno tam w górach, jak i na sali intensywnej terapii trzymała je cały czas mocno zaciśnięte w dłoni.

Może Gus i Zuzanna mają rację, że Jarod jest tylko wolnym jastrzębiem, który za swój dom musi mieć otwarte przestrzenie.

A to wszystko, co mówił? Te słodkie słowa, wyznania? Może robił to tylko po to, aby w tych trudnych warunkach podtrzymać ją na duchu? Być może nawet wierzył wówczas w to, co mówił. A właściwie po co ona, Laura, jest Jarodowi potrzebna?

Przed dwoma laty, kiedy odkryła kłamstwa Gusa, wpadła w furię z powodu doznanego upokorzenia i utraconej miłości - w każdym razie zdawało się jej, że to była miłość. Ta furia pomogła jej przeżyć osobisty dramat. Teraz natomiast nieobecność, a może nawet utrata Jaroda, nie wywoływała gniewu, lecz jedynie głęboki smutek. Była boleśnie zraniona. Tym razem jej serce zostało śmiertelnie ugodzone.

Zaciskała w dłoni jastrzębie pióro. To wszystko, co pozostało po Jarodzie...

Po półgodzinie wytrąciła ją z tych rozpamiętywań pielęgniarka.

- Przyszedł pani kawaler, pan Raphael. Ale przystojny! Jaki to elegancki mężczyzna! I taka egzotyczna uroda, aż łapie za serce. Chciałby się z panią zobaczyć. Chociaż to nie są godziny odwiedzin... Można go wpuścić?

- Nie - odparła krótko Laura, patrząc w sufit. - Nie ma mnie dla pana Raphaela. Ani teraz, ani nigdy.

Minęły dwa dni. Tima już wypisano ze szpitala, a jej jak na ironię nie, ponieważ zaczęła kaszleć i pojawiła się wysoka gorączka, z którą lekarze nie mogli sobie poradzić. Dostrzegali pierwsze objawy zapalenia płuc. Był jednak wśród nich jeden, który zaryzykował inną diagnozę: ta pacjentka po prostu nie chce wyzdrowieć.

Regularnie odwiedzała ją Zuzanna. Gus także, gdyż Laura zgodziła się ostatecznie na jego odwiedziny. Ale kiedy pozostawała z nim sam na sam, nie mieli właściwie o czym mówić. Gus wydawał się bardzo zafrasowany i nie w sosie.

A Laura milczała, patrząc w sufit lub w okno.

Pod koniec drugiego dnia przyszła pielęgniarka i zakomunikowała, że na dole pojawił się jakiś niecywilizowany człowiek.

-Wpadł jak burza w towarzystwie pani siostry i tego pani kawalera, pana Raphaela, uderzył pięścią w stół, zażądał, żeby go do pani wpuścić...

Jarod! Serce jej załopotało. Wyskoczyła z łóżka i zaczęła wkładać swój stary niebieski szlafrok. Nie zawiązując go, nie wkładając nawet nocnych pantofli, skoczyła do drzwi i wybiegła, pozostawiając pielęgniarkę z szeroko otwartymi ustami.

Laura była bez makijażu, rozczochrana, ale nic jej to nie obchodziło, gdyż w tym właśnie momencie w głębi korytarza, w holu przy recepcji zobaczyła Jaroda. Był najeżony jak pantera szykująca się do skoku. Najwidoczniej nie chciano go wpuścić. Za nim stali Gus i Zuzanna.

Zniknęły wszystkie żale za ten list, za wyjazd bez pożegnania.

Wrócił!

Wyglądał okropnie. Miał na sobie poszarpaną zabłoconą kurtkę, na głowie stary kapelusz z szerokim rondem i te przedziwne skórzane buciska. Był nie ogolony, a kosmyki nie uczesanych włosów wyglądały spod nasuniętego na czoło kapelusza. Ale wydawał się cudowny, bo to był on! j

- Lauro! - wykrzyknął, widząc ją biegnącą ku sobie. Zaczął biec ku niej także.

Gdy usłyszała swoje imię wypowiedziane przez niego, łzy napłynęły jej do oczu.

Nie bacząc na spadający kapelusz, chwycił ją w ramiona. Przywarła do niego całym ciałem, a on ją tulił i głaskał po głowie.

- Moja Laura! - zawołał.

- Wróciłeś, wróciłeś, Jay, drogi Jay - powtarzała w kółko, płacząc ze szczęścia.

- Oczywiście, że wróciłem. Czy mogłaś podejrzewać, że będzie inaczej?

- Ja myślałam... Twój króciutki list... Nie zadzwoniłeś nawet...

Odsunęli się troszkę od siebie, by móc spoglądać w swoje twarze.

- Wiem, co myślałaś. Gus i Zuzanna mi powiedzieli. Ale ja napisałem, że wrócę. Czy to nie wystarczyło?

- Trudno mi było w to uwierzyć...

Znów zwarł się z nią w uścisku. Napisałem ci, że to sprawa życia i śmierci. Prawie osiemdziesięcioletni starzec. Córka jego błagała o pomoc. Musiałem to zrobić. To mój zawód.

- Odnalazłeś go?

- Tak. Całego i zdrowego. - Z rozczeniem całował jej włosy.

- Ale napisałeś, że trzeba przemyśleć... Myślałam, że nie chcesz...

- O Boże! Przecież musiałem być pewny, że ty chcesz... no bo Gus i wszystko inne...

- Czy chcę ciebie?

- Właśnie.

- Tak. Zdecydowanie chcę. A ty?

W odpowiedzi pochylił głowę i przywarł do jej ust w długim pocałunku.

Zatopili w sobie spojrzenia niepomi na to, co się wokół nich dzieje. I wtedy Jarod odezwał się z powagą:

- Chcę ciebie, Lauro, potrzebuję cię, abyś mi pomogła dopasować się do tego świata, który mnie otacza. Dzięki tobie poczułem się jego częścią. Pojedziesz ze mną do Maine?

- Oczywiście. Twoje przedsiębiorstwo turystyczne będzie potrzebowało pielęgniarce. I to takiej, która może uczestniczyć z plecakiem w wyprawach na słońce.

- W Maine co prawda nie ma słońca, ale pielęgniarce się przyda. Życie tam będziesz miała urozmaicone, choć bardzo trudne, więc się zastanów.

- Kocham cię. A ty?
- Jeszcze nigdy nie wypowiadałem takich słów.
- Spróbujesz po raz pierwszy?
- Chyba tak... Kocham cię, Lauro!

Stali pośrodku korytarza, obrzucani ciekawymi spojrzeniami przechodzących pielęgniarek i pacjentów. Z holu patrzyli na nich Gus i Zuzanna.

- Kiedy wreszcie wyjdiesz ze szpitala? - spytał Jarod.
- Teraz już będę zdrowa. Jarod, Jay, dlaczego nie zadzwoniłeś?
- Pomyślałem sobie, że jak usłyszę twój głos, to nie będę mógł... nie będę miał siły cię opuścić... - Wyglądał na bardzo zawstydzonego.
- A ten list, to był chyba najdłuższy list, jaki napisałem w życiu do kobiety. Więc przestań mieć o to żal. Wydawało mi się, że wszystko w tym liście zamieściłem. Sądziłem, iż będziesz myślała o całej sprawie, jeśli masz wątpliwości. A ja też musiałem pomyśleć trochę, jak i co powinienem zrobić, żeby się tobą dobrze zaopiekować na wypadek, gdybyś powiedziała, że mnie chcesz...

- Och, Jarod. Dużo to ty nie mówisz, ale nie rzucasz słów na wiatr.

- Staram się — mruknął. - Przyznaję, że cała ta sytuacja jest dla mnie nowa. Ludzie w tym dziwnym świecie koniecznie chcą, żeby im po kilka razy mówić to samo. Po co? Przecież raz wystarczy, no nie?

- Nie. Będziesz mi musiał bardzo często powtarzać, że mnie kochasz. Żądam tego! Codziennie!

- A czy zamiast mówienia nie mógłbym pokazywać? - spytał i zamknął jej usta długim pocałunkiem.

- To jest po prostu obrzydliwe! - powiedział Gus, patrząc z wściekłością na całujących się Laurę i Jaroda. - Tak się zachowywać! To jest szpital, miejsce publiczne. I jak ona może tak szybko mu wybaczyć. Ja ją przez dwa lata o to błagałem, a on nawet nie musiał prosić.

Zuzanna zerknęła na Gusa spod okularów.

- No cóż, na to nic nie można poradzić, Gus. Oni się chyba naprawdę kochają.

Gus nawet na nią nie spojrzał, wpatrując się jak zakłęty w zajętą sobą parę na korytarzu.

- Tak... no, trudno - odparł, wzruszając lekceważąco ramionami.

- Ha! Jednakże dopiąłem swego.

- Czego dopiąłeś? - spytała Zuzanna, nieco zdziwiona.

- Uszcześliwiłem ją. - Zaśmiał się ironicznie. Ledwo się powstrzymała, by nie położyć mu dłoni na ramieniu.

- Tak - odparła, patrząc w przestrzeń. - To prawda, ją uszcześliwiłeś. Na pewno Laura nigdy ci tego nie zapomni.

Gus wyglądał jak pokonany zawodnik, który za wszelką cenę chce zachować twarz.

- Chodźmy stąd i poczekajmy w samochodzie. Chcę coś pani powiedzieć, panno Finlay.

- Co takiego? - Serce jej podskoczyło do gardła.

- Mam nadzieję, iż dowiodłem, że jestem przyjacielem rodziny, prawda?

- Oczywiście - odparła. - Wspaniałym przyjacielem. Wszystko ci zawdzięczamy.

- A więc szanowna pani ma wobec mnie dług wdzięczności, prawda? - Mówił lekko, z dezynwolturą, jakby zupełnie zapomniał o Laurze. - Zainwestowałem wiele czasu i wysiłku, nie mówiąc już o narażeniu własnego serca. Żądam czegoś za coś. Nie zamierzam odgrywać roli bezinteresownego błędnego rycerza. To nie mój styl.

Ujął Zuzannę pod rękę. Ruszyli w kierunku windy. Spojrzała na niego z ukosa, niepewna, jak to wszystko rozumieć.

- Wobec tego, że mamy dług wdzięczności... jesteśmy coś winni?

- Jak najbardziej.

- Pieniądze? Bo Laura powiedziała, że ty płacisz Jarodowi. Chodzi o pieniądze?

- Ależ skąd! Nie! - zachnął się. - A jeśli idzie o Jaroda, to on nie chce żadnych pieniędzy. To oczywiste w obecnej sytuacji. Drań! W każdym razie nie chodzi o pieniądze, ale o honor. To sprawa honoru. Uczyniłem przysługę, któregoś dnia poproszę o rewanż. A kiedy poproszę, to radzę się zgodzić. Niech to sobie szanowna pani zapamięta.

Zuzanna skinęła posłusznie głową, mało z tego rozumiejąc, przedziwnie zaniepokojona. W drodze do samochodu już nie rozmawiali, choć głowiła się, co to wszystko znaczy. Wieczór był

mglisty i mokry. Mżyło. Wokół ulicznych latarni utworzyły się aureole. Gus nasunął rondo filcowego kapelusza nisko na oczy.

- Nie wiem dlaczego, ale trochę to przypomina zakończenie filmu „Casablanca”.

- W jakim sensie?

- Właśnie zrezygnowałem z dziewczyny. Jestem w płaszczu podobnym do tego, jaki w filmie nosił Bogart, idziemy we mgle, trzymam cię pod rękę. Mam nieodpartą ochotę zrzucić z siebie ciężar i powiedzieć: „Może to jest właśnie początek pięknej przyjaźni?”.

Zuzanna na chwilę wstrzymała oddech.

- Ale to mówił Bogart do inspektora policji, i w ogóle dlaczego chciałbyś to powiedzieć?

- Sam nie wiem, dlaczego, a ponieważ jestem Gusem Raphaelem, roześmieję się teraz i tylko ci przypomnę, że kiedy poproszę o spłatę długu, nic wolno ci odmówić...

- Będę pamiętała - odparła.

W szpitalnym korytarzu Jarod i Laura jeszcze się całowali.

- Maine będzie ci się na pewno podobało.

- Każde miejsce, gdzie ty jesteś, będzie wspaniałe. Niebiańskie.

- No to żyjmy sobie po niebiańsku - podsumował i przywarł znowu do jej ust.

Znalazłam cię, a już myślałam, że nie istniejesz, pomyślała Laura. Ale istniejesz, jesteś i pozostaniesz przy mnie.

Znalazłem cię... a już się bałem, że nie istniejesz, myślał Jarod.